

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 12/603

1997



• « *La Culture* » • *Revue mensuelle* •

SMECZ: Z UKOSA

J. POMIANOWSKI:

HISTORIA SPUSZCZONA Z ŁAŃCUCHA

B. KERSKI: PRZEDWYBORCZY LETARG

NIEMCÓW

**INDEKS AUTORÓW I TEMATÓW
ROCZNIKA „KULTURY” ZA ROK 1997**

SPIS RZECZY

SMECZ:	<i>Zukosa</i>	3
Jerzy Pomianowski:	<i>Historia spuszczonej z łańcucha</i> . .	19
Mariusz Wilk:	<i>Zapiski Sołowieckie (VII)</i>	37

ARCHIWUM POLITYCZNE

Basil Kerski:	<i>Przedwyborczy letarg Niemców</i> .	47
Janusz Mondry:	<i>Do jakiej Europy zmierzamy?</i> . . .	58

KRAJ

Krzysztof Wolicki:	<i>Znikający etos</i>	65
Ewa Berberyusz:	<i>Kartki ze skażonej strefy</i>	73
Stefan Abner:	<i>Wizyta w Warszawie</i>	82
Piotr Daszkiewicz:	<i>Jeszcze o Białowieży</i>	86

WYWIADY „KULTURY”

Henryk Ratajczak:	<i>O sytuacji nauki polskiej. Rozmowa z prof. Henrykiem Samsonowiczem</i>	89
-------------------	---	----

SPRAWY I TROSKI

—	<i>Kraszewski ciągle aktualny</i>	99
Stefan Abner:	<i>Problem z generacją</i>	100

SĄSIEDZI

Bohdan Osadczyk:	<i>Walka wyborcza na Ukrainie</i> . . .	105
Bogumiła Berdychowska:	<i>Polsko-Ukraińskie spotkania</i> . . .	109
Andrzej Stach:	<i>Kronika niemiecka</i>	111
—	<i>Wiadomości z Białorusi</i>	114

NOTATKI REDAKTORA	119
-------------------	-----

KRONIKA KULTURALNA

Leszek Szaruga:	<i>Faceci z antenkami</i>	123
Leszek Szaruga:	<i>Czy inteligent jeszcze istnieje</i> . . .	129
Eugeniusz Kupper:	<i>Theatrum Gedanense</i>	134
—	<i>Komunikat o Stypendiach Fundacji Bankowej im. Leopolda Kronenberga</i>	136
—	●	
—	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	137
—	●	
B. Bartnikowski, K. Wierzbicki:	<i>Listy do Redakcji</i>	141
—	<i>Odpowiedzi Redakcji</i>	142
—	●	
—	<i>Indeks autorów i tematów rocznika „Kultury” za rok 1997</i>	143

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Grudzień/Décembre 1997

INSTYTUT  LITERACKI

**REDAKCJA „KULTURY” SKŁADA
SWOIM PRENUMERATOROM I CZYTELNIKOM
NAJLEPSZE ŻYCZENIA ŚWIĄTECZNE I NOWOROCZNE**

WPLĄTY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Alexander Frejszmidt, Toronto, ON (Kanada) – po raz 9-ty	F. 330,00
A. Kostrzanowski, Broad Beach (Australia)	F. 35,00
R. Kraus, Irvin, CA (USA) – dol. 20,00	F. 118,00
Pamięci Wacława Zyndram-Kościałkowskiego – w Dzień Zaduszy – Żona	F. 200,00
Maria Podhorska, Londyn – dla uczczenia pamięci naszej nieodżałowanej Alicji Iwańskiej, w I-szą rocznicę Jej śmierci	F. 500,00
Lucjan Raubo, Hobart, Tas. (Australia) – po raz 5-ty	F. 270,00
Zamiast kwiatów na grób śp. Adeli Żeleńskiej, z domu Boho- molec – J. i J. Winczakiewiczowie, Blois	F. 200,00
Aleksandra Ziółkowska-Boehm, Kanada	F. 1.000,00
Adela i Władysław Żeleńscy, Paryż	F. 500,00
Bezimiennie z USA – dol. 10,00	F. 59,00

DZIĘKUJEMY

Z ukosa

Po dwóch katorżniczych tygodniach spędzonych w Moskwie nagle znalazłem się w zachodniej części Niemiec. Stałem na peronie w małym miasteczku, gdy nagle otulił mnie ciepły podmuch. Z prędkością ponad 200 km na godzinę, jak srebrna rakieta przemknął pociąg odślaniając krajobraz tego nowoczesnego państwa. I zrozumiałem, że swój tekst dla *Kultury* o Moskwie pisałem z polską arogancją, którą tak łatwo mieszkaniiec nad Wisłą nadyma się widząc kogoś jeszcze bardziej zabiedzonego. A tak naprawdę to my tylko aspirujemy do Zachodniej Europy, a należymy do Wschodu. Z tych aspiracji, które mają chroniczny stan podgorączkowy wynika wiele pozorów, a też trochę faktów.

Frankfurt po latach niewiedzenia zadziwił mnie. W usługach tego miasta większość pracowników to kolorowi, a jak mają europejską błądź to zwykle mówią po polsku. Okazuje się, że już 30% populacji tego miasta stanowią imigranci. Europa traci granice, ale też komplikuje się etnicznie, nikt nie jest w stanie przewidzieć co z tego wyniknie? W moim hotelu dziewczyny z recepcji, z obsługi restauracji, kierowca hotelu są polskiego pochodzenia. Kiedy opowiadają o swoich losach jest jakiś smutek tego exodusu i czuję jak pulsuje wyrostek robaczkowy mojego patriotyzmu. Który tyle razy mnie bolał i zdawało się, że będzie wycięty.

Na Targach Książki we Frankfurcie jeszcze przed otwarciem ekspozycji obserwuję żywe zainteresowanie polskim stoiskiem ze strony obsługi technicznej tego wielkiego labiryntu, tam też pracuje wielu emigrantów z Polski. Umorusani, w roboczych fartuchach długu, wycierają ręce zanim wezmą

książkę do ręki. Ale widziałem też nad pięknym Menem grupkę mężczyzn skupionych wokół butelki, poznałem ich z daleka, kropka w kropkę jak stado pijaków z mojego podwórka, w oparach alkoholu i przekleństw, z ową charakterystyczną czułością jak opłatkiem czule dzielili się wódką. W finale pobytu taksówkarz, który mnie wiezie na lotnisko mówi po polsku, co już nie dziwi. A on jak Piłsudski, Gombrowicz i Miłosz, tylko nieco prostszymi myślami wyraża swoją ambiwalencję wobec Poski, która nawet gdy od niej uciekamy, dogania nas swoim pokrzywionym cieniem.

Polska emigracja w Niemczech jest jeszcze bardziej zdeintegrowana niż inne polskie grupy rozsiane po świecie. Na spotkaniu literackim dla Polonii, które prowadzę, jest jak zwykle na polskich wieczorach, ci co pytają chcą się przede wszystkim sami popisać, mądrzejsi milczą. Gdy pada nazwisko słynnego niemieckiego krytyka, kiedyś mieszkającego w Polsce, Marcela Reicha Ranickiego, papieża niemieckiej krytyki, ktoś wykrzykuje, „to przecież Żyd”.

Dziwnie brzmi ten polski okrzyk na niemieckiej ziemi i ta niewinna oczywistość tego publicznego oświadczenia, tak dziecko wykrzykuje „o kot”, widząc kota. Kiedy rozmawiam z rodakami emigrantami, obserwuję jak bardzo się lubią i nie lubią, i narzekają, jak zawsze, jak wszędzie.

Na głównej ulicy małego niemieckiego miasteczka grają w kinie ten sam amerykański film, na który nie dostałem biletów w warszawskim kinie, obok reklam tego filmu przechodziłem w Moskwie. Te same psy szczekają w naszej europejskiej wiosce, chociaż w tej wiosce niektórzy mieszkają w chałupach, inni w pałacach. Mój hotel skromny, ale czysty i sterylny, bez duszy. Najbardziej żywe wydają się sztuczne rośliny. Wszystko właściwie można tam umyć szlauchem. W pokoju, a też w łazience czułem się zawsze brudny, szczególnie po prysznicu. Mały pajaczek, który nagle pojawił się na lodowej pustyni kafelków wydawał mi się być przybyszem z innej planety odzianym w kosmiczny skafander.

Targi Książki we Frankfurcie mają tak gigantyczny charakter, że największy pisarz poczuje się tam nie większy od mrowki w mrowisku, a psiarsz mały poczuje się w swojej małości równy wielkiemu. Uderza, że wśród 300 tys. tytułów

przygniatającą przewagę ma książka, która kiedyś nie została-by wydrukowana, bo kiedyś książka przynajmniej starała się być dziełem. Dzisiaj króluje książkowy *fast-food*, każdy może ją napisać czy raczej zrobić, a jak nie samemu, to znajdzie się spec, który opowieść za kogoś zmastruje. Najlepiej aby bohater tego produktu był wielokrotnym mordercą. Książka stała się tylko towarem jak perfumy i mięso, im mocniej pachnie lub śmierdzi tym łatwiej ją sprzedać. Z tych książkowych produktów zbudowano wieżę, która jest dzieckiem tej pierwszej wieży Babel i pomieszania języków, teraz to już nie wieża a drapacz chmur. W dzieciństwie bardzo mi się podobało to określenie, zastanawiałem się czy chmury mają łaskotki.

Na dzień przed otwarciem imprezy, gdy labirynty nie dostały jeszcze swoich książek, a część pomieszczeń była pozamykana bez jakiegokolwiek logiki, nieustannie wpadałem w szklane akwaria, z których wydawało się, że nie ma wyjścia, ani wejścia. Czasami byłem rybą uwięzioną za szkłem, kiedy indziej patrzyłem na zamknięte w akwarium ryby nie mogąc się do nich dostać. Nazajutrz klaustrofobicznego chóru dopełnił neogotycki kościół maleńki wśród „Manhattanu” centrum tego miasta, szklanego pomnika sukcesu i klęski współczesnej architektury. Wszedłem do kościoła, a drzwi zatrzasknęły się za mną z ironicznym zgrzytem. W środku z istot żywych byłem tylko ja i kilka świec. Kiedy chciałem wyjść, drzwi powiedziały mi nie. Wydawało się, że jestem w sytuacji bez wyjścia, ale jednak nie uwierzyłem, czego do dzisiaj szczerze żałuję.

Na Targach starałem się nie patrzeć książkom w oczy, bo czułem się przez nie osaczony. Przerzuciłem się więc na twarze ludzi, one są również jak okładki. Nadmiar książek męczy, też dlatego, że tak łatwo można je otworzyć, gdy ludzkie twarze z otwartymi oczami, które to oczy zapowiadają tak wiele krajobrazów, są prawie niemożliwe do otworzenia. Spotykam dwóch czekoladowych wydawców z wyspy Mauritius. Okazuje się, że w tym państwie są tylko dwa wydawnictwa produkujące głównie CD-Romy, a milion mieszkańców używa trzech języków, w żadnym jednak nie mówią dobrze. A przyroda tam jak w raju. Poczulem nagle skurcz bólu w środku duszy, że nie jestem bogaty. Kupiłbym od razu bilet

samolotowy i wieczorem uciekam od książek na Mauritius.

Zawrót głowy od tych książek w przypadku mojej głowy okazał się dosłowny. Tylko przed laty podczas treningów pewnej sztuki walki zdarzało mi się, że traciłem grunt pod nogami, a tu nagle bez ciosu coś mi zawirowało. Usiadłem, by ze smutkiem stwierdzić, że to nie wina podłogi a moja. Wiedziony niepokojem i intuicją poszedłem do punktu medycznego zmierzyć sobie ciśnienie. Od razu odkryłem, że to najmiłsze miejsce na Targach, bo były tam łóżka, a nie ma lepszej szalupy ratunkowej przed powodzią książek niż łóżko i pierzyna, którą można naciągnąć na głowę. Pielęgniarz mówi po angielsku z okrutnie brutalnym niemieckim akcentem. Dziwnie mi to nagle zabrzmiało, bo właśnie czytałem, ponownie po latach, opowiadania obozowe Tadeusza Borowskiego. To jednak jest genialna, wstrząsająca proza. Kiedy na jej tle widzi się współczesne Niemcy, poczucie absurdu świata, życia, rzuca się do gardła jak tygrys. A jednym z pazurów w tylnej nodze tego zwierzęcia jest późniejszy stalinizm pisarza i jego samobójstwo. Jeśli ta proza nie jest lekturą obowiązkową w Niemczech, to jednak przegraliśmy tę wojnę, a oni nie zrozumieli nic. A ten niemiecki pielęgniarz, nagle w moim stresie wydał mi się częścią obozowej obsługi. Nie był jednak groźny a czuły, tylko okrutnie martwił się moim ciśnieniem, bo dziko skoczyło. Jeszcze tego brakuje, żebym miał wykitować pod tą cholerną stertą książek, w ramionach niemieckiego języka – myślałem doprawdy rozgoryczony.

Kiedy byłem dręczony przez książki i nieoczekiwany zawrót głowy, w Polsce rozgrywał się dramat wyboru premiera i zawierania związku małżeńskiego przez AWS i Unię Wolności. Tu cofnę się do chwili powrotu z Moskwy.

Kiedy jadę z Okęcia delektując się po Rosji polskim luksusem, widzę, że trwa jeszcze walka wyborcza na plakaty i hasła, ale nie jest agresywna. Portrety polityków nie mają wykłutych oczu, jak kiedyś. Pechowo tylko w mojej dzielnicy czasami na czołach, ktoś rysuje gwiazdy Dawida, lub pisze Żyd, wykazując się zresztą całkowitą niekompetencją w tej trudnej dziedzinie. Władysławowi Bartoszewskiemu dorysowano na czole swastykę i „kapo”, jemu, bohaterowi Oświęcimia, wieloletniemu więźniowi PRL-u. Ale to nie było

powszechnie, chyba jednak mieszkam w złej dzielnicy? Ciekawe, że jeśli były jakieś akty agresji, to nie wobec plakatów prawicy czy SLD, a właśnie Unii Wolności...

W mediach też raczej spokojnie. Niemal wszyscy jakby otrzeźwieli. Najbardziej radykalni działacze AWS-u zamilkli albo im zamknięto usta, inni zmienili ton. Nawet ROP wydziela mniej ropy niż zwykle.

Na telewizyjnych egzaminach nieźle wypadają postkomuniści. Jest tam na górze kilku sprawnych ludzi, przede wszystkim Marek Borowski. Zdarzają się im gafy, ale one są jak rodzyнки w zakalcowym cieście naszej polityki, popełniają je wszyscy. Właściwie żaden z polskich polityków nie potrafi się przyznać do błędów i czasami powiedzieć „przepraszam”. Unia Wolności już mniej poucza, a Leszek Balcerowicz nie taki sztywny, widać, że trenował elastyczność. Uczymy się polityki.

Z przedwyborczej dyskusji zwykły śmiertelnik nie dowiedział się jednak co różni partie od siebie. By coś z tego pojąć, trzeba sobie przypominać, co kto mówił lub krzyczał kilka miesięcy temu, czyli z salonów należy wejść pod łóżka i do toalet partii, by dogrzebać się różnic.

Mniej więcej połowa partii startujących w wyborach prezentuje się humorystycznie. Nadal widać, że cena wejścia na scenę polityczną, nawet do pierwszego szeregu, jest w Polsce niezwykle niska. Właściwie każda forma głupoty lub umysłowej choroby jest w stanie przedrzeć się do pierwszego rzędu i zabrać głos. Ale niewiele więcej. To też jest demokracja.

Dwie konkurujące ze sobą partie emerytów i rencistów, to nowa groteska na naszej politycznej mapie. Jaka szkoda, że nie powstała partia alkoholików. Oni przecież bardziej od emerytów zabawni, a gdyby na chwilę wytrzeźwieli, to kto wie, może by wygrali wybory? Druga partia emerycka, ta dopiero co powstała, to kukułcze jajo zniesione przez AWS aby zneutralizować emerytów, słusznie podejrzewanych o sprzyjanie SLD. W tym kukułczym jajku wodzi S. mój przyjaciel z dzieciństwa. Miał niedawno spore ze sobą kłopoty, więc cieszę się, że mu ta „polityczna” aktywność dobrze robi, ale też trochę wstyd. W zależności jak się go prywatnie pyta, mówi, że to robi dla idei, albo po prostu, aby się pokazać.

I oto widzę, że S. Iłsi, jako diament w koronie wyborczej kampanii, gdy w ostatnim telewizyjnym programie tuż pod progiem wyborczej ciszy zasiada w studiu telewizyjnym obok szefów wszystkich partii. On nie szef, ale jego emerycka szefowa ma pewne umysłowe braki, więc przezornie ją schowano. Obok S. siedzi Balcerowicz i premier Cimoszewicz. I proszę, S. nagle jest na politycznym Olimpie, jako emeryt i rencista, niedawno przyjął łaskawie poparcie Tymińskiego, a tu dyskutuje z premierem i z Balcerowiczem. Ja go lubię, więc się cieszę, że ma taką frajdę, ale jak tu poważnie traktować nasze życie polityczne, no jak?

Na dzień przed wyborami notuję, że nic mądrego nie potrafię dla siebie wymyślić. Głosować będę na środek, czyli na Unię Wolności. Na tle innych partii Unici nawet przestali mnie drażnić. Postkomuniści nie powinni dalej rządzić z wielu powodów. Jeśli jednak prawica zdecydowanie wygra, a Unia będzie miała bardzo słaby wynik, to trochę strach, nie, że jakaś katastrofa, tylko że polska prawica skompromituje się na amen. Jak zneurotyzowany koń, oni muszą mieć spętane nogi.

AWS wygrywa, zaskakująco wysoko, lecz na szczęście nie może wykonać żadnego ruchu bez Unii. Jak na dłoni widać, że demokracja ma swoje zalety i sprawne instrumenty zachowywania równowagi. Głosowało mniej niż 50% obywateli. Gdyby postkomuniści wygrali, prawica by krzyczała, że te wybory przy takiej frekwencji nic nie są warte. Wałęsa w przeblaskach świadomości trafnie zauważa, że ludzie głosowali nie na AWS, a przeciw SLD. Wyniki wyborów przyjęte zostały ze zdumiewającym spokojem, przez zwycięzców, przez przegranych, jak i przez społeczeństwo, które chyba uwierzyło, że potrzebna jest jakaś zmiana. SLD nie tylko zachowała swój elektorat, nawet go powiększyła po czterech latach rządów, to nie jest klęska. Klęskę poniosło PSL. Żle, że nikt nie ma cudownej recepty dla polskiej wsi, gorzej że jej interesu broni takie ugrupowanie. Nasi chłopci to jakaś zdumiewająca formacja umysłowa. Łączą zdrowy rozsądek z myśleniem irracjonalnym. Wszystko zależy, od której strony się do chłopca podejdzie, albo gdzie on akurat stanie.

Do Sejmu nie wchodzi Unia Pracy, czyli tracimy szansę by socjaldemokrację tworzyła formacja bez brzydkiej biografii. Bardzo też słabo wypadł ROP. Zgodnie z oczekiwaniami kłótnie w tym narodowym grajdółku rozgorzały na całego, wkrótce zaczną się pracować po pyskach, co potwierdza diagnozę, że ten typ prawicy jest przenicowany przez różne psychozy.

Jeśli się trzeźwo policzy, kto ma ilu posłów w nowym Sejmie, to wychodzi na to, że AWS nie będzie w stanie przymusić swoich najbardziej ostrych programów, od całkowitego zakazu aborcji, do poprawienia konstytucji. Jeśli prawdą jest, że SLD zbudowało finansowe imperium, czego nie potrafię sprawdzić, to też obawiam się, że nie da się tego imperium nawet ugryźć. Prawica może natomiast zacząć budować obok własne, co pewnie zrobi.

Jak będzie wyglądał bieg ludzi AWS-u i Unii do konfliktu? W chwilach życzliwości można to nazwać ratowaniem ojczyzny. W AWS-ie obok grupki ludzi mądrych i rozsądnych, jest sporo osłów. Jeśli wysoka wygrana tej partii jest zaskoczeniem, to konflikty w jej łonie już zaskoczeniem nie będą. Chociaż udało się tej części prawicy wydusić z siebie zdrowy rozsądek podczas wyborczej kampanii, to trudno wierzyć, że bez kagańca wyborów ten rozsądek da się na tak szerokim froncie utrzymać. Najbardziej drze szaty skrajna prawica narodowa, że AWS sprzedaje Polskę Unii Wolności. Jest podobno jakiś „interes narodowy”, którego obrony Unia nie gwarantuje, a narodowa prawica tak. I ten „demon” Balcerowicz, który znowu wchodzi na scenę, by sprzedać Polskę obcom.

Jaka jest szansa na ucywilizowanie się radykalnego myślenia? AWS skupia bardzo różnych ludzi ale niektórzy bez trepanacji czaszki nie zmieniają sposobu myślenia. Karty w AWS-ie rozdaje Marian Krzaklewski, ale czy jest psychoterapeuta, który go wyleczy z lęku przed masonami, z myślenia spiskowego, z katolicyzmu rodem z Radia Maryja? Jak na razie swoje fobie schował do kieszeni, ale to kiepski sejf. W Polsce mieszka zaskakująco wielu świetnych ludzi, ale też dziwnie powszechność myślenia niechlujnego i spiskowego. To na szczęście nie ma zębów, ale w polityce samo gadanie jest też groźne.

Pierwsze narodowe osły już kwiczą w telewizji. Trudno, trzeba będzie się do tego przyzwyczaić. Triumfujący Krzaklewski działa na nerwy. Proponuje na premiera profesora ze Śląska, którego nikt z elity politycznej dobrze nie zna, z nim włącznie. Krzaklewski rozmawiał z profesorem raz! I profesor zrobił na nim dobre wrażenie, ważne, że był internowany i że katolik. Polowanie na premiera trwa. Następny kandydat też publicznie nie jest znany. A samo ustalanie programu z Unią, wydaje się kłopotliwe, wstydlive, trudne i tajemne.

To że AWS jest skazany na Unię Wolności i odwrotnie, to oczywiste, ale zarazem humorystyczne. W wypowiedziach wielu działaczy AWS-u, gdy mówią o Unii, powtarza się słowo „oni”. Kiedy czytam powyborczy *Tygodnik Solidarność*, który i tak bardzo spuścił z tonu, widać, że tam nadal wszystko pulsuje niechęcią do Unii Wolności. Wytuszczone słowo na pierwszej stronie krzyczą: „Polska scena polityczna przypomina czasami koszmarny sen”. Iść do łóżka z osobą tej samej płci, której tak się nie cierpi, to rzeczywiście okropne. Ale nie można inaczej brać władzy i odsunąć postkomunistów. Na ostatniej stronie tego pisma prawicowy felietonista, pisze: „Milcz serce”. Kalkulacja polityczna każe mu wybrać Unię, czyli „różowych”, błaga tylko by w tym strasznym akcie samopoświęcenia nie uruchamiać uczuć miłości. Jak na dłoni widać, że to małżeństwo już nawet nie jest z rozsądku, jest z rozpaczy.

Gdyby przypomnieć wszystkie obelgi jakie jeszcze niedawno ludzie AWS-u wypowiadali na temat Unii i odwrotnie, to nie byłby możliwy żaden kompromis. Ale możemy liczyć na błogosławieństwo entropii pamięci. Ci, którzy z pamięci, z bezkompromisowości zrobili ideologię, teraz muszą brać lekcję zapomnienia i pójść na kompromisy, których nie wybaczyliby innym, sobie muszą.

Marian Krzaklewski, ostry, dogmatyczny, nieprzejednany, po zwycięstwie w oczach zmienia się w człowieka otwartego i pełnego kompromisów, aż zaczyna mu dobierać się do ogona jego własne ugrupowanie, które wszechniej szeptało, że jest za radykalny. On, który tyle mówił o zdradzie Magdalenki teraz jest oskarżany przez swoich, że zrobił „drugą Magdalenkę”. Prasa narodowa teraz mu nawet wypomina, że tak

wysoko nosi podbródek. Ten podbródek zawsze mi przeszkadzał, a oni dostrzegli jego zadarcie dopiero teraz, gdy poczuł się zdradzeni.

Patrzac poważnie, zachowanie Krzaklewskiego jest znakiem, że element polityczny jest w nim jednak silniejszy niż ideologiczny, nie mam jednak złudzeń, że ów realizm jest wzmacniany aż nadto widocznym narcyzmem i zapachem ewentualnej prezydentury. Ale to jest też ta nagła konfrontacja majaczenia z rzeczywistością. Można snuć majaki na temat dekomunizacji, lustracji, ale gdy trzeba to pranie po prostu zrobić, okazuje się, że nie ma czym i nie ma kogo prać. Obserwowałem przed laty w telewizji owe czołowe zderzenie fikcji i faktów.

Prezydent Aleksander Kwaśniewski w wywiadzie dla *Gazety Wyborczej* mówi: „każda nowa ekipa, czy z prawa, czy z lewa, przechodzi trzy fazy: po zwycięstwie są pewni, że wszystko zmieniają, tylko poprzednik był idiotą i nie umiał. Potem orientują się, że to nie takie proste i zrzucają winę na dziennikarzy. Wreszcie zaczynają pakować walizki”. Nie jest głupi ten prezydent, chociaż czasami robi głupstwa. Choćby kiedy tuż przed wyborami reklamuje SLD w telewizji, jak dobry proszek do prania. Ale spójrzmy prawdzie w smutne oczy, jak kiedyś Wałęsa przegrał z Kwaśniewskim przedwyborczy pojedynek telewizyjny i całe wybory, tak teraz każde zestawienie głosów tych dwóch polityków wypada na korzyść Kwaśniewskiego. Odnotowuję to bez satysfakcji.

Lech Wałęsa próbuje drapać się na scenę polityczną, widać, że ogromnie jest zaniepokojony, że się go pomija. Powtarza: „ja, ja, to dzięki mnie”. W jego pysze, w braku klasy, są jak zwykle przebliski zdrowego rozsądku, np. gdy promuje „środek” i walczy o Unię Wolności. Największe jednak możliwości ma jak zwykle w dziedzinie destrukcji, co właśnie prezentuje zakładając nagle po wyborach swoją partię, wygląda jakby stojąc zakładał nogę na nogę. Jest coraz częściej postacią groteskową, ale groteskowa scena naszej polityki być może pozwoli mu znowu zaistnieć, jeśli skompromitują się prawica i centrum zwarte w niedawnym związku.

Wstrząs polityczny jakim były wybory dokonał poważnego zabiegu. Uzdrowił łagodne psychozy, a ci nieco

otrzeźwieni zaczęli odcinać się od ciężko chorych. Za to ciężko chorzy zapadają się głębiej, bo znowu są odrzuceni, a czyż nie byli już odrzuceni w dzieciństwie? I zięją nienawiścią do swoich niedawnych sojuszników. Prawdziwe piekło zapanało w ROP-ie, gdzie niemal dochodzi do mordobicia. *Gazeta Polska* nagle zaczęła bronić zdrowego rozsądku, przynajmniej w niektórych tekstach. Zaś Zygmunt Wrzodak, kiedyś faworyt piśma, wygraża dziennikarzom tego tygodnika, który wedle niego „przelewa przez siebie masoństwo”. A przecież jesteśmy dopiero na progu wielkiego rozczarowania zwycięstwem.

Jest rząd skompletowany w ostatniej chwili, jakby wyduszony skurczami bolesnego kompromisu. Poród był z pepowiną wokół szyi, więc wszyscy nowi ministrowie wydają się być trochę sini. Nie widać póki co zbyt wielu nawiedzonych, ale kto będzie kompetentny, to wielka zagadka, bo cały szereg ministrów to osoby całkowicie nieznane.

Tymczasem grupa posłów z AWS-u doznaje wstrząsu, że tyle oddano Unii, piszą protest. „Ludzie nie po to głosowali na AWS, by owoce ich wyboru były dziś przekazane siłom, które z programem Polski wolnej i chrześcijańskiej nie mają wiele wspólnego”. „Program wolnej i chrześcijańskiej Polski” – co to właściwie jest?

W aurze sukcesu Unia nieśmiało przyznaje się do grzechu arogancji w przeszłości. Aleksander Smolar pisze o czasie gdy Unia rządziła: „Prowadzono politykę z poczuciem misji w imię Polski, interesów przyszłych pokoleń. Ale nie z myślą o konkretnych wyborcach...” W podobnym tonie mówi dzisiaj Jacek Kuroń.

Politycy nurtu liberalnego, po zwycięstwie AWS-u odkrywają, że zjednoczenie prawicy i jej zwycięstwo jest jednak aktem sprawiedliwości. Sami są po tej samej stronie, ale jednak na innej wyspie, mają więc uczucia mieszane. Obawiali się i słusznie, zbyt wysokiego zwycięstwa narodowej prawicy, ale gdy okazało się ono ograniczone, też triumfują i wchodzą do tej samej łódki, bardzo jednak podczas tego wchodzenia rozkołysanej i na granicy wywrotki.

Jeśli najważniejsza jest ekonomia, to wielkim problemem

jest w tej dziedzinie niekonsekwencja, po wielu zresztą stronach. Trafnie zauważa Smolar, że „zarówno w AWS jak i w SLD elementy prorynkowe walczą z kulturą etatyczną, liberalowie różnych odcieni – chrześcijańscy, konserwatywni, socjalni – z tendencjami kolektywistycznymi.”

A nasze choroby? Mylenie dobra publicznego z prywatnym interesem, nie jest bynajmniej tylko polskim problemem, zarzucił to naszym politykom niedawno *The Economist*. To się myli przecież wszędzie, natomiast w krajach gdzie jeszcze nie ma wyraźnych reguł gry i mechanizmów kontroli owo zjawisko ma poważne konsekwencje. Ludzie są u nas wygłodzeni po latach PRL-u, tyle czasu uciekło, wszystkim trzęsą się ręce by się jakoś urządzić. Sam czuję lekkie drżenie, ale jestem niezaradny, więc ja to mam przechłapanie.

Premier w mękach wybrany, nazywa się Jerzy Buzek, a na samym progu premierostwa zasłabł, jak Mazowiecki. Okazuje się być ewangelikiem, co jednak jest zaskoczeniem. Tak długo słyszeliśmy z wielu ust polityków AWS-u, że „Polak to katolik”. A tu okazuje się, że premier tego ugrupowania, to nie katolik. Jego córka jest w szkole teatralnej i w programie telewizyjnym, w pomarańczowej sukience odtańczyła polkę odsłaniając nogi.

Potwierdziła się reguła, że polski dogmatyzm i obskurantyzm jest przede wszystkim mocny w gadaniu, a w praniu traci kolory. Buzek robi sympatyczne wrażenie, podkreślając że jest dobry i wierzy w dobroć w polityce. Bardzo to miłe, ale trochę niepokojące. Nie wiem czy premier już wie, jak jest niewygodnie ulokowany, między pełną wystającą sprężyną kanapą AWS-u a zaskakująco twardą poduszką Unii Wolności.

AWS oddaje Unii aż 6 resortów... m.in. Obronę, Sprawiedliwość, Kulturę. Leszek Balcerowicz ma być wicepremierem i ministrem finansów, proszę ten demon liberalizmu, którym prawdziwe polskie matki straszą swoje głodne dzieci. Bronisław Geremek, który wedle prawicy narodowej ma zle pochodzenie, będzie ministrem spraw zagranicznych. Najdobitniej wykrzyczał bunt swego ciała i umysłu prątnik Jankowski w czasie mszy w kościele św. Brygidy, dawny spowiednik Wałęsy wołał: „nie można akceptować mniejszości żydowskiej

w naszym rządzie, bo naród się tego boi”. I tu wymienił nazwisko prof. Geremka. Z kolei w Radiu Maryja, gdzie brali Krzaklewskiego na męki, jakaś słuchaczka wołała do Krzaklewskiego: „Jak ja usłyszałam, że siedem kluczowych ministerstw otrzyma Balcerowicz... Rozkład świecznika żydowskiego siedmioramienny. To wszystko pasuje, siedem ministerstw... ja się załamie”.

Biskup Pieronek, od jakiegoś czasu ostro atakowany przez katolickich narodowców, gwałtownie się od księdza Jankowskiego odcina. Mówi: „Kościół ma mandat od Chrystusa zwracać się do każdego człowieka z szacunkiem”. A nie można by powiedzieć wprost, że Chrystus był Żydem i Żydówką była jego matka, tak w Polsce wielbiona. Więc już nawet z tego powodu, takie gadanie w ustach księdza jest kuriozalne. Nie wiem czy nasz episkopat nie zna tych faktów, dosyć oczywistych po lekturze Biblii, a może tylko boi się, że ujawnianie złego pochodzenia Świętej Rodziny może wprowadzić polski katolicyzm w stan przedzawałowy. Kościół się więc od obłąkanego prałata dystansuje, ale go nie obcina. Myślę, że prymas Glemp uważa, że prałat nieco przesadza, ale ma sporo racji. Wiadomość z ostatniej chwili: ksiądz Jankowski, który wydawał się nietykalny został jednak zawieszony, na rok. A zawieszony od razu pojechał się pocieszać do Rzymu. Arcybiskup Gocłowski, który go zawiesił oświadcza, „ksiądz Jankowski nie jest antysemitą”. Ciekawa teoria. A tu w Rzymie zawieszony ksiądz Jankowski oświadcza, że „To, co cały naród myśli, ja powiedziałem głośno. Nie przez pomyłkę, ale z przekonaniem.” Rzym to dobre miejsce gdzie ksiądz Jankowski mógłby być za wiarę rozszarpany przez żydowskie lwy. Ale naród polski na to nie pozwoli, zawiązuje się komitet obrony księdza, a przed św. Brygidą gromadzą się tłumy. Wygląda to na początek małego i prowincjonalnego spektaklu, który jednak dzięki mass mediom skompromituje Kościół i Polskę.

Mamy chyba wszyscy w tym kraju bez Żydów dosyć żydowskiego tematu. Jestem zdecydowanie za aborcją tego tematu, ale mi się nie udaje. Nie ma w Polsce żadnych mniejszości, oprócz jednej, która się nazywa „bęcwałstwo”. Więc jak milczeć?

Ale naprawdę ważne jest co innego – oto AWS, który tyle głupstw kiedyś nagadał, teraz na ogół zachowuje się rozsądnie. Jak długo na Boga, jak długo? Na razie tylko czasami ktoś wyskoczy, nagadacze i wraca do szeregu. Bracia Kaczyńscy nie wracają, ale to było do przewidzenia. Jak na razie, czyli do pierwszych dni listopada, tu daty mogą być ważne, raczej króluje rozsądek. To wszystko nie mieści się w głowie. Ale na tym też polega polska niekonsekwencja, ona nigdy nie mieściła się w głowie.

Są pierwsze znaki, które wskazują na miejsce, gdzie wkrótce zaczną się strome schody. Nowym szefem Komitetu Integracji Europejskiej został Ryszard Czarnecki, kiedyś przewodniczący ZChN-u, która to partia bała się Polski w zjednoczonej Europie. Już w pierwszym wywiadzie Czarnecki strzela niebywałą gafę prognozując, że do Unii wejdziemy pewnie po roku 2004. Przeoczył, że do tej pory Polska uparcie obstawała przy roku 2000. Wyobrażam sobie, co by się działo gdyby taki błąd, a może nie błąd, popełnił polityk SLD. Ale są dobre wiadomości, polski Kościół ustami prymasa, mówi, że jednak zdecydowanie chcemy do Europy.

Na samym progu urzędowania nowy minister edukacji Mirosław Handke zapowiada, że w szkołach nie będzie osobnych lekcji wychowania seksualnego, co zaplanował poprzedni rząd. Ten dramatycznie delikatny temat ma być uczony na różnych lekcjach, przez zwykłych nauczycieli, a nie przez specjalistów, bo oni się do tego wedle ministra nie nadają. Erotykę trzeba zanurzyć w miłości. Już widzę wypłotki nauczycielki polskiego i biologii, które na godzinie wychowawczej dokonują aktu zanurzenia seksu w miłości. Łatwiej mi sobie wyobrazić grono nauczycielskie, które zarumienione z emocji siedzi w ławkach a jeden z uczniów robi im wykład specjalistyczny z tej dziedziny.

Mamy więc oto pierwsze dziwactwa, które gramolą się z naszego narodowo-katolickiego grajdołka. Unia będzie to blokować i osłabiać, jak długo? Pomódlmy się teraz, my niewierzący i wierzący do wspólnego Zdrowego Rozsądku, by nie nastąpiła eskalacja ciasnego myślenia.

Patrząc na naszą scenę polityczną, nie bez emocji, myślę sobie, że nie ma myśli bez emocji, a emocje zatruwają myśli.

W niektórych regionach świata, lub w pewnych okresach, to zjawisko ma nieco większą skalę.

Kiedy prof. Bronisław Geremek mówi, że cztery ostatnie lata rządów koalicji były stracone, to nie tylko trochę przesadza, ale heroicznie buduje most porozumienia z AWS-em. Z czego jeszcze budować mosty? Niemal we wszystkich zasadniczych sprawach Unia i AWS podobno się zgadzają, to się podkreśla na każdym kroku, ale czy też istotnie się nie różnią, właśnie wszędzie tam gdzie się pozornie zgadzają. Różnią się przede wszystkim innym stosunkiem do świata. To jest odmienny sposób widzenia, inna „chemia psychiczna”. Dlatego kompromis jest możliwy, ale zawsze zagrożony. Jak długo przetrwa ta koalicja?

To wszystko nie skończy się źle, bo wierzę w uruchomienie kapitalistycznych i demokratycznych mechanizmów i zaczynam wierzyć w polską gospodarkę. Na scenie politycznej będzie, czasami brzydko lub śmiesznie, ale tak jest mniej więcej wszędzie. Patrząc nie tylko na Moskwę, na Francję Le Pena, czy na wyniki wyborów w Serbii, należy w naszym wybrzydzeniu zachować proporcje.

Niczego dzisiaj nie wolno kończyć polityką. Źle kończyć śmiercią, bo ona i tak sama wszystko kończy, ale tak zacydował czas.

Święto Zmarłych. Wydawało się, że okres wolności, który przyniósł tyle atrakcji odchodzi ten dzień zabierając mu przy okazji wymiar polityczny. I że Polacy od stuleci odwróceniem twarzy ku przeszłości a plecami ku przyszłości dokonali już półobrotu. Cmentarze przestaną więc przyciągać, a zaczną niepokoić, jak to jest na Zachodzie. A tu z każdym rokiem ten dzień się zagęszcza. To spotkanie żywych i martwych wśród coraz bardziej bujnych dekoracji. Mnożą się kwiaty i kolorowe lampki. Widzę nawet pierwsze rodziny, które biesiadują na grobach, jak to mają w zwyczaju prawosławni. Im bardziej są prowincjonalne cmentarze, tym więcej pojawia się ozdób, są nawet baloniki. Święto Zmarłych było u nas metafizycznym mrocznym festynem, a teraz coraz więcej w nim światła i światła. W pewnych środowiskach zaczyna się przyjmować amerykański Halloween. Młodzież zabiera mnie do dyskoteki, gdzie płoną oczy dyń, a wszyscy są maka-

brycznie poprzebierani. Ameryka. Czy raczej jej małpowanie. Lubię amerykańską „małpę”, ale nie bezkrytycznie.

Jedziemy do małej podwarszawskiej miejscowości na grób mojego dziadka, cudem rok temu odnaleziony. Legionista, zawodowy oficer, zginął w obronie Warszawy.

Pół roku temu nocowałem w małej i szpetnej podwarszawskiej osadzie. Rano pojechałem z moją ówczesną przyjaciółką na wycieczkę rowerową, pokazała mi cmentarzyk, gdzie leżą jej bliscy. Obok cmentarza cywilnego był mały i ładny cmentarzyk żołnierzy września. Postanowiłem dokładnie przeczytać nazwiska na zbiorowej płycie, przeczytałem, zamknąłem oczy i jeszcze raz je otworzyłem nie wierząc sobie. Tak znalazłem ten grób, którego moja rodzina nadaremno szukała od czasów wojny.

Matka pamięta, jak jej ojciec na Dworcu Gdańskim mówił: „Nie martwcie się, mnie kule się nie imają”. „W legionach byłeś kilka razy ranny” – zaniepokoiła się jego żona.

Na tych grobach żołnierzy września jest teraz wiele lampek, krzątają się dzieci i młodzież. W tej zapominającej siebie, zabieganej i komercjalizującej się Polsce, może coś jednak ocaleje? Mały chłopiec staje przy płycie i trafia przypadkiem na Jego nazwisko. Uczy się dopiero czytać, więc sylabizuje litery. I widzę jak Jego całe życie, odważna śmierć za ten kraj, finalizuje się teraz w oczach tego malca, który z takim mozolem w końcu złożył litery w całość, zmartwychwstając Go w czasie tak nikłym, że nie mógł tego poczuć. Gdyby nie zginął, moi rodzice by się nie spotkali, nie byłoby mnie i mojego syna, który jest z nami.

Potem na Powązkach jestem na grobie mojego ojca, obok leży popularny kiedyś Wiech i jego żona, pamiętam jak z ojcem siedzieli przy jednym stole. O rzut szyszką leży Leopold Staff, z którym się przyjaźnił. W tym właśnie dniu i miejscu widzę, że jeśli się nie wierzy, to nadanie życiu sensu, jest przywilejem wielkiej głupoty, lub wielkiej mądrości. Jestem w środku, więc sobie z tym nie radzę. Od pocucia absurdu i wiary w totalizm przypadku, do wiary w sens i przeznaczenie jest jeden krok. Nie potrafię go zrobić.

10 listopada 1997

SMECZ

NAKŁADEM WYDAWNICTWA PULS

Andrzej Stojowski

W RĘKU BOGA*

(Trylogii ciąg dalszy)

Akcja powieści obejmuje lata: 1673-1683, od bitwy pod Chocimiem po odsiecz wiedeńską. W powieści występują powszechnie znani bohaterowie Sienkiewicza, oraz cała galeria nowych, których przygody autor przemyślnie spleta z „dalszymi losami” tych pierwszych.

Pan Zagłoba jest zatem znów z nami, bawi dowcipem i ratuje w potrzebie. Krzysia, piękna, zniewalająca mężczyzn swoim urokiem. Baśka, osamotniona, w tajnej misji do Wiednia, znajduje miłość. Wracają Kmicicowie, Skrzetuscy, ich dzieci...

Nowe postacie to między innymi Pan Kotficz – królewski radca, Jacek Boruta – człowiek od specjalnych zadań, Ben Zwi – kupiec zbożowy, ojciec Boratini – jezuita, pan des Tournelles, dyplomata, panna Aksakówna – kobieta z tajemniczą przeszłością... Są wśród nich ludzie dzielni i szlachetni, ale również intryganci i zdrajcy.

Skomplikowana gra tajnych służb godząca w interesy Polski. Obrona Lwowa, oblężenie Żurawna, krwawe pobojozawiska na kresach. Rozstrzygająca bitwa pod Wiedniem. Oto to, na którym rozgrywają się losy naszych bohaterów, te codzienne i te całkiem niezwykle...

*Andrzej Stojowski, „W rękę Boga” – Trylogii ciąg dalszy; Wydawnictwo PULS, Londyn 1997, stron 608; oprawa miękka; ISBN 1 85917 071 4.

Zamówienia należy kierować do:

BIBLIOTEKI POLSKIEJ W LONDYNIE, 238-246 King Street, London W60RF, United Kingdom (tel. 0181 7410474, fax. 0181 7463798), e-mail: polish.library@mailbox.ulcc.ac.uk.

cena egz.: W. Brytania – £ 12.50 (czekiem lub P.O. wystawionym na „The Polish Library” (London); Europa (poza W. Brytanię i RP) – £ 14.00; USA i Kanada – £ 18.00; Australia i RPA – £ 19.00; Płd. Ameryka – £ 20.00.

Przy zamówieniach spoza Wielkiej Brytanii cena obejmuje wysyłkę lotniczą. Opłatę należy przesyłać w *International Money Order* wystawianych w funtach brytyjskich na „The Polish Library” (London).

Zamówienia wysyłamy po otrzymaniu należności.

Historia spuszczonego z łańcucha*

Babel nie poszedł przetartym już przez Gorkiego szlakiem – w lud, czyli na wieś, albo na gościniec. Uczył się rozpoznawać takie kamienie w bieżącym nurcie, które zdolne są zmienić jego bieg i tam ludzi szukać, gdzie im najtrudniej; wtedy obnaża się ich szczerą naturą. Nasamprzód zatem zaciągnął się ochotniczo – a miał w kieszeni lekarskie zwolnienie – do artdywizjonu Szujskiego pułku 15-tej dywizji piechoty. Mimo namów Kiereńskiego, front poszedł w rozsypkę. Chłopi nie chcieli ginąć za demokratyczną już ojczyznę, uciekali z okopów, aby brać ziemię. Bolszewicy, partia drobnej mniejszości, okazali się górą, co więcej – po ich stronie prędko stanęły liczne rzesze.

Wy tłumaczeniem zjawiska nie mógł być spisek, ani zdolności przywódców, ani żelazna organizacja, ani populistyczne hasła. Był w tym sekret, czarne krzyżmo całej epoki.

Dziś nie każdy chce pamiętać, że tajemnicą pierwiastkowego powodzenia partii Lenina i Trockiego, sekretem początkowego Ignienia do niej tłumów, nie był kult przymusu, tęsknota do knuta, rzekomo właściwe Rosjanom. Tak jest, terror stopniowo przesłonił wszystkie inne cechy systemu w oczach zarówno poddanych, jak badaczy. Ale bolszewickie idee szerzyły się i jeszcze znajdują zwolenników także tam,

* Szkic ten, w znacznie poszerzonej postaci, ukaże się jako wstęp do „Konarmii” Izaaka Babla, której pełne wydanie, w układzie i pod redakcją Jana Nieśpiałowskiego, przygotowuje Wydawnictwo Dolnośląskie.

gdzie do strachu nie było przyczyny i kariera nie od tej prawowierności zależała.

Fascynacja, ogarniająca inteligentów, brała się najczęściej z olśnienia bezpardonową geometrią klasowej teorii. Oto mieli w ręku klucz do tajemnic władzy i dziejów. Ale innych, ogromną większość, fascynowała po prostu możliwość przecięcia łańcucha ludzkich krzywd. Tak czy owak, trudno i tym, i owym odmówić zespołu cech, nazywanego tradycyjnie altruizmem. A więc – ofiarności, cywilnej odwagi, pędu do sprawiedliwości, czyli motywów, które wciąż ich narażały na konflikty z własnym sobkostwem.

Otóż sęk w tym, że nie na te cechy ludzkiej natury nowa władza sowiecka stawiała, aby przyciągnąć potrzebne jej masy. Nie bardzo liczyła na broszury, wywody okularników, heglowskie ukąszenia i wiersze. Nawet tak czarujące, jak „Grenada” Swiętłowa, napisana zresztą grubo później.

Zejdźmy teraz na chwilę z wyżyn na szkolne boisko, doszczętnie zadeptane przez pokolenia napastników i obrońców, co i rusz zamieniających się rolami. Tłuką się nad nim echa ryku kibiców, żądnych krwi i zemsty, lichy wie za co. Słychać też wątły pogłos upomnień i morałów, głoszonych przez wychowawców świeckich i duchownych, którzy ganią objawy przemocy. Wielu z nich usiłuje tłumaczyć, że gwałt jest absurdem, bo wierzą w przyrodzoną dobroć natury ludzkiej, którą zepsuł wszak tylko wyzysk. Albo cywilizacja. Zresztą – wszystko głuży wycie skinów i szczwaczy. Otóż moralisci byliby może chętniej słuchani, gdyby przypomnieli sobie, że fatalna skłonność do przemocy i gwałtu była cechą, ba, rękomią przeżycia istot żywych – od ameb do kręgowców. To przykre, ale prawo silniejszego jest pierwszym z praw naturalnych. I dopiero człowiek wymyślił i wprowadził prawo stanowione. Ustanowił oto takie reguły gry, które zapobiec miały wyniszczeniu walczących przez wzajemną eliminację.

Nie twierdzą, że zamiar już się powiodł. To wspaniały Czesław Miłosz napisał:

Epoka nasza, czyli zgon.

Ogromna Die Likwidation.

Te słowa „Traktatu moralnego” odnoszą się do wydarzeń, które zaszły 2500 lat po utwierdzeniu się prawa rzymskiego i jakieś 1900 lat po spisaniu Ewangelii. Nie sądzę, aby większy wpływ od tych dzieł mogło mieć dzisiaj ogólnikowe ganienie przemocy. Ani traktowanie władzy jako monopolu na przemoc. Sędzia na boisku ma posłuch tylko wtedy, gdy sam przestrzega reguł gry.

Wydaje się, że problemu nie da się nawet musnąć, jeżeli się nie założy, że cechą natury ludzkiej jest jej dwoistość. Inaczej mówiąc – skłonność zarówno do miłości bliźniego, jak do uczynków najbardziej okrutnych, nazywanych często, acz niesłusznie, nieludzkimi; toć byliśmy długo kanibalami, co nawet hienom się nie zdarza. Ta banalna okoliczność nakłada na prawodawcę, wychowawcę, a zwłaszcza – na władzę pewien elementarny obowiązek: musi rozumieć, której to ze stron ludzkiej natury zapala zielone światło. Czy tej, w której siedzi atawistyczne bydlę, czy też tej, w której tli się iskra nadprzyrodzonej świadomości, sumienie. Kto chce, może tę iskrę uważać za samozachowawczy odruch posłuchu dla reguł gry.

Bolszewicy dostarczyli najpiękniejszego w dziejach usprawiedliwienia najbardziej sromotnym popędowi człowieka. Usprawiedliwienie było szczytne i – co ważne – zrozumiałe dla każdego. Oto gwoli równości wszystkich ras i narodów, gwoli zbawienia od wszelkiego wyzysku i ucisku – dano rozgrzeszenie zawiści, chciwości, okrucieństwu, czekającemu w każdym z nas na sposobność. To ono, rozgrzeszenie każdej krzywdy, zadanej w imię nowego ładu, stało się ważnym sekretem sukcesów rewolucji. I nie o dobro jakiegoś jednego narodu teraz chodziło, ale o zwrot w dziejach całej ludzkości, zwrot nareszcie zgodny z wiekowymi nadziejami wszystkich ciemionych.

Słabą stroną tego zarzutu wydaje się zjawisko nieźle znane: toż całe dzieje zbrojnych walk i wojen, toczonych przez hordy, armie, państwa, koalicje i związki – dowodzą, że walczące strony zawsze uciekały się do tej broni, do tej rachuby, do tej stawki na bestię w człowieku. Nie trzeba być manichejczykiem, aby stwierdzić jej stałą obecność: wystarczy zajrzeć do ściągi z historii. Albo do byle gazety.

Istotnie. Tylko że nigdy jeszcze w dziejach plany tych

krwawych działań tak sprzeczne nie były z założeniami, światopoglądem i celem strategów tych walk. Wszak „tym razem chodzić miało o ustanowienie takich warunków życia materialnego, które nie dawałyby żadnej nowej szansy tej bestii, która w nas drzemie”. Tym razem gra szła o wyzwolenie człowieka od sławetnych wilczych praw kapitalizmu, czy w ogóle – od darwinowskiej walki o byt. Dla świętego tego celu wypuszczono zaś wilkołaka z klatki i zrobiono to zupełnie świadomie.

„Dziennik 1920” Izaaka Babla jest niezbitnym dowodem tej zdrady. Chciał dokopać się do źródeł i zostawić świadectwo. Choćby dla własnej pamięci 21.8.20 pisze w dzienniku: „...nasza armia idzie na rozdobędę, to nie rewolucja, tylko bunt dzikiego sobiepaństwa. Jest to po prostu dźwignia, którą nie gardzi partia”.

Heretycy ginący w ogniu czy w dybach inkwizycji powtarzali wyznania tylko wymuszone, wierząc w duszy, że prawda jest po ich stronie.

Pionierzy sowieckiego terroru, przodownicy rewolucji niesionej na bagnietach, wszyscy nieomal padli ofiarą własnego systemu. Zielone światło, które zapalili niegdyś bestii, zawistnej, podejrzliwej, nie znoszącej sprzeciwu i własnego zdania – teraz odebrało im z kolei nie tylko fizyczną możliwość obrony, lecz wszelką moralną rację. Tu też trzeba szukać przyczyny przerażającego zjawiska, jakim było milczenie i pokutne zeznania oskarżonych w moskiewskich procesach.

Nie wierzy nikomu, kto powie że ta postawa dawno była założona w rosyjskich genach narodowych i że to zielone światło od wieków paliło się w tunelu rosyjskiej historii. Narodowolcy odbierali życie satrapom, z reguły ofiarując w zamian własne życie. Satrapom, podkreślał Camus, nie uznawali odpowiedzialności zbiorowej, nie dźgali nożami przechodniów, miejmy im za złe arbitralność i fanatyzm, ale nie podłość. Sazonow, po zamachu na ministra Plehwe, czekał na policję obok rozbitej karety; podobnie postąpił zabójca arcyksięcia Sergiusza, Kalajew. Zresztą, sama rewolucja

marcowa w 1917 r. z detronizacją cara włącznie, odbyła się w gruncie bez przelewu krwi, w atmosferze festynu. Nieco lekkomyślnego, jak wykazały późniejsze wypadki.

Bolszewicy reguły tej otwartej gry otwarcie zmienili. Lenin czarno na białym uznał za moralne wszystko, co służyło zwycięstwu rewolucji, jedynie to. Czegóż więcej? Wcielił w życie doktrynę Sorela, tego, co napisał apologię przemocy, jako „akuszerki dziejów”. Owszem, mówił o nim przez zęby. Mussolini tę doktrynę wypisał otwarcie, na sztandarach.

Na dobrą sprawę, właśnie to przeniewierstwo miała za złe Leninowi w 18 roku Róża Luksemburg i o tę zdradę chodziło Gorkiemu, gdy pisał wtedy swoje „Niewczesne myśli”. Ale jej skutki poznał sam dopiero poniewczasie.

Babel zobaczył je wcześniej i już ich nie spuszczał z oka.

Nie zastanawiał się długo. W maju 1920, zachęcony przez przyjaciela, Michała Koleowa, zaciąga się jako korespondent wojenny Jug-Rosty do Konarmii, do Budionnego. I widzi historię spuszczoną z łańcucha.

To Jerzy Stempowski tak nazwał główny nurt wydarzeń XX wieku. Historia rzadko kiedy warowała na łańcuchu, ale w tym stuleciu widzieli ją przy robocie wszyscy, bo nigdy przedtem nie zapisały jej obiektywy i kamery, nie rozgłosiły megafony i ekrany, nie mówiąc o piórach. Nigdy też taka ilość cywilów z miast i wsi nie stała się celem – z premedytacją wybranym – morderczych działań środków masowego rażenia. Dotąd działo się to niejako mimochodem: spalona ziemia nie zdałaby się nawet Hunom na pastwisko. Wojny toczyli żołnierze. Na zachodzie Europy miasta takie jak czarująca Bamberg, przez wieki stały, jak stoją: czasem wystarczyło nie być twierdzą, czasem – zapłacić okup. Wiek XX był stuleciem nalotów dywanowych, bomby atomowej, obozów zagłady, czystek etnicznych, planowej likwidacji całych klas i narodów.

Izaak Babel wcześniej i szczerzej niż ktokolwiek opisał objawy, rozrost i kierunek przerzutów tej krwawej narośli, która w jego przytomności przestała być chorobą lokalną. Był

świadkiem pierwszej wojny światowej i pierwszej zbrojnej ofensywy światowej rewolucji.

To, co zobaczył, zapisał na gorąco w notatniku. Nie wątpię, że „Dziennik 1920” przyciągnie szczególną uwagę czytelnika tomu, na który złożą się przede wszystkim opowiadania z cyklu „Konarmia”. Okazał się jedynym zachowanym manuskryptem tego autora: wszystkie inne notaty, bruliony, zaczęte dzieła, wzięto na zawsze pod areszt razem z nim 16 maja 1939 roku. Po 266 dniach przerażającego śledztwa oddano Babla pod sąd wojenny, mimo – a może właśnie dlatego – że odwołał wszystkie wymuszone zeznania, obciążające innych pisarzy i przyjaciół z Pierwszej Konnej. 26 stycznia 1940 roku, w gabinecie Berii w moskiewskim więzieniu Butyrki, trójka sędziów (przewodniczący Ulrich, ławnicy – Dmitriew i Kandybin), po procesie, który odbył się bez obrońcy i trwał 20 minut, skazała na śmierć Izaaka, syna Emanuela, Babla, bezpartyjnego, urodzonego w Odessie, Żyda, literata. Zastrzelono go przed świtem następnego dnia: żonę przez lata zwodzono niepewnością co do losu pisarza.

Otóż sądzę, że ten wyrok zapadłby wiele wcześniej, gdyby znano treść jego wojennego dziennika.

Dominantą tych notat jest zgroza i rozczarowanie. Zgroza w obliczu okrucieństw wojny i deprawacji, którą wojna szerzy. Rozczarowanie – do jej wyzwoleniczych celów. Wolno twierdzić, że udział w polskiej kampanii wywarł na poglądy i przewidywania Babla podobny wpływ jaki miało dla George’a Orwella, Arthura Koestlera czy Nicoli Chiaromonte doświadczenie wyniesione z wojny domowej w Hiszpanii. Poszli bronić rewolucyjnej demokracji. Zobaczyli, jak każe rozumieć ją Moskwa. Wrócili odmienieni i w znakomitych swoich książkach dali wyraz wnioskom, które podpowiada tajny dziennik Babla, pisany 20 lat wcześniej.

Formacja, do której zaciągnął się Babel jako Kirill

Lutow, Pierwsza Armia Konna, utworzona została w listopadzie 1919 do walki z Denikinem, prącym na Tułę, w stronę Moskwy. Walnie przyczyniła się do jego klęski, szarpiąc tyły i szlaki dostaw z południa. Obłowiła się przytem i dozbroiła szczodrze. W chwili, gdy Trocki, komisarz wojny, skierował ją na front południowo-zachodni (dowódca – Jegorow, komisarz polityczny – Stalin), liczyła 16.000 szabel i koni, 4 pociągi pancerne, 3 eskadry lotnicze, 84 pojazdy opancerzone, koło dywizji pieszych saperów i ciurów. Bardziej niż na swojej artylerii polegała na roju taczanek. Te bryczki dwukonne z przymajstrowanym cekaemem Maxima – to była *Wunderwaffe* Budionnego. Wspomagały go – z lewej flanki 14. armia piesza, z prawej – szturmowa grupa Jony Jakira „Fasty”.

W chwili, gdy się dziennik Babla zaczyna, a przełom pod Samhorodkiem szykuje, Budionny ma przeciw sobie trzecią armię Rydza, a w jej składzie – tylko jedną dywizję konniczą. Dopiero później dołączą do Polaków orenburscy Kozacy, oddział esaula Jakowlewa.

Jakir i Golikow z 12-tej armii (która 7 maja oddała Kijów Polakom i b. dywizji ukraińskiej generała Bezruczki) ułatwiają atakami manewr Konarmii. Zdobyty zostaje Berdyczów, potem Żytomierz. 10 czerwca załoga polsko-ukraińska opuszcza Kijów i wyrwa się z okrążenia na zachód. Ale Konarmia jest szybka. Już na początku lipca zdobywa Równe. Wtedy też rusza do ofensywy cała armia Tuchaczewskiego. To w jego rozkazie dziennym z 4 lipca znajdują się słynne słowa: „Na zachodzie rozstrzygają się losy powszechnej rewolucji, po trupie Polski wiedzie droga do światowego pożaru!”

O to w istocie chodziło. Taki był cel tej wojny. Bez względu na to, kto pierwszy strzelił i czy rację mieli endecy, chcąc tylko podziału Ukrainy między Polskę a Rosję, czy też Piłsudski, chcąc federacji z niepodległą Ukrainą, by osłonić się przed ekspansją – Tuchaczewski z Budionnym, Lenin i Trocki mieli przed oczyma oszałamiającą perspektywę: zbrojny eksport rewolucji na Zachód. Projekt przejął w 1939 Stalin.

I oto, 13 sierpnia pada Radzymin i zaczyna się bitwa warszawska. Na północy korpus konny Gaj-chana atakuje

Płock i Włocławek, forsuje Wisłę i dociera do Działdowa. Sikorski nie pozwala jednak 4-tej armii sowieckiej iść za tym ciosem. Warszawa broni się znakomicie, mimo, że endecy chcą przenieść władzę do Poznania i korpus dyplomatyczny już tam zmierza. Piłsudski uderza 16 sierpnia znad Wieprza w lukę między masą główną wojsk Tuchaczewskiego, szturmujących Warszawę, a korpusem Jegorowa i Stalina: tu odwróciły się losy wojny.

Otóż korpus ten, zwłaszcza jego czołówka – Konarmia, jak wiadomo, nie posłuchał rozkazu Trockiego, nie ruszył na północ, aby wesprzeć Tuchaczewskiego. Wplątany w starcia z 6-tą armią polską i strzelcami siczowymi Petlury, bił się pod Krasnem, Buskiem, Laszkami, parł na Lwów, usiłując zdobyć wielkie miasto szarżą konną. Gdy Tuchaczewski już rejteruje spod Warszawy, Budionny próbuje sześciokrotnie odciąć Lwów pod Zadwórzem. Kiedy Tuchaczewski nakazuje odwrót na całym froncie, Budionny walczy z kawalerią Rómmła wciąż pod Lwowem. Rezygnuje, ale tylko po to, aby ruszyć pod Zamość i zabiera się do oblężenia. Miasta broni skutecznie i dzielnie 6-ta dywizja ukraińska Bezruczki. Podczas gdy na północy Tuchaczewski już się cofnął za Huczwę i Niemen pod Grodnem, a kawkorpus Gaj-chana schronił się na terenie Prus – Budionny pod Komarowem toczy dwudniową bitwę z dywizją Rómmła i ponosi klęskę. *Coup de grace* zadaje mu w pościgu Marko Bezruczko. Budionny, Timoszenko, Woroszyłow i sam Stalin salwują się ucieczką przez pierścień polskiej piechoty.

Wszystkie etapy tej ofensywy, zakończonej klęską, znajdują odbicie w dzienniku Babla – od notatki z 3 czerwca, pisanej w Żytomierzu, poprzez opisy przemarszów, postojów, potyczek i szarż rejterady aż do Klewania, gdzie kończy się to pisanie w siodle 15 września 1920 roku. Nie znam bardziej prawdopodobnego i surowego opisu powszedniego dnia wojny.

Piłsudski w swoim „Roku 1920” pisze: „Ogólna charakterystyka wojny naszej 1918-1920 r. nie polegała na krwawych bojach, wystawiających na próbę bohaterstwo w ścisłym tego słowa znaczeniu, gdyż krwawe straty, które

wojska nasze poniosły w tej wojnie, były znikomo małe w porównaniu z odsetkami takich strat w wojnie tzw. światowej”.

Istotnie, np. armia rosyjska już w grudniu 1914, zachowała w szeregach ledwie połowę kontyngentu, zmobilizowanego w sierpniu.

Jak wylicza Pobóg Malinowski („Najnowsza historia polityczna Polski”, Londyn 1967) „... od listopada 1918 do końca 1920 roku liczba poległych polskich żołnierzy wyniosła 16.139, zmarłych wskutek ran i chorób – 29.353, zaginionych – 50.700, razem więc zginęło 96.201, rannych naliczono 110.210”.

Straty sowieckie były w cyfrach podobne (z tym, że siły bojowe armii Tuchaczewskiego były niemal dwukrotnie liczniejsze od polskich). Oba jego fronty, zaangażowane w polskiej kampanii, Zachodni i Południowo-Zachodni, straciły 18.000 żołnierzy, 17.500 zmarło w lazaretach, 95.000 zaginęło i wzięto do niewoli¹. Zważmy, że Tuchaczewski twierdził (jego pracę o tej wojnie Piłsudski dołączył w całości do własnej książki), że w decydującym sierpniu 1920 miał do dyspozycji 794.645 ludzi, i 150.572 konie.

Otóż straty ludności cywilnej były wiele większe. Ofiarami tej wojny byli przede wszystkim bezbronni. Dziennik Babla dowodzi tego na każdej niemal stroniczce. Tym, co najmocniej uderzyło autora, były rzezie jeńców i wyznanie osad, kolonii, miasteczek.

Zaledwie kilka lat wcześniej i w początkach wojny światowej, oburzenie całego świata i dreszcz zgrozy w Polsce wywołała wieść o zbombardowaniu przez artylerię niemiecką spokojnego Kalisza.

Oto kilka notat o jeńcach z dziennika Babla:

„– Bielów. 12.7. – Wieczór, złapali Polaka w życie, polują, jak na zwierzynę...”

1. por. „Grif sekrietnosti sniat. Potieri woorozonnych sił SSSR w wojnach bojowych diejstwijach i wojennych konfliktach. Statistyczeskije issledowanija”. Wojennoje izdatielstwo. Moskwa 1993.

„– Chotyń. 27.7. – Przywieziono jeńców, jednego, zupełnie zdrowego, krasnoarmiejec postrzelił dwa razy, bez żadnego powodu...”

„– Chotyń. 28.7. – Polski pułk cztery razy składał broń i znów za nią chwycił, gdy rzucano się na nich z pałaszami...”

„– Liski, 17.8. – Bój wzdłuż linii kolejowej na Liski. Rzeź jeńców...”

Szczególne wrażenie robią notatki z 17 i z 30 sierpnia.

„Jeździłem z wojenkomem wzdłuż pierwszej linii, błagam, żeby nie zabijać jeńców. Apanasenko umywa ręce. Szeko bąknął – dlaczego nie: odegrało to potworną rolę...”. To wtedy, po zdaniu – „Polaczek w kałasach pada w drgawkach na ziemię...” autor dziennika pisze: „Żyć się odechciewa, mordercy, niesłychana podłość, przestępstwo”.

Opis kronikarski świadczy dowodnie, jaki mieli na ogół stosunek do jeńców żołnierze Konarmii i *jakie było nastawienie dowództwa* do tej przeraźliwej sprawy.

Krótki wypad na teren polityki jest nieunikniony.

Dla niektórych polityków i historyków rosyjskich problem wymordowania w Katyniu, Miednem i pod Charkowem ponad 25.000 polskich jeńców (a ściślej – internowanych, bo wojny ZSSR Polska nie wypowiedziała) wydaje się wciąż sporny. Jedni, jak Muchin, autor dziełka „Katynskij kriminał”, dalej twierdzą, wbrew rzeczowym dowodom, że było to dzieło Niemców. Inni – jak P.N. Olszanskij – dają do zrozumienia, że Polacy mają na sumieniu o wiele większą ilość jeńców, wziętych podczas wojny 1920 roku: mowa nawet o 60.000, które do domu nie wróciły z niewoli. Politycy mający się za umiarkowanych, chętnie powtarzają w Moskwie, że – w najgorszym razie – Katyń to był akt słusznej zemsty. Bardziej nieumiarkowani – czarni, brunatni i czerwoni pospół – twierdzą kategorycznie, że Armia Czerwona żadnych jeńców nie mordowała.

Dowodzi to jedynie, że ludzie tacy mieli powody, aby „Dziennika 1920” Izaaka Babla nie wydawać, a teraz – nie czytać.

Los jeńca nigdy nie był do pozazdrosczenia. Również los jeńców sowieckich w 1920. To prawda wszelako, jak piszą

polscy badacze (Zbigniew Karpus, Andrzej Nowak, Mieczysław Wrzosek i inni), że z owych 60.000 (mniejsza o ścisłość tego rachunku) spora, jeśli nie większa część wolała po prostu nie wracać do wygłodzonej, spustoszonej ojczyzny. To fakt, że nie tylko Pułk Orenburski przeszedł na polską stronę w pełnym szyku, ale że tysiące jeńców pchały się do rosyjskich oddziałów Borysa Sawinkowa i generała Piermykina, białoruskich – Bułak Bałachowicza, a przede wszystkim – do ukraińskich formacji – Pawlenki, Bezruczki, Tiutiunnika. Mieli potem wystarczające powody, aby na wschód nie wracać. Statystyki polskie podają, że w chwili zawieszenia broni było w Polsce 110.000 sowieckich jeńców (przypomnę, że Tuchaczewski mówi tylko o 95.000 „zaginionych i jeńców”). Zmarło z nich w obozach koło 18.000.

Ale to – już w obozach. Przyznajmy przeto, że nie ma racji A. Nowak, twierdząc, że Z. Karpus „...obała dowodnie wszelkie twierdzenia o rozstrzeliwaniu żołnierzy Armii Czerwonej”. Oto świadectwo godne zapamiętania z paru ważnych powodów:

„Kozacy poddają się chętnie. Chcą, aby ich odsyłać do Wrangla. ...Demoralizowanie armii bolszewickiej przez dezercję na naszą stronę, jest utrudnione wskutek zaciętego i bezwzględного wyżywania żołnierzy jeńców...”.

Otóż jest to fragment nie jakiegoś tajnego dziennika. To pisał w swoim diariuszu 22 czerwca 1920 roku Kazimierz Świtalski, późniejszy premier, jeden z najbliższych współpracowników Piłsudskiego, wodza naczelnego armii polskiej. I nie dla siebie chował te alarmujące wieści, ale uczynił z nich użytek, choćby po to, aby akty barbarzyństwa nie szkodziły gardłowej dla Polski sprawie. Mimo, że Polska czuła się napadnięta i znów zagrożona w swoim bycie przez wczorajszego okupanta i oprawcę – ten dowódca i wpływowy polityk nie emocjom się poddawał i żądał, aby hańbie samosądów nie pobłażać. Jego diariusz, te meldunki ukazały się w Polsce drukiem w wielkim wydawnictwie („Czytelnik”, Warszawa, opr. A. Garlicki i R. Świątek) w 1992 roku, kiedy dokumentów katyńskich prasa moskiewska jeszcze znać nie chciała.

Dość więc tej licytacji. Wystarczy przytoczyć dziennik Babla.

„Dlaczego nie opuszcza mnie ten ciężki smutek? Dlatego,

że daleko od domu? Dlatego, że obracamy wszystko w ruinę, że idziemy jak wicher, jak lawa, zniechęceni przez wszystkich: życie się rozpada, jestem na wielkiej, nie kończącej się stypie”.

2 sierpnia w Bielawcach Babel pisze po prostu:

„Nienawidzę wojny”.

Opisy gwałtów, mordów, pogromów, pożarów, rabunków, których ofiarami byli bezbronni cywile z miścin i osad Wołynia i Podola, czynią przy lekturze dziennika Babla wrażenie nawet na czytelniku przesycenym już relacjami, pamiętnikami, powieściami o erze obozów i zagłady, o plonie drugiej wojny. Mają one kilka osobliwości.

Chociaż czytamy w „Dzienniku 1920” co i rusz o plądrowaniu polskich dworów i pałaców, ukraińskich futurów, czeskich kolonii, o grabieży szat liturgicznych w katolickich kościołach i w cerkwiach – jednak przeważnie mowa o Żydach, o żydowskich poderżniętych gardłach, o żydowskich prutych betach, o żydowskich dziewczętach gwałconych gromadnie.

Konstanty Paustowski, pisarz wyśmienity i najwierniejszy z przyjaciół Babla, cytuje takie jego wyznanie:

„Nie wybierałem sobie przynależności narodowej... Jestem Żydem... I chwilami wydaje mi się, że potrafię wszystko pojąć. Ale jednej rzeczy nie zrozumieć nigdy – przyczyn tej czarnej podłości, co nosi uprzykrzoną nazwę antysemityzmu”.

Sądzę wszelako, że gdyby nawet Babel nie był Żydem z Odessy, zachowałby te same proporcje, opisując ofiary rozpasania, okrucieństwa, pazerności, które widział ze zgrozą na drodze Konarmii. Powód był prosty, znał go każdy, kto oglądał polskie Kresy i Ukrainę przed tą wojną.

Mieszczanństwo na tych ogromnych przestrzeniach było przeważnie żydowskie. To Miasteczko Bełż przechodziło z rąk do rąk na całym szlaku, to biedną Rebeke gwałcili Kozacy i żołnierze, piesi i konni. Miściny, które zdobywała, tratowała, łupiła, a potem traciła Konarmia, zamieszkane były niemal w 90% przez ubogich Żydów. Tych samych, których opisał

po polsku Bruno Schulz i Julian Strykowski, Leopold Buczkowski i Stanisław Vincenz, po żydowsku – Perec, Bialik, obaj Singerowie, po niemiecku – Joseph Roth. Tam dzieje się „Dybuk” Anskiego i tam grywał na strzechach każdej Anatewki skrzypek z opowieści Szolema Alejchema, którego wyprawił w świat, na wszystkie ekrany, Norman Jewison. Po niewczasie, bo druga wojna i niemiecka machina okupacji nie zostawiły nawet śladu po tych resztkach niezwyklej i skrytej kultury, które jednak przetrwały toporne (to właściwe słowo) pogromy 20-go roku. To tu narodził się i przyczaił w miasteczkowej głuszy chasydyzm, ruch mistyczny, nie mający i nie szukający sobie podobnych w Europie wieku Encyklopedii i gilotynej.

Tu, w Korcu, cadyk Pinchas napisał swoje postanie do wiernych, by modlili się za Rzeczpospolitą, „bo kiedy napadną ją Kozacy Katarzyny, to i na nas przyjdzie zguba”.

Konarmia zajęła Korzec, jest o tym wzmianka 5 czerwca w dzienniku Babla. 21 lipca zaś, między Pełczą a Boratynem, tak mówi: „Ludność miejscowa oczekuje wyzwolicieli, Żydzi – swobód, a tu przyjeżdżają Kubańcy...”.

Babel pisze ze zgrozą o pogromach, o wyrżniętych do ostatniego rabinach, o drżących ze strachu żydowskich dzieciach. Relacja o rzezi w Komarowie, o wymienionych z nazwiska ofiarach białych Kozaków Jakowlewa, o ich śmiertelnych ranach – robi większe wrażenie, niż obraz bezimiennego kłębownika tysiąca ofiar płońskińskiego pogromu w „Pożodze” Kossak-Szczuckiej.

Babel wie też, dokąd przybył: w Żytomierzu szuka cadyka, w Dubnie odnajduje prastarą, chasydzką synagogę („Modlę się, to znaczy – prawie że się modlę...”). Nie gardzi swoimi korzeniami.

Z tym wszystkim, nikt nie znajdzie w tym intymnym dzienniku śladu stronnictwa: Babel nie daje swoim współplemioncom żadnego prawa do pokątnych przywilejów. Wydaje się, że wymaga od nich więcej, niż od innych i nie chce znać pobłażliwości dla ich wad. Opis popasu u Hastów w Równem jest pełen nieskrywanej wzdąży i wściekłości. Portrety „niedorżniętych ukraińskich Żydków-komisarzy” z Żytomierza wydają się karykaturą.

Ale tuż obok jest relacja o wzruszającej rozmowie ze skle-

pikarzem-filozofem, a po kilku dniach, w Toszcy, rzecz o pocziwym Dawidzie Uceniku, o jego lęku i o pieczy jaką autor go otacza. Staje się jasne, że Babla łączy z jego Żydami przede wszystkim solidarność ludzka.

Czytającemu ten dziennik, raz po raz przychodzi do głowy dziwaczna myśl, że jedynym internacjonalistą w Konarmii był jego autor. Sam Babel tak myśleć nie mógł, nie chciał i długo szukał dowodów na rzecz swoich pierwszych nadziei.

Konsekwentny, ale też osobiście uderzający jest stosunek autora „Dziennika 1920” do Polaków. W obfitej memuarystyce wojennej trudno w ogóle znaleźć przykład podobnej lojalności, współczucia i bezstronności wobec nieprzyjaciela.

O jeńcach już była mowa. Ale Babel z kombatanckim uznaniem potrafi pisać o waleczności przeciwnika i współczuć pokonanym. („5.8.20. Chotyń. W moczarach ugrzęzło 600 koni, nieszczęśni Polacy.”) Za wszystkie przykłady starczy opis pola bitwy z 3 sierpnia, kończący się słowami „...książeczki wojskowe. Ewangelia, zwłoki w zbożu.”

Jednocześnie, z tą samą rzeczową bezstronnością Babel odnotowuje przykłady okrucieństwa i barbarzyństwa, jakich wcale nie brak było po polskiej stronie. Już 3 czerwca, w Żytomierzu spisuje się opowieści świadków („... Polacy weszli do miasta na 3 dni, pogrom Żydów, obrzynali brody, jak zwykle, potem zebrali na rynku 45 Żydów, zapędzili do rzeźni, tortury...”), nie zapominając dodać, że „stróża, któremu matka rzuciła niemowlę na ręce – zakłułi, ale ksiądz przystawił drabinę do szczytowej ściany i w ten sposób się uratowali”. Opis męczarni, którym polska żandarmeria poddała w Beresteczku aptekarza, kończy się zastanawiającą uwagą: „...co za idiotyzm. Polacy musieli zwariować, sami siebie tym gubią”.

Polskiego czytelnika najbardziej zastanowi stale powracający na tych kartach motyw pociągu, ba, zachwyty Babla dla polskiej kultury. W Brodach, już pod ogniem artylerii, tkwi w polskiej księgarni, bo „oto Zachód i rycerska Polska, wypisy, historia wszystkich Bolesławów i wydaje mi się cze-

muś, że to jest piękne... Odrywam się od książek z rozpaczą”. W Beresteczku z obrzydzeniem i zgrozą ogląda beczeszczanie polskiej świątyni: „Koszmarna historia – ograbienie kościoła, rwą ornaty... gromnice pokradzione, szuflady powyrywane, bulle wyrzucone na ziemię, pieniądze zaharapczone... Wspaniały ciemny Chrystus, Rembrandt, Madonna w stylu Murillo...”. W Równem cytuje Sienkiewicza jakimś neofitem rewolucji, skarżącym się na szkany polskich władz. W notatce z Bielowa przytacza odezwę Piłsudskiego z oczywistym uznaniem dla jej patetycznej prostoty. Pod Zamościem nocuje w polskiej chacie i życie biednych polskich chłopów wydaje mu się czystsze, weselsze („bawią się z dziećmi, piękne obrazy święte, ładne kobiety...”) od tego, które widział w Rosji.

Widzę w tym dowód nie tyle nagiej miłości do Polski i nawet nie tęsknoty do Zachodu, który chłopcu z Odessy w prowincjonalnych Brodach się objawił, ile zawodu, rozczarowania, żalu, że jego armia, jego rewolucja, jego ojczyzna niszczy to, co miała pobudzić do nowego rozkwitu.

G.A. Bieleja, najbardziej wnikliwa z rosyjskich badaczek dzieł i losów Babla, tak zamyka omawianą tu kwestię:

„Uczucie zgrozy na widok okrucieństwa i ruin – oto co skazywało Babla na rozbrat z towarzyszami broni... W jego stosunku do rewolucji przejawiał się – jak sam to przyznawał – tragiczny splot uczestnictwa z odrazą”.

Wiemy zatem dzięki „Dziennikowi”, że autor tych notat miał dar historycznej wyobraźni. Wyobraźnia ta pozwalała mu nie tylko zrozumieć prędko, ku czemu jego armia, rewolucja i ojczyzna zmierza, ale też widzieć niebezpieczeństwo, na jakie sam się naraża. Wyobraźnia nie tłumiła jednak w tym człowieku odwagi. Odwaga okazała się dla Babla niezbędna, bo ciekawość była naczelną cechą jego charakteru i współczynnikiem jego talentu (bagatelna notatka z dziennika: „... dokąd właściwie jechać, na Radziwiłłów, czy na Brody?... W Brodach będzie ciekawiej, toć to bitwa o Brody.”

To ciekawość, nie zaś skłonność do sadyzmu, kazała temu łagodnemu i dowcipnemu człowiekowi rozglądać się po

miejscach kaźni i pobożowskich, patrzeć, jak płoną w krematoryjnym piecu zwłoki przyjaciela, Edwarda Bagryckiego, przypatrywać się uważnie ludziom w sytuacjach skrajnych, na samej granicy człowieczeństwa: chciał wiedzieć dokładnie, do czego człowiek jest zdolny. Bo wciąż oczekiwał zaprzeczenia swoich najgorszych przeczuc. „Dziennik” jest tego dowodem.

Cóż jednak za pożytek z tego całego pożytku? Co ta ciekawość razem z talentem w końcu dały? Otóż notatki, którym tutaj poświęciliśmy tyle miejsca, warte są uwagi nie samych tylko historyków, bo pisała je ręka autora „Konarmii”.

Jest to utwór mistrzowski: mamy zapewne do czynienia z najznakomitszym dziełem prozy tego stulecia – jeśli mowa o trudnym gatunku krótkiego opowiadania.

„Konarmia” wcale nie była pisana bezpośrednio po „Dzienniku 1920”: ten zresztą Babłowi zginął. Jej pierwsze wydanie wyszło w maju 1926. Wcześniejszy druk w czasopiśmie paru opowieści, przeważnie tych z cyklu odeskiego, zwrócił uwagę i wzmógł nadzieje czytelników: to sporo. Ale dopiero pojawienie się całego tomu wywołało sensację. Otóż G. Biełaja pisze: „Szok powodował nie temat, lecz spokojny głos autora” – to jest traktowanie nadzwyczajnych zdarzeń, jako składników codzienności. Tego ważnego stylistycznego chwytu Babel musiał się dopracować. Dziennik pisany jest gorączkowo. Uderza szczerością, wrażliwością, osobistą prawością autora. Ale „Konarmia” podnosi opisane wypadki i osoby do roli cząstek historii. Otwiera nam – jakby powiedział Ostad Elahi – trzecie oko na niezwykłość i ogrom cudu, jakim jest życie, także w swojej grozie i beznadziei. Dlatego Babel wybiera przypadki skrajne, więc bardziej wymowne, dobitniejsze. Stąd jego skłonność do barw, metafor, nagłych skojarzeń, niepowszednich słów. Nie o zdobnictwo dbał. Stąd też jego potrzeba, więcej – przekonanie o konieczności fantazjowania, mijania się nie z sensem własnych notatek, tylko z ich zgrzebną logiką.

Nim powiemy, co tym sposobem chciał osiągnąć, przypomnijmy, że mistyfikacja była istną pasją Babla. Korniej

Czukowski pisze („Dziennik”, Moskwa 1994, str. 333): „O Bablu. Wszystkich cygań, nawet gdy chodziło o drobnostki. Obwarował się sekretami. Jadąc do Pitra, mówił (nawet 10-letniej córeczce sąsiadów), że jedzie do Kaługi”.

W „Przeprawie przez Zbrucz” nie ma tej przeprawy, w „Drodze na Brody” nie ma tej drogi – podkreśla biograf Babla, Lewin. Dodajmy, że Lutów z „Konarmii” w ogóle niewiele ma wspólnego z autorem „Dziennika 1920” – przeważają w nim cechy osłupiałego inteligenta. Dziennik pisał zaś człowiek bystry, urodzony obserwator. Owszem, „niezdolność zabicia człowieka” ich łączy.

Niefortunni obrońcy Babla twierdzili, że „Konarmia” jest eposem, bo mówi o bohaterach i opiewa heroizm ich czynów. „Nie znają lęku i czują głęboko wielkość swej walki” – pisał Gorki w liście otwartym, protestując przeciw oskarżeniom Budionnego. Dodał jeszcze, że „Babel przyozdobił swoich bohaterów nie gorzej, niż Gogol swoich Zaporozców”.

Otóż nie przyozdobił. Przeniósł ich tylko na inne piętro, na poziom *skazu*, tej formy eposu, która samym sposobem narracji uszlachetnia bohaterów. Toż początek „Iliady” byłby tylko historią zwady dwóch niemytych watażków, biorących się za łby o jakąś dziwkę, gdyby nie powaga i blask wdzięku, które Homer heksametrem nam każe widzieć w tej awanturze.

„Konarmia” jest utworem poetyckim. Jest to poezja bez mgły i lirycznych tęsknic, za to posługująca się wszystkimi niemal środkami, które czynią z niej wehikuł znaczeń o wiele pojemniejszy i szybszy od innych literackich pojazdów. Zwięzłość, o którą tak dbał Babel, jest tu osiągnięta dzięki wykorzystaniu innych jeszcze nosicieli sensu, prócz słownikowej substancji. Kadencja zdań, zaskakujące przenośnie, barwa głosu autorskiego, niemal słyszalna, niezwykle w prozie określenia zwykłych rzeczy – wszystko to są sposoby, które z poezji czynią bardziej nośną niż inne drogę do uczuć i myśli odbiorcy. Żeby użyć żargonu informatyki – jest to droga na skróty dla autorskich komunikatów.

Babel użył tej drogi bez żadnych ustępstw dla fałszu.

Podniósł na piedestał epiki historie krwawe, brudne, brutalne, opisane przedtem w „Dzienniku 1920” szeptem pospiesznym i pełnym zgrozy. Zdarzenia i osoby są te same. To styl, chwyt, zabieg literacki czyni je innymi. Ba, wielkimi. Sublimacja protagonistów następuje w „Konarmii” bez modyfikacji i zakłamywania ich czynów. Babłowi udało się skonstruować mit bez szkody dla prawdy. Rzecz to niezmiernie trudna i rzadka.

Kontrowersja z Budionnym nie ten miała powód, że sławny kawalerzysta nie znał się na poezji; to swoją drogą. Gorzej, że chciał wpisać do historii inny mit, inny obraz działań i roli swojej drużyny i jej politycznego komisarza. System, przez owego komisarza żelazną ręką utrwalony, dawał władzy monopol również na tworzenie mitów i opisywanie zdarzeń minionych, bieżących i przyszłych. Prawo do takich opisów miały tylko talenty z nominacji. Babel miał talent z innego, nieziemskiego nadania. To dlatego zginął.

Powiada się, że historię piszą zwycięzcy. Nie, nie ma tak dobrze.

Kraków, kwiecień 1997

Jerzy POMIANOWSKI

Zapiski sołowieckie (VII)

„Od młodości bowiem Moskwicini nabierali przekonania, że tylko oni są prawdziwymi chrześcijanami, zaś inni (nawet katolicy) są nieczystymi heretykami, lub błędzącymi”.

Antonio Possevino, „Moscovia”.

„Dopóki Ruska Cerkiew będzie zachowywać podejrzliwy i wrogi stosunek do wszystkich innych chrześcijan, dopóty rozdział między Europą i Rosją tak czy inaczej będzie trwać”.

Alain Besançon

Schyłek lata na Sołowkach przypomina sen: z mgieł widnokrąg się wysnuwa, niby wątek opowieści przerwanej w pół słowa, niebo jest popielate, morze – perłowe, a w powietrzu babie lato lata. Tu i ówdzie zapalają się już brzozy, trawy płowieją, pachnie mchem. Szary opar landszaft kryje, śpią w nim łąki i łęgi, i jeziora jakby drzemią, śniąc o drzewach i o ludziach, pochylonych nad nimi. A ludzie smętnieją, że lato się kończy, i piją, by ów sen przedłużyć. I tylko wśród ptaków rejwach przed rajzą: kaczkę ucą młode pływać, czajki do odlotu skwirzą, i endendrony się denerwują, i nury coś knują. Wtem nadchodzi jesień. Dni to słońcem rażą, to deszczem chlaszczą. Morze sztormi i biesi się, pobielate od piany. W lesie orgia barw: brzozy jak świece, żółto płoną w ciemnej zieleni świerków, osiny bordowieją, jagodniki krasnieją, a błota w oranżach się żarzą. Ziemia wolno stygnie. Ranny szron warzy kwiaty w ogrodzie. W domu zapach suszonych grzybów, bulgot duszonych jagód, wszędy wiszą

pęki ziół, pietruszki i kopru. Kopcujemy kartoszkę, buraki, marchew i brukiew. Solimy śledzie i chruszcze. Noce na Wyspach się wydłużają, niczym cienie dni, i czarne się robią, choć oko wykol. Czasem tylko, znienacka, ujrzyś *współochi* na niebie, jakby światło się sączyło z... tamtego świata. To *siewiernoje sijanije* (zorza polarna) tak świeci.

19 sierpnia

Dzień Przemienienia Pańskiego. Jedno z głównych świąt prawosławnych, na Sołowkach obchodzone ze szczególną pieczę, wszak monastyr *Spaso-Prieobrażenskij*. Od rana biją w *kołokoła* – dzwon niesie, po wodzie, daleko. Po południu przyszedł brat G., przyniósł butlę Kagora z Mołdawii i pęk suszonych leszczy. Rozmawialiśmy o hezychazmie – mistycznej doktrynie prawosławia, sformułowanej na greckiej górze Atos w XIV wieku, choć powstałej znacznie wcześniej, bo jej korzenie sięgają egipskiej pustyni IV stulecia naszej ery. Grigorij Pałama, Grigorij Synaita, Nil Kabasilas... wszyscy oni uczyli, że nie materia, lecz energia jest osnową świata. Światło! Chrystus na górze Tabor, wedle hezychastów, pokazał nam drogę: jak soczewka skupił Światło w sobie. Dzięki praktyce *bezmołwija* (świętego milczenia) i określonym technikom modlitewno-medytacyjnym (nieco przypominającym jogę), hezychasci osiągnęli oświecenie, którego fascynującym zapisem jest poetycki dziennik (*zapiski kielejnyje*) prekursora ruchu, Simeona Nowego Teologa. Później prawosławie nieraz się odzęgnywało od hezychazmu, jako jednej z herezji, widząc w nim zaledwie „kontemplację własnego pępka i sztukę zatrzymywania oddechu”. Jeszcze niedawno Siergiej Bułgakow pisał, iż „bzdurne rojenia hezychastów o możliwości osiągnięcia niestworzonego światła rychło ulegną zapomnieniu”. Tymczasem na odwrót, hezychazm nie tylko nie został zapomniany, ale zaczyna wzbudzać coraz większe zainteresowanie w kręgach odradzającego się w Rosji prawosławia, o czym świadczą choćby ostatnie publikacje, jemu poświęcone. Tu brat G. wylicza tytuły...

– ... a nie uważasz, że to moda – przerwałem bratu – jak

postmodernizm w innych kręgach intelektualnych? Bawiąc w Moskwie, odwiedziłem Siergieja Chorużego, filozofa, matematyka i tłumacza Joyce’a. Powodem mojej wizyty był „Diptich bezmołwija”, jego ostatnia książka, poświęcona hezychazmowi; Siergiej Siergiejewicz właśnie wrócił z Petersburga, gdzie się odbyła sesja naukowa o *bezmołwii*. Trzy dni bili pianę o milczeniu! I sam „Diptich”... to też brednia. Z jednej strony Chorużyj pisze o konieczności powrotu do źródeł ruskiego myślenia, czyli do pism Świętych Ojców, twierdząc, że filozofia rosyjska XIX i XX wieku została zdominowana przez niemiecki idealizm, z gruntu obcy duchowi prawosławia, a z drugiej strony używa terminologii Heideggera do interpretacji też Pałamy.

– Problem w tym – rzekł brat G. – że dawni starcy, na przykład Nil Sorskiej, jeden z wielkich ruskich hezychastów, nigdy nie dociekali *bezmołwija* słowem, jeno praktyką, czyli milczeniem i modlitwą. A ich skąpe wypowiedzi, przypominające aforyzmy, to wskazówki, nie więcej. Wskazówki dla praktyki. Inaczej mówiąc, obrysowywali słowami kontur tego, o czym powiedzieć nie sposób, jak w niektórych testach psychologicznych, gdzie profil jednej figury, wycieniowanej, wyznacza kształt drugiej – pustej. Natomiast filozofowie dzisiejsi układają postmodernistyczne rebusy, pustosłowiem grzesząc, bądź próbują rzec coś o... niewypowiedzialnym. I póty się nowinkami z Zachodu bawią, w swoim sosie kisną, lecz kiedy o *bezmołwii* zaczynają pleść, żałośni się robią, i pocieszni zarazem. Już w XIV wieku pewien mnich z Kalabrii, niejaki Warłaam, drogą spekulatywnych roztrząsań chciał ośmieszyć praktyki hezychastów. Potem na Zachodzie kalabryjskiego mnicha uznali za ojca Renesansu, a na Wschodzie – za heretyka i hochsztaplera. Od Warłaama spekulatywna myśl europejska doszła do Kanta i zaczęła przenikać do Rosji. Filozofowie tzw. „srebrnego wieku”, Mieriezkowski, Iwanow, Bierdiajew, próbowali ująć prawosławne doświadczenie w aparat pojęciowy, zapożyczony od Niemców, zaś Siergiej Chorużyj, niby odrzucający ich dokonania, w gruncie rzeczy poszedł tą samą drogą. I w efekcie rozmył istotę *bezmołwija* w pustej gadaninie.

– Myślę – wtrąciłem – że znacznie bliższy hezychastom byłby Ludwig Wittgenstein, choć to człowiek Zachodu, w

każdym calu. Posłuchaj, co pisał do swojego wydawcy, von Fickera, w 1914 roku: „... moje dzieło składa się z dwóch części: z jednej zamieszczonej tutaj i z tego wszystkiego, czego nie napisałem. I to właśnie ta druga część jest ważna”. Czyli to, co napisane, winno wyznaczyć granice temu, co przemilczane. Temu, co naprawdę ważne. Główna teza Wittgensteina brzmi tak: „Przedstawiając jasno to, co wypowiadalne, można wskazać to, co niewypowiadalne”. Czyż to nie bliskie *bezmotwiju*?

Zapadło milczenie. Drobimy winco małymi łykami. Za oknem czajka się drze i morze grzmi, a brat G. leszcza szczypie i myśl zuje, iż ktoś na Zachodzie, w dodatku filozof-logik, mógłby się przybliżyć do prawd prawosławnych. Wreszcie przemówił.

– Widzisz, Mar, *filo-sofia* z greckiego to miłowanie mądrości. Czyli rozumu, rzecz jasna, *człeczego*. Rzeczy z gruntu omylnej, nietrwałej i pustej. Natomiast prawosławna ascetyka, której hezychazm jest najdojrzalszym płodem, to *filo-halia*, na Rusi przełożona na *dobroto-lubie*, czyli miłość do piękna. (*Dobrota*, Piękno, to jedno z imion Pana w starosłowiańskim języku). Może dlatego w Rosji nie filozofowie, lecz artyści częściej dotykali sedna bytu, począwszy od Andrieja Rublowa i Teofana Greka, wybitnych ruskich *bezmotwników* XIV wieku, i nie kończąc na Puszkynie, Tiutczewie, Dostojewskim czy Tołstoj... Innymi słowy, *bezmotwije* jest wyższą formą sztuki, rodzajem twórczości – dla niej materiałem jest sam człowiek. Milczenie to praktyka, którą prawosławny Wschód przeciwstawił zachodniemu teoretyzowaniu. Nie *cogito ergo sum*, lecz najpierw *sum*, a już potem, i to niekoniecznie, *cogito*. Przy tym, zwróć uwagę, obszar *cogito* jest zaledwie fragmentem rzeczywistości, choć nader często pretenduje na całość. Praktyka *bezmotwija* rozbija logiczne skorupy dyskursywnego myślenia i pozwala przejść granicę, oddzielającą ów racjonalny fragment naszego bycia od Realności. Twój Wittgenstein słowami próbował tę granicę wyznaczyć, zaś mnich prawosławny ją w milczeniu przekracza, zostawiając rozgadany świat za plecami.

– Cóż, jako filolog nie mogę się pogodzić z tak radykalnym odrzuceniem daru języka. Rzecz w tym, jak się nim posługiwać. Jedni gwarzą, drudzy mamrocą, inni chlapią

ozorem, a świat puchnie od plot: plotą w telewizji, plotą w gazetach, i w internetach... Zalew słów, błoto, grzęzniemy! I tu się z tobą zgadzam – lepiej milczeć w odosobnieniu. Wittgenstein się zaszył w Skölden, wiosce rybackiej na północy Norwegii. Bo język wymaga milczenia, *bezmotwija*. To nie paradoks, to... doświadczenie. Czasami myślę, iż język jest najlepszym dowodem na istnienie Boga, albowiem wszystko w nim istnieje, każde źdźbło trawy, odcień nieba i szum lasu, i przecinek, który życie może dać, i kropka zamykająca oczy na zawsze...

Zadzwonili na wieczorną mszę. Dopiliśmy wino.

„Cudzoziemscy pisarze są zgodni – zauważa Kluczewskij – że w Moskwie do nikogo nie odnoszono się z taką niechęcią i niedowierzaniem, jak do katolików”. Być może dlatego [że] właśnie katolicy, jak nikt inny, lekceważyli ruskie prawosławie. Jedni, jak Possevino, czy de la Neuville, przyjeżdżali do Rosji, by ją do Rzymu przyłączyć, drudzy, jak Joseph de Maistre, twierdzili, że ‘grecka wiara w ogóle nie istnieje, bo zewnętrznie ruska religia polega na żegnaniu się i pokłonach, zaś duchowo to maniakalna i bezmyślna nienawiść do rzymskiego Kościoła’. Niestety, dziś sytuacja nie wygląda lepiej. Niedawno pewien radca ambasady RP w Moskwie (prosił o *incognito*) tłumaczył mi problemy z akredytacją tym, że polscy księża przyjeżdżają do Rosji, podszywając się pod... korespondentów. Ba, nawet w *Kulturze* zdarzają się teksty, w których autorzy lekce sobie wazą religijne odrodzenie w Rosji. Weźmy taki ustęp: „Prawosławie w dzisiejszej Rosji jest bodaj czymś niewiele więcej niż ładną folklorystyczną ozdobą państwowych i społecznych uroczystości i trochę snobizmem. Do roli żywego źródła nowych idei bardzo mu jeszcze daleko, a jeszcze dalej do powszechnego rządu dusz” (J. Trybusiewicz, „Dwa trójkąty i jedna obsesja”, *Kultura* 12/1996).

Bez przemyślenia roli ortodoksji w kształtowaniu rosyjskiej tradycji, historii i ducha, nie sposób serio rozmawiać o Rosji w ogóle, zaś niedostrzeganie jej obecnego powrotu do prawosławia (z charakterystyczną dla Rosjan gorliwością

i skrajnościami), czyni też ślepym na jego konsekwencje. Rzecz jasna, z zewnątrz widać, przede wszystkim, ciągle kłótnie wśród popów, rozłamy i wyklinania z łona, i wciąż jeszcze żyje pamięć kontaktów Cerkwi z komunistycznym reżymem, i z KGB. Lecz z drugiej strony tylko końskie okulary mogą zasłonić fakty, świadczące o autentycznym renesansie prawosławia w Rosji, zarówno w dobrym, jak i w złym. Innymi słowy, nie tylko Rosja się nawraca, ale i religijny szowinizm w niej ożywa, jak ciało, w które duch powrócił. Ot, choćby książki – wśród setek pozycji, wydanych w ostatnim czasie, znaleźć można wznowienia Ojców Kościoła i klasykę ruskiej myśli teologicznej (w tym rzeczy naprawdę unikalne!), przedruki z emigracji i z *samizdatu*, poradniki jak pościć, jak się spowiadać i jak walczyć z nałogiem palenia („Kurit’ – biesam kadit’”, Wydawnictwo Moskiewskiej Patriarchii, 1997), żywoty starych świętych i nowych męczenników, dzieła zebrane ojca Florenskiego i Mienia. Ale nierzadko można też znaleźć na cerkiewnych straganach „Protokoły mędrców syjońskich”, lub gazetę *Cziornaja sotnia...*

(*A propos* książek. Namiestnik sołowieckiego monasteru, o. Josif, dał mi kilka rzeczy do poczytania. M.in.: „Prawosławnyj protiwo-katoliczeskij katechizis”, „Papstwo i jego bor’ba s prawosławijem” i broszurę Anatolija Popowa „Pora prosnut’sja! Gonienije na prawosławije i russkich w Polsce w XX wiekie”, pierwszy raz wydaną w Belgradzie w 1937 r. i wznowioną w Sankt-Petersburgu... rok temu. Broszura zaczyna się tak: „Prawosławie przyszło do pogańskiej Polski w VIII wieku, za czasów świętego Metodogo. Po zwycięstwie księcia niemieckiego Albrechta Niedźwiedzia nad polskim księciem Mieszkiem I, prawosławna Polska popadła pod wpływy Rzymu, a w konsekwencji w pełni mu się podporządkowała...”.)

Rosja wraca do Cerkwi różnymi drogami: dla jednych to wąska ścieżka mnisiego trudu, dla drugich to pasaż politycznej walki, niektórzy odbudowują chramy i krzyże, inni pod znakiem krzyża organizują *quasi*-patriotyczne bojówki. Ani jedna uliczna demonstracja „krasno-brunatnych” nie obywa się dziś bez swojego batiuszki i nieprzypadkowo też zmarły niedawno Władysław Joann, Metropolita Sankt-Petersburgskij i Ładożskij (członek Świętego Synodu), swe słynne

kazania przeciw „syjońskim mędrcom” i rzymskiemu Papieżowi dawał do druku *Sowietskoj Rossii*, zaś Alain Besançon w wywiadzie dla *Russkoj Mysli* (z 17-23 kwietnia '97) mówi, że Rуска Cerkiew może zająć miejsce komunistycznej międzynarodówki, zwłaszcza tam, gdzie posiada realne środki nacisku (Ukraina, Białoruś), lub choćby duchowy wpływ (Grecja, Rumunia, Serbia, Bułgaria).

Nie tylko Rosja wraca do Cerkwi, ale i Cerkiew wraca do Rosji: Cerkiew państwowa. W Ustawie „O wolności sumienia”, przyjętej już w Dumie i podpisanej przez Prezydenta, miejsce Cerkwi w państwie zostało jasno określone: Rуска Cerkiew Prawosławna jest jedynym chrześcijańskim wyznaniem, zaliczonym do tradycyjnych wyznań w Rosji, obok judaizmu, islamu i buddyzmu. Na nic się zdały krzyki i protesty, listy Papieża i demonstracje – Ustawa „O wolności sumienia” przeszła, ku zdziwieniu wielu. A przecież dziwić nie powinno to nikogo, wszak Ustawa powtarza to, co w Rosji mówi się od wieków. Że jedyną wiarą chrześcijańską jest prawosławie, a wszystkie inne wyznania to herezje. Zatem tylko prawosławie ma prawo reprezentować chrześcijaństwo w gronie wielkich religii świata.

Na przestrzeni wieków ruskie monastypy były bastionami prawosławia – chrześcijańskiej ortodoksji. Tutaj zwalczano każdy odcień herezji, czasem knutem, czasem kazamatą. Przy tym za heretyków poczytywano nie tylko rozmaitych sekciarzy, jak chłystów, skopców i innych odszczepieńców, ale także katolików. W XI wieku Feodosij Pieczerskij, założyciel ruskiego monaszeztwa, pisał w „Zawieszczaniu”: „Od wiary łacińskiej (katolickiej) trzymaj się z dala, ich obrzędów nie naśladuj, ich komunii nie przyjmuj, ich nauk nie słuchaj i obyczajów ich brzydz się. Strzeż się, synu, krzywowierów i wszelkich biesiad z nimi, bo i nasza ziemia pełna ich. I ten tylko zbawi swoją duszę, kto w Prawosławnej Wierze żyje, bo nie ma innej, lepszej, niż nasza, czysta i święta, Wiara Prawosławna. Pozostając w Niej od grzechów się zbawisz, i od mąk piekielnych, i życia wiecznego dostąpisz, i będziesz ze Świętymi się radował. A żyjący w innych wiarach: w katolickiej, w muzułmańskiej, lub w ormiańskiej – nigdy nie ujrzą życia wiecznego”.

Posłanie Feodosija Pieczerskiego jest żywe w ruskim prawosławiu do dziś, zwłaszcza w monastyrach. I nieraz było powtarzane przez świętobliwych ojców, choćby wspomnieć błogosławionego Ambrosija, starca Optińskiego, przestrzegającego w listach do wiernych przed łacińską herezją, czy świętego Joann Kronsztadtskiego, który grzmiał na kazaniach, że nie ma zbawienia dla krzyżowierów, „bo żadne inne wyznanie Chrześcijańskiej Wiary, prócz Prawosławnego, nie może oczyścić chrześcijanina z grzechów i przywieść do życia wiecznego, a nieprawosławne wyznania, „prawdę Boga w niesprawiedliwości zatrzymują” (Rzym.1,18), mędrkowaniem i kłamstwem ją zamąciły i brak im środków, przez Boga дарowanych, ku oczyszczeniu, oświeceniu i odrodzeniu, jakie ma Prawosławna Cerkiew”. Ojciec Joann z Kronsztadu, ostatni święty przedrewolucyjnej Rosji, był zaciekle wrogiem ekumenizmu, czemu dawał wyraz nieraz. Twierdził, że to Szatan podsuwa światu projekty zjednoczenia chrześcijańskich wyznań, wiodąc tym samym ku zobojętnieniu wobec jedynej, prawosławnej wiary, jej obrzędów i dogmatów.

W przededniu rewolucji wyszła w Rosji książka archimandryty Ilariona (Troickiego) pt. „Christianstwa niet bez Cerkwi”, w której jeden z najwybitniejszych ruskich teologów XX wieku pisał: „Prawda Cerkwi została na Zachodzie mocno wypaczona po odpadnięciu Rzymu od Cerkwi, zaś Królestwo Boże zaczęło tam przypominać królestwo z tego świata. Łaciństwo (katolicyzm), z jego doczesnymi rachunkami dobrych uczynków, z najemniczym stosunkiem do Boga i z imitacją zbawienia, zafałszowało chrześcijańską ideę Cerkwi w świadomości swoich wiernych”. (W 1992 r. Oddział katechizacji Patriarchii Moskiewskiej polecił wznowić książkę Troickiego, albowiem „Praca archimandryty Ilariona wyjaśnia prawosławny pogląd na ruch ekumenistyczny i jest użytecznym kierunkowskazem dla współczesnych teologów, duchownych i wiernych w tym zawikłanym dziś problemie.”) W 1925 roku archimandrytę Ilariona zesłano na Sołowki, gdzie zdobył ogromny autorytet wśród zeka i był współautorem słynnego „Posłanija starcew sołowieckich” – testamentu duchowego na lata prześladowań.

Sołowiecki monastyr wznowił swoją działalność w lutym 1992 r. Parę miesięcy później, 21 sierpnia '92, Patriarch Moskowskij i Wsieja Rusi, Aleksij II, przywiózł na Sołowki szczątki sołowieckich świętych, Sawwatija, Zosimy i Giermana, wywiezione stąd w latach 20-tych, za czasów SŁONA. „Ibo wsjo wozwraszczajetsja na krugi swoja...” zapisał klasztorny latopis. Kilka dni potem przyjechałem tu ja. Z Weroniką. Czyli Polak z Jewrejką, dla miejscowych. (Nawiasem mówiąc, z zamierzchłych czasów Polak na Rusi był uosobieniem... diabła. W XIII-wiecznym „Kijewo-Pieczerskom Patierikie” można znaleźć żywot świętego Matfieja, któremu bies w polskim kaftanie przeszkadzał w modłach. A o Żydach tu nawet w nawiasie lepiej nie mówić.)

Dzięki zamieszkaniu nie opodał ścian jednego z największych ruskich monastyrów mam okazję z bliska oglądać ów „powtórny chrzest Rusi”, jak zwą obecny renesans prawosławia sołowieccy mnisi. Z okien naszego domu widzę *kriestnyje chody* wokół klasztoru, podczas świąt prawosławnych goszczę pątników z Moskwy, z Petersburga, czasem z Polski. W noc *krieszczenskiju* zanurzałem się z braćmi w wody Świętego jeziora... Bywałem w refektarzu na paschalnych śniadaniach i na Sekirnej górze w Radonicę, studiowałem język cerkiewno-słowiański i mistyczne nauki hezychastów, słuchałem rad starców, rozmawiałem z malarzami ikon, pościłem.

Przy mnie wielu Sołowczan się chrzcilo. Dla przykładu Martynow, były sekretarz partii, przyjął chrzest, zanim został dyrektorem muzeum, bo pojął, że dziś bez pomocy monastyrza muzeum przepadnie. Albo Igor, dawny przyjaciel brata G. z Mołdawii, który przyjechał tu zarobić na rżnięciu ikonostasów. Brat mu powiedział, że niechrzczony nie może dotykać Carskich Wrót, więc Igor się ochrzcił, choć nie uwierzył. Lub Sasza Fokin, chytry muzyk, który zawsze wie, skąd wiatr wieje, ten stanął do chrztu w kolejce, bo... za darmo dawali. Rzecz jasna, są i tacy, co szczerze się nawrócili, żarliwie, po rusku. Ci od razu jęli innych nawracać, a niewierzących – przeklinać. Tyłu rozmów o Bogu w życiu nie słyszałem, nawet w bani roztrząsają o życiu wiecznym. Ilekroć bywam w domach u „nowych prawosławnych”, tylekroć mam wrażenie teatru: zamaszyste żegnanie się przed posiłkami, pokłony,

krasnyje ugły. Jak dawniej, jota w jotę, tylko... kto dzisiaj wie, jak dawniej bywało? Stąd spory o jotę: jak pościć, kiedy w chrampie się kłaniać, lub czym się różni biznes od grzechu *mszełoimstwa*. Niewątpliwie bliskie sąsiedztwo monastera dodaje zaru tym sporom. Co więcej, wpływ monachów, i ich reguły nie dla tego świata, często bywa tu przyczyną różnych bied. Pewna dama tak się wiarą przejęła, że ślubowała czystość i rzuciła męża, z dwójką dzieci. A druga się skurwiła, bo jej powiedzieli, że żyje w grzechu, malując usta, więc poszła na całość, bo tak czy tak, czeka ją piekło. Innymi słowy, prawosławni na Wyspach często przypominają ludzi po wypadku, którzy od nowa uczą się chodzić, jak dzieci.

Dzięki prawosławiu z innej strony na katolicyzm spojrzalem. Dystans czasu (wszak tu wszystkie święta są przesunięte w kalendarzu), różnice w obrzędzie i w obyczaju, wreszcie kontrowersje dogmatyczne, i duchowe zarazem, unaocznily mi uzurpację prawdy, tak z jednej, jak i z drugiej strony.



W pierwszych latach SŁON-a na Wyspach była czynna cerkiew Onufrijewska (jedyna zachowana), gdzie prawosławni mogli się modlić. Jesienią 1925 roku unicki duchowny, ojciec Aleksandrow, otrzymał pozwolenie od naczelnika łagru na odprawienie w niej mszy w obrządku katolickim. Niestety, do mszy nie doszło, albowiem monach Agapita, *nastojatiel* cerkwi, oraz reszta braci... sprzeciwili się. Latem '93 na Sołowki przyjechał ksiądz Cekiera z Warszawy, by odprawić mszę za katolików, poległych na Wyspach w czasach SŁON-a. Lecz i tym razem sołowieccy bracia nie zgodzili się na mszę katolicką w swojej cerkwi. Ksiądz Cekiera mszę odprawił u nas w domu. Na moim piśmiennym stole.

Mariusz WILK

Archiwum polityczne

Przedwyborczy letarg Niemców

Kiedy we wrześniu 1982 roku w Zachodnich Niemczech doszło do rozpadu socjalno-liberalnej koalicji, nad Renem mało kto wierzył, iż nowemu kanclerzowi, Helmutowi Kohlowi, uda się wyjść z cienia swoich poprzedników i przez ponad piętnaście lat stać się niekwestionowanym liderem nowego rządu. Po kilku latach kryzysu gospodarczego, przy dramatycznie rosnącej recesji oraz zadłużeniu państwa znikło zaufanie do polityki gabinetu kanclerza Helmuta Schmidta. Z przejściem rządu przez nową koalicję pod przywództwem Kohla wiązała się nadzieja na liberalizację polityki gospodarczej. „Więcej rynku, mniej państwa” – ten slogan CDU z początku lat osiemdziesiątych zapowiadał nowatorską politykę w Bonn. Ożywienie gospodarki zachodnioniemieckiej miało nastąpić poprzez polepszenie warunków dla prywatnych inwestorów. Konsolidacja budżetu federalnego miała dojść do skutku drogą cięć świadczeń społecznych. Po przejściu władzy przez Kohla sytuacja ekonomiczna w Niemczech rzeczywiście się odprężyła. Niemcy zawdzięczali nową hossę bardziej korzystnemu rozwojowi gospodarki światowej niż konsekwentnym reformom kanclerza Kohla. Zmiana władzy nad Renem nie miała w Niemczech takich konsekwencji jak przejście rządu przez Ronalda Reagana w USA czy Margaret Thatcher w Wielkiej Brytanii. Mimo neoliberalnych sloganów duch państwa opiekuńczego pozostał obecny także w polityce rządu Kohla, co zapewniało chadecko-liberalnej koalicji na wiele lat władzę w Bonn, ponieważ większość Niemców przeciwna była daleko idącym reformom.

Mimo paraliżu socjaldemokratycznej opozycji oraz dobrej koniunktury na świecie, lata osiemdziesiąte były trudnym okresem w biografii politycznej Helmuta Kohla. Stale rosnące bezrobocie oraz zadłużenie budżetu federalnego były powodami masywnej krytyki wobec rządu chadecko-liberalnego. Także wewnątrz własnej partii zarzucano Helmutowi Kohlowi przesadną ostrożność oraz brak inicjatyw reformatorskich. Nie tylko polityka ale także sama postać kanclerza budziła wiele kontrowersji. Według środowisk opiniotwórczych Kohlowi brakowało intelektualnej erudycji oraz kosmopolityzmu jego poprzedników Willy Brandta i Helmuta Schmidta. W ich oczach Helmut Kohl był typowym prowincjonalnym politykiem nie nadającym się na bohatera świata mediów wizualnych. Nie doceniono wówczas jego machiawelistycznego talentu utrzymywania władzy, jego umiejętności kierowania prawie milionową partią. Wyśmiewając się z topornej retoryki Kohla nie dostrzegano jego wyjątkowej inteligencji.

Zjednoczenie Niemiec niespodziewaną szansą

Rewolucje 1989 roku w Europie Środkowej oraz szansa zjednoczenia Niemiec otworzyły Kohlowi drogę do zapewnienia swojemu rządowi władzy. Oczywiście, Kohl nie stworzył sytuacji, która umożliwiła zjednoczenie Niemiec. Była ona wynikiem zmian politycznych w NRD oraz rezygnacji Związku Sowieckiego z imperialnej polityki w Europie Środkowej. Jednak w chwili, kiedy pojawiła się historyczna szansa, przewyciężenia podziału narodu Helmut Kohl zareagował „jakoby opanował go duch Adenauera” i wykazał wielki talent polityczny. Najważniejsze inicjatywy polityczne tego przełomowego okresu wiązały się z jego osobą. Jak większość elit politycznych zachodnich Niemiec na początku 1990 roku nie chciał ryzykować szybkiego zjednoczenia państw niemieckich. Niebawem jednak instynktownie wyczuł, iż większość obywateli NRD zrezygnowałaby z własnego demokratycznego państwa na rzecz udziału w dobrobycie zachodnioniemieckim. Helmut Kohl uznał, iż bezsens jest popieranie konceptu powolnego zbliżenia dwóch

państw niemieckich i że trzeba wykorzystać przyjazny klimat na arenie międzynarodowej realizując jak najszybsze zjednoczenie Niemiec.

Ten polityk, któremu zarzucano prowincjonalność i brak kosmopolityzmu w owym historycznym okresie wykazał duży talent dyplomatyczny. Obiecując udział w dalszym pogłębieniu integracji europejskiej Kohlowi udało się przekonać francuskiego prezydenta François Mitterranda, który początkowo, mimo sympatii dla Kohla, nieufnie odnosił się do jego polityki jednoczenia Niemiec. Determinacja, z którą dążył do pozostawienia Niemców w NATO pogłębiła zaufanie Amerykanów. Prawdziwym majstersztykiem było jednak zdobycie poparcia Związku Sowieckiego dla pozostawienia zjednoczonych Niemiec w NATO oraz wycofania Armii Czerwonej z obszaru byłego NRD.

Ciężka sytuacja gospodarcza

Zjednoczenie Niemiec zasadniczo zmieniło gospodarczą sytuację Niemiec. Mimo recesji na świecie, zjednoczenie spowodowało nagły wzrost zachodnioniemieckiej gospodarki. Niemiecka Unia Walutowa oraz państwowa pomoc finansowa dla wschodnich landów przyczyniły się do radykalnego wzrostu popytu na wschód od Łaby, z czego z powodu braku konkurencyjnych wschodnioniemieckich produktów w większości skorzystali zachodnioniemieccy przedsiębiorcy. Polityka „odbudowa wschodu” (*Aufbau Ost*) przekształciła się w gigantyczny program wspierania koniunktury gospodarki zachodnioniemieckiej, przy czym nie przygotowana na liberalizację gospodarka wschodnioniemiecka przeżyła egzystencjalny kryzys.

Po krótkim czasie sztuczna zjednoczeniowa hossza skończyła się a niemiecka gospodarka przeżyła jeden z najpoważniejszych kryzysów po wojnie. Nie tylko strukturalne deficyty Nowych Landów oraz spowodowane bezrobociem zmniejszenie popytu na wschodzie przyczyniły się do zmiany koniunktury. Na rozwój gospodarki negatywnie wpłynęły także światowa recesja oraz antyinflacyjna polityka procentowa Banku Federalnego.

Główną przyczyną niedomagań gospodarki niemieckiej nie są jednak problemy transformacji Wschodnich Landów. Już od początku lat osiemdziesiątych zarzuca się Niemcom brak innowacji oraz opóźnienie w wielu dziedzinach produkcyjnych dwudziestego pierwszego wieku. W przeszłości Niemcy stworzyli najbardziej postępowe gałęzie przemysłu w dziedzinie chemii, elektrotechniki czy w budownictwie maszynowym. Jeśli chodzi o technologie przyszłości, jak informatyka, czy biotechnika, Niemcy są dzisiaj w tyle. Także na rynku światowym Niemcy tracą swoją pozycję czołowego eksportera i inwestora w świecie. Co prawda według statystyk Niemcy nadal znajdują się w czołówce gospodarek narodowych, jednak niemieckie firmy coraz częściej pozostają na kontynencie europejskim, tracąc prężnie rozwijające się nowe rynki zbytu.

Niespełnione obietnice

Spadek popularności rządzącej koalicji krótko po triumfie zjednoczenia jest spowodowany niespełnieniem politycznych obietnic. Na początku lat dziewięćdziesiątych Helmut Kohl obiecał swoim wyborcom, iż zjednoczenie nie przyniesie ze sobą żadnego obciążenia podatkowego a Nowe Landy przekształcą się w „kwitnące krajobrazy”. Obietnice niebawem okazały się nierealistyczne. Po zjednoczeniu wprowadzono podatek na rzecz odbudowy Nowych Landów. Wprowadzenie wolnego rynku przyniosło wschodnim Niemcom nie tylko skok modernizacyjny i twardą zachodnio-niemiecką markę lecz także bezrobocie. Oficjalna kwota bezrobocia we wschodnich Niemczech wynosi 18,3%. Byłaby prawdopodobnie wyższa, gdyby nie przeprowadzona racjonalizacja oraz likwidacja przedsiębiorstw metodą przeniesienia pracowników na wczesną emeryturę. Strach przed utratą pracy oraz przed związanym z tym obniżeniem standardu materialnego panuje także na Zachodzie, nawet wśród tych, którzy nie są bezrobociem zagrożeni. Jednak większość obywateli niepokoi się o przyszłość zawodową swoich dzieci. Co prawda bezrobocie osiągnęło w Niemczech najwyższy poziom po 1933 roku, jednak kwota bezrobocia

odpowiada średniej w Europie Zachodniej. Jest to mało pocieszający fakt, szczególnie jeśli weźmie się pod uwagę kwotę bezrobocia wysokorozwiniętych i także zagrożonych racjonalizacją w przemyśle państw jak Stany Zjednoczone i Wielka Brytania. Kwota bezrobocia jest w tych państwach aż o połowę niższa niż w Niemczech. Dramatyczna sytuacja na rynku pracy nie ulegnie prawdopodobnie polepszeniu. Jako niepoważną oceniono wygłoszoną przez Kohla w ubiegłym roku obietnicę, iż jego rząd w ciągu przyszłych czterech lat o połowę obniży bezrobocie. Po kilku miesiącach rząd Kohla oficjalnie wyrzekł się tej obietnicy.

Koniec epoki Kohla?

Na niespełna rok przed wyborami do Bundestagu, które odbędą się 27 września 1998 roku, pogłębia się w Niemczech niezadowolenie z polityki rządu, a zatem rośnie aprobata dla zakończenia epoki Kohla. Krytyczne głosy słysząc także w tych sferach, które w ostatnich latach były kanclerzowi wierne, to znaczy w sferach biznesu oraz wśród konserwatywnych publicystów. Niedawno bliski Kohlowski dziennik *Frankfurter Allgemeine Zeitung* wskazał w komentarzu na pierwszej stronie na kryzys chadecji spowodowany autorytarnym stylem rządzenia Helmuta Kohla: „Pod przywództwem Kohla chadecja otrzymała w darze drugą epokę po Adenauerze, podczas której partia mogła wpłynąć na powojenny bieg historii Niemiec. Ten okres kojarzy się także z wyrzeczeniami: partia ta musiała zrezygnować z politycznej samodzielności, z propagowania niezależnych od rządu poglądów”.

Sensację wywołała wypowiedź byłego prezydenta RFN i wieloletniego członka CDU, Richarda von Weizsäckera, na łamach tygodnika *Der Spiegel*. Weizsäcker zarzucił rządowi Kohla brak pomysłów oraz brak konsekwentnego dążenia do przeprowadzenia koniecznych reform: „Koncentracja sił potrzebnych do utrzymania władzy przekracza w wielkim stopniu otwartą pionierską pracę koncepcyjną, nie mówiąc już o duchowym przewodnictwie”.

W najnowszych sondażach rząd osiągnął najgorsze oceny ostatnich dziesięciu lat. W przeprowadzonym w lecie tego

roku wśród elit niemieckiego biznesu i polityki sondażu, aż 83% ankietowanych twierdziło, iż aktualny rząd nie jest zdolny do reform. Dwie trzecie ankietowanych oceniło gabinet Kohla jako wyczerpany. Ciekawe, że aż połowa zwolenników chadecki wypowiedziała się w tej ankiecie w podobnie krytyczny sposób. Także inne ogólnoniemieckie sondaże zapowiadają chadecko-liberalnej koalicji utratę władzy w przyszłorocznych wyborach. Warto jednak pamiętać, że także przed ostatnimi wyborami do Bundestagu w 1994 sondaże przez wiele miesięcy zapowiadały zmianę władzy nad Renem a Helmutowi Kohlowi krótko przed metą udało się zmienić atmosferę polityczną w kraju na swoją korzyść. Trudno jest też ustalić wynik małego, lecz decydującego o przyszłości politycznej Kohla partnera koalicyjnego, liberalnej FDP. Niemiecka ordynacja wyborcza do Bundestagu przewiduje dla każdego obywatela dwa głosy: pierwszy głos na kandydata partii w okręgu wyborczym a drugi głos na listę partyjną. W poprzednich wyborach do Bundestagu FDP w dużej mierze zawdzięcza swoją obecność w parlamencie federalnym wyborcom CDU. Aż 59 procent głosów dla partii liberalnej pochodziło tym razem od obywateli, którzy pierwszy głos oddali na kandydata CDU.

Gdyby rzeczywiście w przyszłym roku doszło do utraty władzy przez rządzącą koalicję, byłby to ewenement w powojennej historii Niemiec. Wtedy po raz pierwszy socjaldemokraci doszliby do władzy bezpośrednią drogą wyborów. Przypomnijmy, że Willy Brandtowi udało to się jedynie tylnymi drzwiami. W 1966 SPD zdecydowało się na „wielką koalicję” z rządzącą od momentu powstania Republiki Federalnej CDU. Już w następnych wyborach 1969 roku SPD startowała jako partia rządowa z wicekanclerzem Willy Brandtem. Także zakończenie socjalno-liberalnej epoki nie nastąpiło drogą wyborów do Bundestagu, tylko przez zmianę partnera politycznego przez liberalną FDP, która zdecydowała się na nowy sojusz pomiędzy Kohlem a Genscherem.

Poszukiwanie następcy

Helmut Kohl zdaje sobie sprawę, że jego polityczna

kariera dobiega końca. Podczas ostatniego październikowego zjazdu CDU zapowiedział nie tylko swoją ponowną kandydaturę w przyszłorocznych wyborach ale także oświadczył, iż będzie to jego ostatnia kadencja jako kanclerza RFN. Niespodziewanie ujawnił swojego kandydata na następcę. Według Kohla na początku przyszłego millenium niemieckich konserwatystów miałyby poprowadzić Wolfgang Schäuble. Zapowiedź Kohla nie spotkała się z bezkrytyczną aprobatą. Wielu czołowych polityków CDU, szczególnie ci z ambicjami na następstwo Kohla, skrytykowało wystąpienie szefa rządu: CDU nie jest dynastią, w której przyszłego kanclerza wyznacza odstępujący monarcha. Prawdopodobnie szczęśliwszym rozwiązaniem dla CDU byłaby jedna z następujących alternatyw: albo kandydatura Wolfganga Schäublego już w przyszłorocznych wyborach lub zapowiedź zmiany warty w połowie przyszłej kadencji, to znaczy start tandemu Kohl-Schäuble w przyszłorocznych wyborach. Wolfgang Schäuble cieszy się nie tylko zaufaniem kanclerza, lecz od dłuższego czasu należy do najpopularniejszych polityków Niemiec. Ten pięćdziesięcioletni polityk już od kilku lat przygotowuje się na następstwo Kohla. Wolfgang Schäuble, z wykształcenia prawnik, jest typowym „zwierzęciem politycznym”. Już jako trzydziestoletni polityk CDU zasiadł w Bundestagu. W latach osiemdziesiątych piastował jako *minister-chef* Bundeskanzleramtu kluczowe stanowisko w gabinecie Kohla. W 1989 objął stanowisko ministra spraw wewnętrznych. Jako negocjator umowy o wstąpieniu wschodnich Niemiec do RFN był obok Kohla głównym architektem zjednoczenia. 1990 rok był dla Schäublego nie tylko rokiem jego największego dotychczas sukcesu politycznego lecz również tragedii życiowej. Popełniony na nim kilka dni po zjednoczeniu zamach uszkodził mu kręgosłup. Od tego czasu zmuszony jest do poruszania się przy pomocy wózka inwalidzkiego. Po zamachu oczekiwano, iż Schäuble zrezygnuje z dalszych ambicji politycznych. Jednak już po krótkim czasie rekonwalescencji powrócił na scenę polityczną. Co więcej, rezygnując z udziału w gabinecie Kohla, przejął funkcję przewodniczącego klubu parlamentarnego CDU/CSU, kluczową pozycję pozarządową, podkreślając tym krokiem swoje ambicje jako potencjalny następca Kohla. Podobnie jak Kohl, Schäuble nie jest typem

polityka gwiazdy mass mediów. W przeciwieństwie do Kohla nie dysponuje talentem populistycznym. Jego talent retoryczny wydaje się być jednak większy od jego mentora. Swoją popularność oraz szacunek przeciwników politycznych zawdzięcza swojemu pragmatyzmowi, swojemu rzeczowemu, nieideologicznemu podejściu do polityki. W Helmucie Kohlu Niemcy widzą dzisiaj wielkiego wizjonera, któremu coraz bardziej wysuwają się z rąk problemy politycznego życia politycznego. Wygląda jednak na to, że zamiast wielkich wizji, niemieccy wyborcy życzą sobie bardziej konkretnego, pragmatycznego polityka, managera małych lecz skutecznych kroków i reform. Takim wydaje im się być Wolfgang Schäuble.

Niemieckie obawy przed Unią Walutową

Swoją ponowną kandydaturę Helmut Kohl uzasadnił troską o dalszy proces pogłębienia integracji europejskiej. Rzeczywiście, po śmierci Mitterranda i zejściu ze sceny politycznej Thatcher i Gonzalesa jest on najbardziej doświadczonym mężem stanu w Europie a jego rola w dalszym rozwoju Unii Europejskiej jest kluczowa. Czy jednak polityka europejska epoki Kohla pozytywnie wpłynie na szanse wyborcze jego rządu, pozostaje otwartym pytaniem. Co prawda, opozycja nie kwestionuje sensu wprowadzenia Unii Walutowej, jednak przynajmniej połowa wyborców nie akceptuje Euro. W świadomości wielu Niemców Unia Walutowa może prowadzić do utraty narodowej suwerenności, ponieważ jest drogą do pogłębienia integracji politycznej przy użyciu środków ekonomicznych. Podobnie jak inni także Niemcy nie chcą zrezygnować z państwa narodowego. Z wielką niechęcią podchodzą do Unii Walutowej. Aby nie budzić obaw przed nowym niemieckim nacjonalizmem, podstawowa dyskusja na temat Euro prowadzona jest pod pozorem dyskusji na temat stabilności przyszłej waluty. Wiadomo, że żaden rząd niemiecki nie zaakceptuje wymiany twardej marki na słabszą walutę. Jednak dyskusja ta wskazuje na zatajaną chęć przeprowadzenia fundamentalnego sporu o sens Unii Walutowej.

Czy SPD powtórzy sukces Blaira?

Szanse rządzącej koalicji zależne są także od kondycji najważniejszego kontrahenta, niemieckiej socjaldemokracji. Po zwycięstwie Tony Blaira w Wielkiej Brytanii oraz Lionela Jospina we Francji, także w Niemczech zastanawiano się nad nadejściem nowej ery rządów socjaldemokratycznych w Europie Zachodniej. Oceniając szanse partii socjaldemokratycznych, trzeba jednak wziąć pod uwagę odrębność systemów politycznych. Na przykład, w scentralizowanym systemie politycznym Wielkiej Brytanii przed zwycięstwem Blaira, Labour znajdowała się w całkowitej opozycji, nie partycypując przez wiele lat we władzy. Z perspektywy wyborców Labour była partią nie skażoną, świeżą siłą polityczną. Wyłącznie konserwatyści ponosili odpowiedzialność za politykę ostatnich lat. System federalny Niemiec stwarza jednak inną sytuację. Podczas epoki Kohla niemiecka socjaldemokracja partycypowała we władzy na szczeblu Landów. Większość w Bundesracie, izbie Landów, jest dzięki temu od kilku lat w rękach SPD. W oczach niemieckich wyborców SPD jest nie tylko częścią ostro krytykowanego politycznego establishmentu ale także jest współodpowiedzialna za politykę rządu, jest ugrupowaniem politycznym obciążonym władzą.

Niespełna rok przed wyborami SPD jeszcze nie dysponuje kandydatem na kanclerza. Niemieccy socjaldemokraci muszą przeczekać wynik marcowych wyborów do Landtagu w Dolnej Saksonii, gdzie o ponowne potwierdzenie swojego rządu ubiega się najpopularniejszy polityk SPD w Niemczech, premier Landu Gerhard Schröder. Nawet niewielka utrata kilku procent głosów osłabiłaby jego pozycję w walce o władzę w Bonn. Bez zwycięstwa w Dolnej Saksonii Schröder nie widzi sensu kandydatury na kanclerza. Wówczas jako jedyny konkurent Kohla pozostałby przewodniczący SPD, premier Saary, Oskar Lafontaine. Obydwaj kandydaci są kontrowersyjnymi politykami. Przystojny, dobrze ubrany Gerhard Schröder jest postacią telegeniczną. Z sondaży wynika, iż wśród socjaldemokratów w bezpośrednim porównaniu z Helmutem Kohlem byłby politykiem z największym poparciem wśród wyborców. Pozycja Schrödera w partii jest

jednak o wiele słabsza niż Lafontaine. Cztery lata temu w partyjnym referendum Schröder już raz ubiegał się bez sukcesu o kandydaturę SPD. Nieufność towarzyszy budzi nie tylko jego często aroganckie eksponowanie własnej osoby. Dla wielu związkowców wśród członków SPD irytujące są jego bliskie kontakty z czołowymi przedstawicielami niemieckich koncernów.

Faworytem socjaldemokratów jest mało popularny w Niemczech „Napoleon z Saary”, Oskar Lafontaine. Nie byłby to pierwszy pojedynek pomiędzy Kohlem a Lafontainem. Już w pierwszych wyborach po zjednoczeniu w grudniu 1990 roku premier Saary startował jako lider SPD, uzyskując najgorszy wynik dla SPD na szczeblu federalnym od czasów Adenauera. W okresie zjednoczenia Niemiec Lafontaine odegrał kontrowersyjną rolę przeciwstawiając się szybkiemu zjednoczeniu, ponieważ obawiał się negatywnych skutków dla gospodarki kraju. Dwóch liderów niemieckiej socjaldemokracji łączący z Tony Blairem pragmatyczne podejście do polityki gospodarczej. Obydwaj politycy zdają sobie sprawę z tego, że wysokie standardy socjalne oraz niski poziom bezrobocia można zapewnić wyłącznie poprzez stworzenie korzystnych warunków dla przedsiębiorstw i wzmacnianie konkurencyjności przemysłu niemieckiego. I Lafontaine i Schröder z pewnym krytycyzmem odnoszą się do tradycyjnych socjaldemokratycznych metod stymulacji popytu drogą zadłużenia państwowego. Dyscyplina budżetowa jest ważnym celem polityki nowych liderów SPD. W konsekwencji oznacza to, iż dzisiejszy model państwa opiekuńczego jest nie do sfinansowania i wymaga uszczuplenia. W przeciwieństwie do brytyjskiej Labour, niemiecka SPD już w latach pięćdziesiątych, na sławnym zjeździe partii w Godesbergu, oddaliła się od socjalistycznego modelu gospodarczego. Kompetencja takich polityków jak były minister finansów Karl Schiller, czy Helmut Schmidt nie była kwestionowana nawet przez przedstawicieli niemieckiego biznesu.

Nowy niemiecki letarg

Piętnaście lat po utraceniu władzy w Bundestagu, socjal-

demokraci mają realistyczną szansę na objęcie rządu. Już od dawna niemiecka opinia publiczna nie była tak otwarta na zmianę warty nad Renem jak teraz. Mimo oczekiwania końca epoki Kohla rzadko wiązano tak mało nadziei z szansą zmiany układu politycznego jak tym razem. Za brak politycznego entuzjazmu nie są odpowiedzialne tylko elity polityczne. Winni dramatycznej sytuacji politycznej w Niemczech są nie tylko politycy a także i społeczeństwo. Nieudolność przeprowadzenia modernizacji niemieckiego modelu socjalnej gospodarki rynkowej przez klasę polityczną odpowiada niechęć większości obywateli wobec reform, wobec próby innowacji. Z przeprowadzonego ubiegłego lata dla tygodnika *Die Woche* sondażu wynika, iż ponad połowa Niemców uważa siebie za niechętnie nastawionych do reform. Mimo zdecydowanego poparcia dla zmiany rządu, Niemcy obawiają się także radykalnych trzęsień ziemi na scenie politycznej. Zamiast nowego socjaldemokratyczno-zielonego rządu, większość Niemców preferowałaby podobnie jak trzydzieści lat temu „dużą koalicję” pomiędzy CDU a SPD – politykę małych kroków. Niepokojący jest fakt, że coraz więcej obywateli nie wierzy w skuteczność polityków. W wymienionym sondażu aż jedna trzecia ankietowanych nie wierzyła w skuteczność jakiegokolwiek koalicji. Aż 72% nie wierzy w pozytywny wpływ inicjatyw politycznych na rynek pracy.

Liberalny hamburski tygodnik *Die Zeit* nazwał ową niechęć do reform „nowym niemieckim letargiem”: „Konieczne reformy strukturalne pewnego dnia nastąpią. Jednak ponieważ dzisiejszy system Republiki Federalnej skłonny jest tylko do samoblokady, reformy te nastąpią dopiero wtedy, kiedy sytuacja ulegnie znacznemu pogorszeniu. Niemcy, które wówczas zdecydują się na tę radykalną kurację, będą biedniejszym, mniej sprawiedliwym a przez to rozdartym społeczeństwem. Uszkodzony model państwa i gospodarki, który osiągnął sukces i zapewnił Niemcom szacunek za granicą a wewnątrz kraju wzmocnił więzi społeczne, może być naprawiony tylko poprzez szybką zmianę kursu. Ta zmiana jednak nie nastąpi, jeśli politycy i obywatele nadal będą trwać w letargu”.

Berlin, 14 listopada 1997 r.

Basil KERSKI

Do jakiej Europy zmierzamy?

Polska podjęła decyzję wprowadzenia kraju do struktur bezpieczeństwa NATO i Wspólnoty Europejskiej, bazy polskiej polityki zagranicznej, określającej jasno miejsce odrodzonej Rzeczypospolitej w Europie i świecie. O ile członkostwo w NATO jest na ogół sprawą prostą, aprobowaną przez większość społeczeństwa, to droga do Unii Europejskiej (UE) jest zagadnieniem bardziej złożonym, wywołującym pewne wątpliwości i emocje. Trudno się temu dziwić, zważywszy iż spory o przyszły kształt Europy toczą się już od lat wewnątrz społeczeństw krajów członkowskich UE. Dotyczą one zakresu i tempa procesów integracyjnych, oraz rozwiązań instytucjonalno-prawnych, promujących lub obniżających domniemane interesy społeczne i narodowe. Najbardziej dobitnymi przykładami są tu spory o zaplanowane na rok 1999 rozpoczęcie Unii Monetarnej, o Europejską Kartę Praw Socjalnych, czy też spory o wspólną politykę zagraniczną i obronną czyli o tzw. polityczne ramie UE.

Szczególnie ostre są spory dotyczące najwyższych atrybutów suwerenności państwowej, a więc planów wspólnej waluty europejskiej, polityki zagranicznej i wojska. Podział konfliktów przebiega tu między zwolennikami silnej, superzjednoczonej i centralnie dyrygowanej Unii Europejskiej, oraz zdecydowanymi przeciwnikami jakichkolwiek koncepcji federacyjnych, a więc obrońcami suwerenności państwowej poszczególnych krajów członkowskich wspólnoty państw europejskich. Jednakowoż pod powierzchnią takiego podziału czai się zaciekle walka między dwiema *koncepcjami geopolitycznymi*, między dwiema opcjami europejskimi: niemiecko-francuską koncepcją silnej, bardziej niezależnej (od USA), liczącej się w świecie Europy, oraz brytyjską, czy też anglosaską koncepcją poszerzającej się, lecz luźno związanej wspólnoty krajów UE, mocno zakotwiczonej w powiązaniach sojusznicznych (obronnych i gospodarczych) z Ameryką. W federalistycznych planach UE Londyn widzi zaowalowane plany

Niemiec dla dominacji polityczno-gospodarczej kontynentu europejskiego, a więc zagrożenie własnych interesów w Europie. Walka przeciwko tak pojętej „idei europejskiej” idzie dziś na wszystkich frontach, łącznie z prasą i publicystyką politologiczną. Wiosną br. ukazała się w Anglii książka, która pod względem skali, zakresu i ostrza ataku jest chyba bez precedensu w dotychczasowej publicystyce anty-europejskiej¹. Jeszcze chyba żaden autor w tego rodzaju pracy nie zadał sobie tyle trudu z tak szczegółowo opracowaną prezentacją materiałów dowodowych i źródłowych, dla podtrzymania swych tez, oskarżeń i ostrzeżeń przed „niedemokratycznymi korzeniami idei europejskiej”. Książka Laughland’a prowokuje, szokuje, lecz przede wszystkim pobudza do głębokich przemyśleń. Warto więc zapoznać się bliżej z jej głównymi tezami.

Podstawy i korzenie idei europejskiej

Centralną tezę autora jest stwierdzenie, iż u podłoża idei europejskiej federalistów kryje się głęboko zakorzeniona niechęć do koncepcji państwa (*Nation-state*), ze wszystkimi jego instytucjami i przybudówkami politycznymi, tak jak je dzisiaj znamy. Główne ostrze takiej niechęci jest szczególnie wymierzone przeciwko najwyższej instytucji suwerenności narodowej – instytucji parlamentu, uważanego za zbędny, niepotrzebny luksus, hamujący sprawne funkcjonowanie państwa. W pojęciu federalistów, państwo narodowe w dzisiejszej postaci jest jednostką za małą i nieudolną, by sprostać coraz większym wymogom nowoczesnego świata i gospodarki globalnej, od której jest coraz bardziej zależne. Podobnie jak niegdyś marksiści, twierdzi autor, dzisiejsi prorocy super-państwa europejskiego uważają, iż dla efektywnego sprostan-

1. John Laughland: „The Tainted Source: The Undemocratic Origins of the European Idea” („Splamione Źródło: Niedemokratyczne korzenie idei europejskiej”, Wyd. Little Brown, Londyn 1997). Autor, publicysta i politolog amerykański, piszący dla *Wall Street Journal*, *The Spectator* itp. studiował na uniwersytetach w Oxfordzie i Monachium, oraz wykładał politologię na Sorbonie i w Instytucie Nauk Politycznych w Paryżu. Dziś dyrektor Fundacji Europejskiej w Londynie, stały pobyt w Brukseli.

wymogom gospodarki i konkurencji światowej, twór taki powinien być zarządzany nie przez polityków, lecz odpowiednio wyszkolonych fachowców i administratorów, na wzór nowoczesnej, globalnej korporacji. Jako przykład, iż taka transformacja państwa zaczyna już mieć miejsce dzisiaj, autor podaje arbitralne zawieszenie parlamentu w lipcu 1996 w Belgii, kolebce instytucji UE, oraz zastąpienie go szeregiem dekretów rządowych, dla przeprowadzenia doraźnych zadań ekonomicznych.

Lecz idea europejska to nie tylko troska o sprawy gospodarki, ale również o zachowanie pokoju i ogólnego ładu polityczno-społecznego w Europie. W pojęciu federalistów państwa, jeżeli pozostawione same sobie, mogą doprowadzić do wzajemnych konfliktów i wojen, a tylko ograniczenie ich suwerenności, a więc włączenie ich pod nadzór jednolitego centrum, może zapobiec takiemu rozwojowi i zapewnić trwały pokój.

Takie są więc, w głównym ujęciu, podstawy lansowanej dzisiaj przez federalistów idei zjednoczonej Europy, która bynajmniej nie wywodzi się z powojennej myśli europejskiej, lecz sięga korzeniami dużo dalej i głębiej, do okresu międzywojennego. W rozdziale szokująco nazwanym „Faszyści i Federaliści”, lecz skrupulatnie i szczegółowo udokumentowanym, autor stara się dowieść, iż odrzucenie koncepcji suwerennego państwa narodowego, jako politycznie i gospodarczo spójnej jednostki, zdolnej do efektywnego funkcjonowania, ma swe początki w ideologii nazistowskiej w Niemczech, a faszystowskiej we Włoszech, Francji i innych krajach Europy zachodniej. Praojcem tej koncepcji ma być wybitny ekonomista nazistowski Werner Daitz, który brytyjskiej koncepcji państwa narodowego, politycznego liberalizmu i kapitalizmu przeciwstawił koncepcję wielkiej wspólnoty krajów europejskich, połączonych w jednej wielkiej federacji, w której partykularne interesy poszczególnych państw i państwerek utracą z czasem na znaczeniu. Tak pomyślana integracja europejska doprowadzi do swoistego pluralizmu europejskiego, do jednej wielkiej **przestrzeni gospodarczej** (*Grossraumwirtschaft*) w Europie.

Podobnie jak zwolennicy federacji europejskiej dzisiaj, Daitz i jemu podobni teoretycy² byli przekonani, iż rozdrob-

nienie na małe państwa pogłębia podziały i potęguje napięcia polityczne w Europie, a tym samym możliwość konfliktów i wojen. Wyrażenia i różne terminy techniczne używane przez ideologów nazistowskich w propagowaniu integracji europejskiej, do złudzenia przypominają płynącą dziś z Brukseli terminologię. Wysunięta przez teoretyków nazistowsko-faszystowskich idea zjednoczonej Europy była kontynuowana nawet w czasie wojny, wykazując determinację nazistów dla idei pan-europejskiej. Z myślą o powojennym wprowadzeniu takich koncepcji w życie odbyła się w r. 1942 w Berlinie konferencja pod znamienym tytułem „Europejska Wspólnota Gospodarcza”, na której czołowy teoretyk monetarny Dr B. Benning (wówczas szef Korporacji Kredytowej Rzeszy) zaproponował wprowadzenie starych wskaźników wymiany walutowej, a usunięcie standardu złota jako miernika dla ustalania wartości rynkowej walut. Już wówczas zaproponował on również wprowadzenie jednolitej waluty (opartej na Reichmarce) i unii monetarnej dla Europy, w stopniowych etapach, podobnie jak się to dzieje dzisiaj. Po wojnie Benning wszedł do dyrekcji Banku Ziem Niemieckich, późniejszego Bundesbanku (1958), pozostając tam aż do r. 1972.

Idea integracji europejskiej nie była kreowana tylko w Rzeszy, miała swoich zwolenników również wśród ideologów faszystowskich w Italii oraz we Francji, gdzie szczególnie w okresie Vichy była używana dla promocji kolaboracji z Niemcami Hitlera. Prym w tym kierunku wiodła tzw. Grupa „Collaboration”, wprawdzie nie otwarcie faszystowska, lecz aktywnie proniemiecka, kierowana przez A. De Chateaubriant'a, czołowego wówczas ideologa myśli europejskiej we Francji. Propaganda nazistowska w czasie wojny potrafiła ją zręcznie wykorzystać dla promocji idei „partnerstwa dwu wielkich narodów” w powojennym uporządkowaniu zespo-

2. Najważniejsze z cytowanych prac to: W. Daitz: „Der Weg zur Volkswirtschaft, Grossraumwirtschaft und Grossraumpolitik” (Droga do gospodarki narodowej, wielkiej przestrzeni politycznej i gospodarczej, Lippens, Dresden 1943), Walter Funk: „Das wirtschaftliche Gesicht der neuen Europa” (Gospodarcze oblicze nowej Europy, w zbiorze „Europäische Wirtschaftsgemeinschaft”, Berlin, 1942), A. Oesterheld: „Wirtschaftsraum Europa” (Europejska przestrzeń gospodarcza, GS Verlag, Berlin, 1942).

lonej wokół osi Berlin-Paryż Europy. Ostatecznym celem tak zjednoczonej Europy miało być nie tylko osiągnięcie powszechnego dobrobytu gospodarczego, lecz również wyrzucenie raz na zawsze Anglii z Europy, oraz odpowiednie zdystansowanie się od wpływów politycznych i gospodarczych USA.

Hegemonistyczne tradycje Niemiec

Dzisiejsi zwolennicy federacji europejskiej, szczególnie w Niemczech, mają skłonność zwać załamanie się porządku i pokoju w Europie w r. 1914 i 1939 na ówczesny system równowagi sił, a konkretnie na Anglię, która rzekomo była tego systemu głównym promotorem, dla podtrzymywania swych wpływów w Europie. W ich rozumowaniu, potencjalnym źródłem konfliktów w Europie są więc nie tylko nacjonalizmy jako takie, lecz rywalizacja, wolna gra polityczno-gospodarcza między państwami, w chociażby nie wiem jak zharmonizowanych, wolnych od konfliktu układach. W rzeczywistości w grę wchodzi tu tradycyjna niechęć Niemiec do jakiegokolwiek równowagi sił w czym zawsze upatrywali główną przeszkodę w realizacji swych własnych, hegemonistycznych planów w Europie. Kiedy dziś prezydent Parlamentu Europejskiego Klaus Häusch przekonuje o potrzebie niezbędnej przybudówki politycznej dla unii monetarnej w jednoczącej się Europie, żeby już nigdy suwerenne państwa i państewka same nie mogły decydować o pokoju i wojnie, nie robi nic innego jak tylko przywołuje na myśl stare niemieckie marzenia o jednolitej, uporządkowanej na model niemiecki Europie. Bo między równymi nie zawsze, jak wiadomo, wszyscy są jednakowo równi.

Kluczową rolę w niemieckich planach podboju Europy odgrywały zawsze, dowodzi Laughland, **sprawy gospodarcze**. Zaczęło się od Prus Bismarcka, które na polityczne wyzwania balansu sił szukały odpowiedzi w próbach ekonomicznej integracji, stymulując powstanie w r. 1833 tzw. Unii Celnej (Zollverein) ziem niemieckich. Nie uszło to wówczas uwadze daleko widzącego ministra spraw zagranicznych Austro-Węgier Metternicha, który ostrzegał iż pod osłoną unii walutowej i gospodarczej kryją się polityczne plany

Prus dla dominacji kontynentu europejskiego. Przepowiednie te o mało nie ziściły się w pełni. Podobnie jak dzisiaj Niemcy narzucając postępującej integracji gospodarczej swój własny model, Prusy coraz bardziej wzmacniały swe wpływy i pozycję mocarstwową, doprowadzając do zjednoczenia imperium niemieckiego w r. 1871. Na ich nieszczęście, dalsze plany ekspansji zjednoczeniowej na Europę zostały zniweczone przez Kaisera Wilhelma, który delikatną, wyważoną politykę Bismarcka próbował zastąpić siłową polityką dominacji niemieckiej, co ostatecznie doprowadziło do wybuchu I-ej wojny światowej. Podobną pomyłkę popełniono 40 lat później, kiedy nazistowskie plany integracji europejskiej zostały brutalnie unicestwione przez awanturniczą politykę Hitlera.

Do trzech razy sztuka...

Dziś Niemcy, w osobie kanclerza Kohla, stoją przed kolejną, trzecią już z rzędu szansą historyczną zbudowania jednolitej, silnej Europy. Nie zdominowanej, lecz opartej na modelu Niemiec – bo to nie jedno i to samo, jak często zastrzegają, się niektórzy politycy niemieccy.

Kluczową rolę w dzisiejszych planach integracyjnych Niemiec odegrało pozyskanie dla nich Francji, której udział skutecznie zasłania tradycyjne, hegemonistyczne aspiracje Niemiec. Bez Francji, twierdzi autor, Kohl nigdy by na projekt unii monetarnej, na wielką, grę o Europę, nie poszedł. Dopuszcza on możliwość, iż istniały pewne szanse dla autentycznego partnerstwa z Niemcami, lecz jakie Francja w fatalny sposób zaprzepaściła, a które bezpowrotnie przepadły. Zamiast odpowiednio wykorzystać swoją wyjściową pozycję przetargową, przerażony perspektywą silnych, zjednoczonych i odwracających się od Europy Niemiec, prezydent Mitterrand od razu ustawił Francję w pozycji petenta. To był początek końca realnych możliwości Francji skutecznego wpływania na kierunek integracji europejskiej. Pierwszym wielkim błędem Paryża była zgoda na Frankfurt jako siedzibę przyszłego Centralnego Banku Europy, co pozwoliło kanclerzowi Kohlowi zabezpieczyć niezbędne wsparcie własnego elektoratu dla unii monetarnej, którą mógł

utożsamić z niemiecką polityką monetarną. Potem przyszły kolejne naciski i „kompromisy”, w praktyce zawsze oznaczające kapitulację Paryża. Szczególnym ciosem dla prestiżu Francji było przeforsowanie w r. 1995 przez Bonn zmiany nazwy wspólnej waluty europejskiej z „Ecu” (ważne, symboliczne znaczenie dla Francji) na „Euro”, a więc początek wyraźnego dryftu w kierunku „Euro-Marki”. Od tego czasu datują się też systematyczne naciski Bonn na integrację polityki zagranicznej i obronnej, jako niezbędnej infrastruktury politycznej dla unii monetarnej. Podobnie więc jak Prusy w ub. stuleciu, tak dzisiaj Niemcy Kohla, poprzez gospodarczo-monetarną integrację, dążą do utrwalenia swej pozycji mocarstwowej w środku Europy.

Tyle, w szkicowym ujęciu, główne wywody i argumenty Laughlanda, który wcale nie kryje się z tym, iż jego książka jest „biciem na alarm”. A więc subiektywnie pokierowanym atakiem na koncepcję i realizację Unii Europejskiej w jej obecnej postaci. Podobnego rodzaju zastrzeżenia i obawy, łącznie z sentymentami wyraźnie anty-niemieckimi, można dziś znaleźć i u innych autorów. Niezwykłość książki Laughlanda polega na pasji, z jaką atakuje niemieckie plany podboju gospodarczego Europy. Pasji, która przesłania mu z pola widzenia taki chociażby fakt, iż po wojnie to były głównie Stany Zjednoczone, które z entuzjazmem wspierały rodzącą się koncepcję zjednoczonej Europy, w której widziały możliwość zapewnienia trwałego pokoju na kontynencie, w którego wojny były już dwa razy wciągnięte. Jakkolwiek przekonująco mogły wyglądać argumenty Laughlanda o przedwojennych korzeniach dzisiejszej myśli europejskiej, to nie można ignorować jej rodowodu poniekąd bliższej w czasie daty, z błogosławieństwem Ameryki. Ameryki tak długo przychylniej idei paneuropejskiej, jak długo jej to odpowiadało, jak długo to nie zagrażało jej własnym interesom w Europie. A są to interesy znaczne, a dziś, w miarę postępującej integracji gospodarczo-monetarnej, poważnie zagrożone.

Janusz MONDRY

Kraj

Znikający etos

1.

W ostatnich wyborach tysiąclecia nie było entuzjazmu: absencja objęła 52%, ponad połowę elektoratu. Prognozy większości sondażystów okazały się pod tym względem rażąco nietrafne. Zapewne, przynajmniej w części, dlatego, że wyborcy do końca czekali na nowe słowo w kampanii i nie doczekali się go. Zwłaszcza wyborcy z nizin społecznych, którzy najłatwiej zasilają szeregi nieobecnych. Kampania była do ostatka nudna i żmudna, jedynym urozmaicheniem stała się letnia powódź, którą dziennikarze eksploatowali na wszelkie sposoby przeciw rządowi.

Niska frekwencja szczególnie zaszkodziła mniejszym partiom. Jak wiadomo elektorat PSL zmalał o połowę, Unii Pracy zaś i ROP o ok. jedną trzecią (wynik ROP odnosząc do rezultatu Jana Olszewskiego w wyborach prezydenckich), co Unię zepchnęło poniżej 5%-ego progu, w parlamentarny niebyt, a ROP w jego pobliże. W istocie szansą małych partii było przyciągnięcie elektoratu nowego, dotąd uspiętego, owych 52%, rozbudzenie nadziei. Tymczasem, prowadzono kampanie będące zaprzeczeniem tej potrzeby. Unia Pracy troszczyła się głównie o swój *image* partii środka, jakby chciała podkraść wyborców Unii Wolności, wypróbowanej w tej roli. PSL-owcy kreślili czarny obraz sytuacji, aby obciążyć SLD, i nie rozumieli, że im bardziej straszą chłopów, tym bardziej tracą szanse. Wreszcie ROP dał żałosne widowisko „samotnego szeryfa na prerii”, który coraz to rozstaje się z koniem, zwłaszcza w zestawieniu z blokiem AWS wrażenie było deprymujące.

Te rezultaty uprzytomniają, że zestawienie koalicji rządowej nie było tym razem układaniem fantazyjnej mozaiki, lecz bardzo zasadniczą decyzją podejmowaną wyłącznie w trójkącie trzech liczących się partnerów: AWS, UW, SLD. M.in. nieaktualne stały się liczne przed wyborami przymiarki do koalicji z PSL czy z ROP. Dla wszystkich obserwatorów było oczywiste, że to Unia Wolności będzie musiała wybrać – SLD czy AWS – i zarazem ten wybór wydawał im się niewykonalny. Musiał jakoby doprowadzić do rozłamu w Unii. W tydzień potem niewykonalne stało się faktem, powstała koalicja UW-AWS, a choć formalną umowę zdołano podpisać dopiero na kwadrans przed chwilą gdy premier Buzek zaczął wygłaszać swoje *exposé*, i to też niedokończoną, bo pozostały *in blanco* „szczegóły techniczne” – właściwe uzgodnienia zapadły od razu na początku rozmów. Dla stanu informacji politycznej jest znamienne, że żaden z komentatorów nie postawił pytania o sens wydarzenia, które było przecież całkiem niezwykcyjne. Sygnałem niezwykłości zdarzeń było przyznanie z miejsca Unii Wolności resortów spraw zagranicznych, obrony, finansów, sprawiedliwości, zatem resortów decydujących w dużej mierze o kierunku wielkiej reformy państwa (również w sensie otoczenia zewnętrznego), którą obie formacje ogłosiły głównym zadaniem kadencji. Jaka była cena takiej uprzejmości negocjatorów z AWS, zważywszy zwłaszcza, że wielu działaczy i parlamentarzystów Akcji nadal źle trawiło koalicję z Unią i gotowych było podnieść wrzask o każde ustępstwo kadrowe?

Otóż było znamienne dla tej kwestii, że w toku negocjacji sprawa programu wypadła właściwie z pola uwagi (odpowiednio mało konkretne było *exposé* rządowe). Nowy wicemarszałek Sejmu Jan Król (z UW) zawile tłumaczy, iż w roku rokowań okazało się, że rozbieżności programowe, które wydawały się nie do przewyciężenia, są w istocie bez większego znaczenia: „każdy mógł pozostać przy swoim”. Są bowiem, owe rozbieżności, raczej kwestią indywidualnych sumień jak np. aborcja(!). Bronisław Geremek, któremu dziennikarz przypominał wprost, że dopiero co stwierdził, iż społeczno-gospodarczy program AWS jest nie do przyjęcia, odpowiedział: Jest czas przed wyborami i jest czas po wyborach (w rozmowie z Moniką Olejnik w PR)...

Tak banalnym cynizmem politycznym ratował się minister w rozmowie o *exposé* premiera, ociekającym wręcz „wartościami”. Buzek przedstawił się jako polityk, któremu wszelki cynizm jest obcy i wstrętny.

Prawda transakcji, o której mowa, polega na tym, że Unia Wolności za udział w rządzie, dający jej rzeczywisty wpływ na kierunek działań władzy zapłaciła... wyrzeczeniem się etosu, z którego tak kiedyś, za Mazowieckiego i Kuronia, była dumna. Prawda, że ten wzniosły atrybut „partii wolności” od dłuższego czasu bladł i szarzał, i że wewnątrz partii przedstawiciele różnych opcji przestali już w ogóle rozmawiać ze sobą „etosem”. Przynajmniej od chwili wyboru Leszka Balcerowicza przewodniczącym partii i zwłaszcza wobec żałosnego końca prezydenckiej kandydatury Jacka Kuronia większość unitów pragnęła pozbyć się ciężaru etosu i uczynić z UW partię prawdziwie racjonalną i rzeczową.

Paradoksalnie, kojarząc się w koalicję czy choćby tylko współpracę parlamentarną z SLD, Unia Wolności byłaby zmuszona, prawem równowagi, znów użyć wszystkich zasobów etosu, aby odpierać zarzuty i oskarżenia o zaprzaństwo i bezmierny cynizm (który mimo wszystko nie jest jednak tożsamy z racjonalnością i rzeczowością!) Natomiast w koalicji z AWS może się tego nie obawiać. Przeciwnie, AWS będzie sama tyle produkować etosu, że Unii Wolności... wolno będzie o swoim milczeć. Stąd kalkulacja, że na pozór płacąc wielkim wyrzeczeniem za ważne miejsce przy sterach w rządzie, Unia ułatwi jeszcze sobie upragnioną przemianę. Jednak cena może się na koniec okazać całkiem nie taka pozorna i Unia Wolności, przemieniwszy się, pozbawi się racji samodzielnego bytu. Skurczy się do wymiarów liberalnej FDP, wczepiona w starszego partnera. Na klasę średnią, która stając się większością społeczeństwa powinna trwale wynieść liberałów do władzy, liczyło już niejedno pokolenie liberałów z całej Europy i z reguły bez powodzenia: najwyraźniej klasa średnia ma tyle pieniędzy, że potrzebuje właśnie etosu. Alibi.

Tymczasem unicy i ich dziennikarze są zachwyceni operacją. Wyjątek stanowią unijni etosowcy, lewi i prawi, i znamienym potwierdzeniem prezentowanych tu intuicji jest ten pospólny brak satysfakcji. Ale to są niedobitki.

W Czytelnik pojmuję, oczywiście, że niedookreślone słowo „etos” rozumiane jest tutaj raczej jako retoryka i rytuał retoryczny niż jako pogląd moralny skutecznie organizujący działania. Dlatego wyrzeczenie się etosu czyli zaprzestanie mówienia i zmiana języka wcale nie musi oznaczać rezygnacji z indywidualnych poglądów. Wspomniany Jan Król to zapewne miał na myśli mówiąc, że w tej koalicji każdy może pozostać przy swoim.

Jeśli każdy pozostaje przy swoim, to albo cała koalicja nic nie robi, albo owo pozostawanie przy swoim ma cechy niesławnego „zastrzeżenia w myśli”: uspokaja sumienie i nic nie znaczy w praktyce.

Trudno w tej chwili przesądzać, który zachodzi przypadek: jesteśmy w fazie deklaracji i przygotowań. Przywództwo AWS i kierownictwo rządu starają się nie pozostawić wątpliwości, że prowadzić się będzie politykę o zdecydowanym kolorze ideowym: katolicką, prorodzinną, narodową... Krzyż zawisł na sali sejmowej, parlamentarzyści, ministrowie i nowo mianowani urzędnicy skwapliwie przysięgają – „Tak mi dopomóż Bóg”, co gazety równie skwapliwie odnotowują. O tych, którzy nie wypowiedzieli zaklęcia, prymas Glemp powiada, że widocznie „nie mają Boga w sercu”, skoro nie przechodzi im przez usta... Tak powstaje nowa atmosfera w życiu publicznym i poza SLD nigdzie nie słychać protestów.

Z sejmowego wystąpienia premiera wynikałoby, że będzie się ponownie weryfikować sędziów. Min. Suchocka, aby uprzedzić tę groźbę – stara się pospiesznie znaleźć brakujących 9 sędziów (21–12) do Sądu Łustracyjnego, którzy zechcą podpisać deklarację, że nie współpracowali z SB i podjąć się niepopularnej roboty na podstawie aktualnej ustawy.

Prezydent Kwaśniewski wykonał tymczasem ruch wyprzedzający, wnosząc o poprawienie ustawy łustracyjnej tak m.in., aby zdefiniować w niej pojęcie „współpracy”. W sądownictwie ma to szczególne znaczenie, bo wśród sędziów z dłuższym stażem trudno znaleźć takich, do których nie zachodzili „służbowo” ludzie z SB...

Poprawi się ustawę o służbie cywilnej, znosząc w szczególności warunek siedmioletniego czasu służby przy awansie do grupy A, którym Miller starał się obwarować

dostęp dla swoich. W kancelarii premiera szaleje Wiesław Walendziak (ten od pampersów) dobierając kadry na wymianę w terenie.

Projektowane represje wobec komuchów obejmują, sądząc z niejasnej wypowiedzi premiera, cofanie jakichś przywilejów emerytalnych jako „moralnie niedopuszczalnych”, ale konkretów jeszcze brak.

2.

Polityka zdecydowana ideowo – to brzmi mocno. A w tłumaczeniu na pieniądze?

Nowy rząd stoi wobec rosnącej presji ze strony rozmaitych sektorów sfery budżetowej: ludzie ci chcą nadrobić opóźnienie płacowe w stosunku do ogólnych statystyk i zapewnić sobie efektywne korzyści z oczekiwanych reform. Najlepiej widać to połączenie w głośnym strajku anestezjologów, ale w kolejce zgłaszają się już następni, z policjantami na pierwszym miejscu. Otóż nie ma szans, by jakikolwiek rząd mógł zaspokoić te pretensje. Wzrost płac w ostatnich dwóch latach był nadmierny w stosunku do wzrostu wydajności, PNB oraz efektywności eksportowej*. Nie sposób dopuścić, by inni naśladowali ten fatalny przykład. Nie będzie więc nadrabiania opóźnień płacowych w budżetówce. Natomiast korzyści z reform to perspektywa dość odległa, bo wcielanie reform w życie (np. w służbie zdrowia) nie zacznie się, Buzek *dixit*, przed końcem 1998, i to przy maksymalnym pośpiechu.

Natomiast od razu ma się zacząć zapobieganie grożącemu kryzysowi „w czeskim stylu”: załamaniu wzrostu pod wpływem deficytu bilansu handlowego, deficytu budżetowego i nagromadzenia długu publicznego, wewnętrznego i zewnętrznego. Warto będzie śledzić ostrą dyskusję, która w grudniu toczyć się będzie wokół tej diagnozy pomiędzy obecną i poprzednią ekipą w Ministerstwie Finansów. (Rząd ma ogłosić w grudniu „bilans przejęcia i otwarcia”). Niezależnie jednak od arytmetyki bilansów, ekipa Balcerowicza jest wyraźnie zdecydowana lansować najczarniejszą wersję za-

* Dla przykładu: nominalne wynagrodzenia w trzech kwartałach 1997 były o 21% wyższe niż w 1996, co realnie oznacza 8-9% wzrostu.

grożeń, ponieważ dyktują ją nie tylko jej własne przekonania, ale również zamówienie polityczne jej patrona społecznego: *business'u* również zagranicznego, trwale zaangażowanego w Polskę (to stwierdzenie nie przesądza, oczywiście, o niesłuszności lansowanej wersji oceny). Zdecydowane hamowanie płac musi towarzyszyć, wg tego zamówienia, równie zdecydowanemu przyspieszeniu prywatyzacji, likwidowaniu wszelkich barier reglamentacyjnych oraz „uporządkowaniu” podatków i opłat, co Balcerowicz obiecuje *explicité* w miejsce przedwyborczych przyrzeczeń ogólnej redukcji opodatkowania. Jest pewne, że efektem realizacji takiego zamówienia będzie dodatkowe zróżnicowanie sytuacji materialnych; to prawda, że w koncepcji Balcerowicza ma ono przynieść korzyści również pracy wysokokwalifikowanej, np. lekarzy, nie tylko kapitałom. W zamian za zgodę na „uporządkowanie” gospodarki wicepremier obiecuje podtrzymanie tempa wzrostu PNB na poziomie trzykrotnej przeciętnej z Unii Europejskiej...

Dla dobra naszego tematu możemy przyjąć, że wicepremier Balcerowicz i jego partia istotnie uważają, że trzeba ratować polską gospodarkę i polską modernizację i uważają SLD za niezdolny do realizacji takiego programu m.in. wskutek braku bazy gotowej do poświęceń. (I to, oczywiście, prawda, że elektorat SLD niczego nie poświęci na apel swych elektów). Wobec tego koalicja z AWS oraz owa cena zamilknięcia, wyrzeczenia się własnego etosu, przybierają inny sens: sama UW też się poświęca dla narodu licząc, że AWS nakłoni w zamian masy do posłuchu Balcerowiczowi. Bo teraz to AWS musi przemawiać do mas, retoryka przynależy Krzaklewskiemu.

Otóż obojętnie, którą wersję przyjmujemy, czy tę „cyniczną”, że UW chce sobie ułatwić konwersję, czy tę ideową o ratowaniu gospodarki narodowej – trzeba jeszcze, żeby Marian Krzaklewski i jego AWS zagrali wyznaczoną im rolę. Na to się nie zanosi, choć np. Buzek (z dwóch kandydatów AWS na to stanowisko był wyraźnie preferowany przez Unię i osobiście Balcerowicza) podziela w dużej mierze unijne analizy sytuacji. Kierownicza ekipa związkowa AWS skupiona lojalnie wokół Krzaklewskiego bez względu na stare rywalizacje (np. Maciej Jankowski z Warszawy) ma, jak się

zdaje, inne, o wiele bardziej polityczne zainteresowania niż Balcerowicz. Chce ona utrwalić swą pozycję jako pierwsza siła polityczna Trzeciej Rzeczypospolitej. Już 13 listopada parlamentarzyści i działacze AWS zarejestrowali w Sądzie Wojewódzkim w Warszawie partię o nazwie Ruch Społeczny AWS. Jej kongres odbędzie się w styczniu-lutym 1998 w Warszawie, przewodniczącym jest do tego czasu Krzaklewski, który czuje się doskonale jako potrójny prezes („S”, AWS i RS AWS). RS AWS jest demokracją chrześcijańską, jego założyciele liczą, że za miesiąc będzie zrzeszał przynajmniej 100 tys. członków(!), przy czym dopuszcza się wyłącznie członkostwo indywidualne, co wyklucza zarówno związek „S”, jak zwłaszcza sojusznicze partie i partyjki. RS AWS – i to zostało już powiedziane – ma wygrać nie tylko wybory samorządowe w 1998 ale także przyszłe wybory parlamentarne i prezydenckie.

Wobec takich ambicji RS AWS będzie wprowadzić zainteresowany sukcesem rządu Jerzego Buzka, ale nie aż do tego stopnia, żeby brać na swe barki program Balcerowicza w zbyt niepopularnym wydaniu.

3. Kierownictwo (Balcerowicz i Krzaklewski)

Centralnym polem zainteresowań dla kierowniczej ekipy AWS (RS AWS...) nie będą, wbrew związkowym filiacjom, płace, warunki pracy i warunki życia pracujących, ale kształt państwa i treść jego motorycznych idei. Nie zmienia tego konieczność pogodzenia się na czas obecnej kadencji z konstytucją, której raczej nie podobna będzie nowelizować: UW nie może (chyba) się aż tak zdezwuować a jeśli nawet, to jest jeszcze Kwaśniewski ze swym *veto*, koalicja zaś nie ma 276 głosów, żeby je obalić. Wygląda na to, że przywódcy AWS już się z tym pogodzili, niemniej ani Krzaklewski ani Buzek nie zdystansowali się choćby o krok od swych przedwyborczych poglądów na konstytucję ani nawet od werbalnych nadużyć w tej polemice. Natomiast chętnie korzystają z perspektyw, które otwiera tekst konstytucji na budowę tzw. mocnego państwa. Jak wiadomo, w klasie politycznej w ostatnich latach, rosnącą popularność zyskał kanclerski model rządów. W obecnej konstytucji wyraziło się to pewnym osłabieniem pozycji prezydenta,

rozszerzeniem kompetencji premiera i jego prymatu nad Radą Ministrów i wreszcie wprowadzeniem konstruktywnego *votum* nieufności (z obowiązkiem wskazania nowego premiera). *Implicité* chodziło również o pohamowanie napadów sejmokracji. Nowa ekipa chętnie podchwyciła tę tendencję i w nowych regulaminach przekreśliła wszelkie „kolektywne kierownictwo” w izbach na rzecz wszechwładzy marszałków. Ograniczono nawet pewne uprawnienia samych posłów (w dziedzinie pytań, interpretacji, wniosków formalnych). Niezależnie od oceny dotychczasowych parlamentów RP i pracy posłów trzeba pamiętać, że parlament jest instytucjonalną ostoją wszelkiej demokracji, również tej prezydenckiej czy kanclerskiej. O ile Lechowi Wałęsie przydarzyło się deprecjonować Sejm w populistycznym trybie i w sposób, powiedzmy, chaotyczny, o tyle wygląda na to, że teraz ekipa z AWS i jej przywódca, myślą konsekwentnie o takim „uporządkowaniu” państwa, żeby wziąć parlament mocno w rzy i żeby „mocnemu państwu” przewodził „mocny człowiek”. Na tydzień przed wyborami OBOP przeprowadził badanie elektoratu, które dało rewelacyjne, jak sądzę, wyniki:

Na pytanie: – „Czy zgadza się Pan(i) ze stwierdzeniem: „W obecnej sytuacji kraju zamiast demokracji lepsze byłyby rządy silnego człowieka?” – 56% respondentów, zamierzających wziąć udział w głosowaniu i zdecydowanych na kogo oddać głos, odpowiedziało „nie”, ale aż 37% – „tak” (7% nie miało zdania; dla ogółu Polaków wynik był zbliżony, odpowiednio 52%, 38%, 10%). W elektoratach poszczególnych partii wyniki były jeszcze ciekawsze. Za demokracją było: 72% wyborców UW, 69% – SLD, 54% – ROP, 48% – PSL i 47% – AWS. Natomiast „silnego człowieka” preferowało, odwrotnie, aż 45% AWS, 42% – PSL, 42% – ROP, 27% – SLD, 24% – UW.

Nie należy wnioskować zbyt pochopnie. Odpowiedzi w sondażach są z reguły nie przemyślane a w kierowniczej grupie z „Solidarności” jest na pewno wielu przeciwników autorytarnych zakusów Mariana Krzaklewskiego. Ale jest chyba niebezpieczne, że głośne dziś hasło „mocnego państwa” – takiego, w którym policjanci łapią złoczyńców, sędziowie zaraz sądzą, pociągi jeżdżą punktualnie, urzędy skarbowe zbie-

rają tyle tylko, ile się należy, a całą resztę ludzie załatwiają między sobą – zbyt wielu kojarzy się z państwem „silnego człowieka”.

Nie pisałem nic o dwóch siłach: Kościele i opozycji SLD. Trochę za mało wiem, bo po 3 miesiącach dopiero wracam do pracy. Nadto, oba te podmioty jeszcze nie rozeznały nowej sytuacji.

Biskupi pojechali do Brukseli i wrócili, przynajmniej dwaj z nich, bardzo zbudowani. Minister spraw zagranicznych, Geremek, tak się rozpędził z radości, że również prymas zaliczył do zbudowanych i nawet mianował „ambasadorem polskiej sprawy” w Unii Europejskiej. Tak czy inaczej, Kościół jest nową sytuacją całkiem usatysfakcjonowany, bo czegoż jeszcze miałby pragnąć! Jest też, przynajmniej Kościół myślący, gorącym zwolennikiem trwałości obecnej koalicji: ekstremiści w hierarchii są w mniejszości, ale w terenie, gdzie buszuje ks. Jankowski i Radio Maryja rzeczy mają się zapewne inaczej.

A SLD w tym wszystkim? Przegrał wybory choć zyskał 600 tys. głosów więcej. Gra swoją rolę twardej opozycji parlamentarnej. Odpiera ataki, stara się pohamować odwrót. Następną bitwę, zapewne decydującą, SLD stoczy w wyborach komunalnych. Jeśli ją także przegra, to może być koniec potężnego SLD. Zostaną sami idealisci.

Warszawa, 14 listopada 1997

Krzysztof WOLICKI

Kartki ze skażonej strefy

Zastanawiam się, czym zastąpić słowo „postkomunista”, jeżeli nie chce się kogoś urazić, a tylko określić pochodzenie polityczne. Zastanawiałam się i nie znalazłam. Powiedzieć „socjaldemokrata Oleksy”, „socjaldemokratka Sierakowska”,

brzmiałoby wręcz dwuznacznie, nienaturalnie, ironicznie i obierane byłoby powszechnie jako szyderstwo.

Nie ma rady, „postkomunista”, „postkomuna” weszły w obieg dzisiejszego języka. Wcale nie muszą oznaczać oceny, a jedynie „miejsce urodzenia”, którym jest PZPR, a od której żaden z członków SdRP nigdy jednoznacznie się nie odciął. Zgadzam się – termin jest nieprecyzyjny i może być pozytywny za epitet, ale nie znaleziono lepszego, tak jak nie znaleziono nic bardziej trafnego i krótkiego zarazem na określenie „lewicy” i „prawicy”, choć wszyscy zgadzamy się, że jest ono uproszczeniem.

Podobnie rzecz ma się z katolikami. Gama odcieni wśród ludzi wyznających tę samą wiarę jest spora. Na przykład, ja, żeby siebie prawidłowo ustawić w szyku, zapytana, odpowiadam: „katolewica”, czym sytuuję się w pobliżu *Tygodnika Powszechnego*, bo tak go – z intencją negatywną – ochrztili katolicy-fundamentalisci. W porządku, mnie to nie wadzi. Choć można by o nas powiedzieć sympatycznie: „katolicy otwarci”.

W ankiecie idącej przez dwa numery *Kultury* (9,10'97) młodzież polska szkół średnich wypowiedziała się zgodnym chórem, że ma politykę w nosie. Zgoda, to jej wolno. Zdziwiłabym się nawet, żeby się do niej garnęli przy tym zgorszeniu, jakie urządza nam klasa polityczna. Ale powiedzieć, że pojęć „komuna”, „postkomuna”, „Solidarność”, „lewica”, „prawica” nie rozumieją i nie chcą rozumieć, to już zwyczajny unik. Oczywiście, życia w komunizmie i w stanie wojennym mogą nie pamiętać (córka premiera Buzka wyznała w telewizji, że pamięta z tego okresu jedynie to, jak tata wychodził z domu o dziwnych porach, a mama była niewesoła), ale odwracać się od terminów, na które będą zdani w mediach, miastach, wsiach i w życiu, i z którymi chciał nie-chciał, przyjdzie im się stykać codziennie, zakrawa na pięknoduchostwo. Znakomita ich większość bowiem nastawia się na pieniądze, a pieniądź, wiadomo, koło władzy i polityki chodzi. Toteż nie kwestionując spontaniczności wypowiedzi, nie traktuję ich jako poważne przemyślenia, a jedynie powielanie stereotypu konfliktu pokoleń.

Mnie, na przykład, łączy z młodymi tramwaj i autobus miejski. Starzy i młodzi poruszają się wyłącznie tym właśnie

środkiem lokomocji (ci „w środku” społeczeństwa jeżdżą głównie autami). Niedawno podjęłam wyścig do wolnego miejsca w tramwaju z piętnastolatkiem. Łatwo zgadnąć, kto wygrał. Spoczął, wyciągając długie nożyśka i patrząc na mnie, obwieszoną pakunkami, w zamyśleniu. Miły, kulturalny chłopiec. Nie żaden margines. Jestem pewna, że gdybym poprosiła: „słuchaj, odstęp mi miejsce, bo ciężko mi stać”, zrobiłby to z ochotą. Ale on po prostu nie wiedział. Dzisiejsza młodzież nie wie, że się miejsca ustępuje; że się wstaje w rozmowie ze starszym, który stoi, że się puszcza kobiety przodem. Jeżeli dziś kto ustąpi mi miejsca, to czterdziestolatek, rówieśnik moich synów wychowanych za komuny. Pamiętam, że oni, choć zbuntowani i kontestujący, niepoprawni gapowicze, nigdy w tramwaju nie siadali, choć były wolne miejsca. „Po co mam siadać, skoro zaraz będę musiał wstawać” – argumentowali. Sytuacja, w której młody by siedział, a stary nad nim stał, byłaby nie do pomyślenia. Nie potrzeba było do tego żadnego wychowania, to się rozumiało samo przez się.

Teraz jest na odwrót. Dlaczego? Nie wiem. Może błyskawiczne zapożyczenie z Zachodu, jak Walentynki, jak Halloween, czyli Zaduszki na wesoło; a w tym przypadku – swoiście pojęta demokratyczna równość? Rzecz dla socjologów.

Prasa alarmuje o szczególnej „integracji” małałatów ze starszankami w postaci napadów, oczywiście, tych pierwszych na tych drugich. Na przykład, dwie nastolatki zrobiły to, jak powiedziano, „na wodę”. Dziewczynki pukały do samotnych kobiet prosząc o szklankę wody; gdy starsuszka obracała się, by je napoić, dusiły ją rękawem kurtki (na ogół skutecznie) i plądrowały mieszkanie. No, ale nie o patologię młodzieży mi chodzi, a tylko o zwyczaje, normalne przemieszanie pokoleń. Moim zdaniem, rysuje się ono dziś ciekawiej niż wtedy, kiedy obowiązywał sztywny podział i związana z nią hierarchia zachowania. Brak zaszeregowania pokoleniowych wprowadził swobodniejszą wymianę poglądów. Młody nie mówi już do starego innym językiem, dobierając słów – i *vice versa*. Często różnolatkowie przechodzą z sobą na ty, co bardziej zależy od człowieka niż od wieku. Młodzi, rozbudzeni bardziej humanistycznie, pytają starych, jak było.

Chcę znać historię najnowszą z pierwszej ręki. Przekonałam się, że moje teksty nawiązujące do tego, co zapamiętałam z własnej przeszłości, budzą większe zainteresowanie niż sprawy bieżące, od których roją się media. Starzy natomiast pytają żarliwie młodych o tajniki komputera i internetu, o te wszystkie techniczne gadzety pojawiające się w pokojach synów i wnuków. Jest wymiana.

Natomiast wszystkie „roczniki” zgodnym chórem mówią o dostojnikach państwowych z niebywałą lekkością. Jakby się zmówili. Ten ton przyjął się w całym wielkim obszarze postkomuny. Że młódzież tak czyni, nie dziwota, im było wolno od małego, ale warto zapytać, jak to się dzieje, że stara Rosjanka, pasąca kozę gdzieś, na obrzeżach syberyjskiej tajgi, mówi do kamery telewizyjnej o Jelcynie, który właśnie zawitał w jej strony: „ten niedorajda i fajtłapa, nie umie nawet ludziom pensji wypłacać”. Mówi ot tak, bez specjalnego rozsierdzenia, po prostu, wyraża swoje niezadowolenie. Ona, która od urodzenia nie tylko nie mówiła o władzy i do władzy, ale bała się podnieść na nią wzrok.

Jak to szybko poszło! Widocznie, odreagowanie wieloletniego zakazu stało się przemożną potrzebą psychiczną. I teraz przedobrzymy, szydząc z władzy nadmiernie, nie bacząc na powagę urzędu.

Jeżeli nastąpił jakiś rozziw między zainteresowaniami wstępującego i schodzącego pokolenia – to w sporcie. Jedynie ramole warują dziś przy telewizorach, kontemplując mecze. Młodzi zupełnie sport ignorują. Nie licząc młodocianych kibiców-zabijaków, ale to podkultura, więc patologia, czym się tu nie zajmujemy.

Konkludując: moje prywatne obserwacje i kontakty z młodymi nie potwierdzają nadzwyczajnej odrębności pokoleniowej, jaką zdaje się sygnalizować ankieta *Kultury*. Wprost przeciwnie.

Premier Buzek robi dobre wrażenie. Na razie tyle, ale i to wiele. Chyba nie można było wyłuskać kogoś sensowniejszego z różnorakiej gromady AWS-u.

Nieoceniona *Nasza Polska* przypomniawszy zamieszczono-

nym na swoich łamach zdjęciem wizerunek znacznie młodszego niż obecnie Geremka i młodego Buzka w rozmowie podczas pierwszego Zjazdu Solidarności w hali Olivia w roku 1980. Podpis pod fotografią brzmiał: „sojusz ewangelików z żydami”. Długo by myśleć, żeby coś takiego wymyślić. Ale to bardzo w stylu tej gazety.

Potem Jerzy Buzek na długo zniknął z pierwszej linii działaczy Solidarności i późniejszej konspiracyj (teraz wiemy, że przyczyną była ciężka choroba córki, szczęśliwie przeżyta).

Ponownie pojawił się w blasku fleszy w debacie telewizyjnej z ramienia AWS-u.

Jaki będzie? Nie wiadomo. Jak mówię, robi dobre wrażenie, choć trudno odmówić racji Leszkowi Millerowi, który nazwał *exposé* bezbarwnym, a jego podlizanie się w nim Krzaklewskiemu na pewno nie było fortunne. Potknięcie to – zamierzone być może taktycznie bądź nieświadome – nie przesądza jednak o jego umiejętnościach premierowania.

Od 1989 roku nie było większej niewiadomej, jak potoczą się nasze sprawy, co wyłoni się z wielkiej magmy zwanej Akcja Wyborcza Solidarność i jej koalicjanta. Co natomiast stanowi pewnik, to drapieżna opozycja; o stokroć mocniejsza od poprzedniej, niemrawej. Ale nam może to tylko wyjść na zdrowie.

Przyjechali do mnie na trzy dni Rusłan z żoną ze Stawropola na zakupy.

Rusłana wzięłam do siebie do domu pięć lat temu z altanki na działce, gdzie nocował za zgodą właścicieli, odmrażając sobie uszy, bo mróz był siarczasty. Okazał się niebywałą „złotą rączką” i przeprowadził mnie bezboleśnie z jednego mieszkania do drugiego, odnawiając po drodze moje stare graty w sposób tak idealny, o jakim nie śniłam. Od tej pory sława jego rąk rosła i zatrudniał się w Polsce rokrocznie.

Teraz tylko wpadli oboje na Stadion po towar przed Gwiazdką. Towarem jest wyłącznie odzież: swetry, garsonki, palta. Zakupili tego za blisko dwa tysiące dolarów. (Płacąc dosłownie dolarami, które na Stadionie są walutą obiegową).

Tekstylia tam sprzedawane pochodzą z wielkiej aglomeracji łódzkiej, która jest największym zagłębiem tego typu w Europie. Mały Hong Kong. Obszywa Zachód i Wschód, doczepiając dowolne metki na życzenie hurtowników.

W Stawropolu odzież z Polski uważana jest za szczyt szyku, bez porównania wyżej ceniona niż szmaty z Turcji, dokąd ze Stawropola o wiele bliżej. Dla tego szyku Rusłanowie przedsięwzięli podróż do Warszawy trwającą blisko trzy dni. Najpierw autobusem 300 km przez siedem godzin do Rostowa, tam przesiadka na pociąg relacji Rostow-Brześć Litewski, potem „wahadłowcem” przez Bug do Terespolu, a stamtąd expresem do Warszawy. Bilety wszędzie za łapówkę.

Przez trzy dni rankiem, kiedy dopiero dniało, szli na Stadion. Ona wybierała towar, on dźwigał. Zakupione rzeczy ugniatali ciasno w specjalnie tam sprzedawane lekkie torby, bacząc, żeby nie były za ogromne, bo „gdy baba włoży na wózek taką górę, co tylko jej głowa spod niej wystaje, od razu ją celnik chapnie”.

Odprawa celna jest najgorszą zmorą wyprawy. Dokonują jej celnicy białoruscy w imieniu Rosjan zgodnie z zawartą umową. O to Rusłan ma gruby żal do Jelcyna. Jakim prawem?! Żeby wzbogacać Łukaszenkę?! Wolałby po stokroć dać łapówkę swojemu, bo że dać, *no, kaniecznie*, trzeba.

Po odprawie droga spokojna, tylko pilnować się trzeba, żeby nie usnąć, bo złodzieje kolejowi, wzorem prastarej tradycji, rozpylają w przedziałach gaz usypiający i kradną wszystko, jak leci.

Rusłan obliczył na kalkulatorku, że za towar zakupiony w Polsce, wliczywszy koszt transportu, będzie miał w Stawropolu dwukrotne przebicie.

Pieniądze, jakie tu wydał, zarobił tym razem nie w Polsce, ale w rodzinnym mieście, budując willę dla dyrektora prywatnego uniwersytetu prawa. Sytuacja na rynku pracy nie jest tam oczywiście tak dobra jak w Polsce, ale stokroć lepsza, jak na przykład, na Ukrainie. Rusłan mówi, że Ukraińcy ze wschodniej części masowo przyjeżdżają do Moskwy, żeby pracować na czarno. Są tańszą siłą roboczą niż Rosjanie. „Bo u nich, pani Ewa, straszna, straszna bieda” – mówi to ze współczuciem, ale i z nutką wyższości.

Burmistrzem Stawropola został komunista od Ziugano-

wa, ale według Rusłana nie ma to najmniejszego znaczenia. Nawet gdyby komuna wygrała wybory w całej Rosji, nic się nie zmieni, bo to tylko nazwa. „Pani Ewa, tamto się nie wróci”, mówi z przekonaniem.

Zadzwonił do mnie znajomy z błaganiem: „zmiłuj się, odważ się, napisz...”. Zwija się z bólu od tygodni czekając na operację usunięcia kamieni nerkowych. Takich czekających w kolejce na operacje różnego typu z powodu strajku anestezjologów nikt nie policzył. Cierpią nie zauważeni przez ogół i media.

O samych anestezjologach codziennie w mediach pełno. Codziennie mapka Polski pokazuje nowe regiony, które się do strajku przyłączyły. Pisz się, że strajkują, że głodują, że pracują na przedpotopowym spręcie, że znieczulają praktycznie tylko pacjentów z wypadków („cholera, pijak rozbije się wozem i zaraz go biorą, a my co...”, szemrzą cieniuśniętym chorzy i przy bezpośrednim zagrożeniu życia). Więc pisze się, że anestezjologowie domagają się zwykłego płac, że Buzek obiecał, że nowy minister rozmawia itd. itd. Nikt jednak pełnym głosem nie napisał o czekających chorych, którym brak ingerencji chirurgicznej przysparza cierpień i skracając życie.

W telewizji pokazali chorą na łóżku szpitalnym, owitą zwojami kroplówek. Ze łzami w oczach wykrztusiła z siebie, że popiera głodowy strajk anestezjologów. Komentarz innych chorych: „bała się”. Bała się, że jak powie inaczej, to jej w ogóle nie znieczulą, odstawią, zapomną.

Sytuacja w służbie zdrowia nabrzmiewała latami jak wrzód. Wreszcie wrzód pękł. Zbuntowała się na całego ta grupa lekarzy, która została pozbawiona możliwości dorobienia poza nędznym etatem. Anestezjolog nie ma prywatnej praktyki i omija go biała koperta wręczana przez pacjentów chirurgom.

Robię ich protest, który robiony z taką determinacją, może doprowadzić wreszcie do rzeczywistej całościowej reformy systemu zdrowotnego, ale gdybym była jedną z tych osób zwijających się z bólu, chyba bym ich przeklęła.

Gdy patrzę, jak zasiadają przy stole z jednej strony rządowcy, z drugiej – anestezjodzy, i gdy porównam ich zarobki, prawie dziesięciokrotnie niższe, trudno mi apelować do moralności i przypominać przysięgę Hipokratesa. Już święty Tomasz z Akwinu mówił, że do uprawiania cnoty potrzebne jest „minimum socjalne”, jakbyśmy dziś rzecz ujęli. Głodnemu wolno ukraść bez grzechu.

Jak dotąd, mamy do czynienia z sytuacją bez wyjścia. Chory się nie zbuntuje, a decydent, gdy spadnie na niego choroba, i tak zostanie porządnie obsłużony w klinice rządowej. Tu pasuje słynne powiedzenie Jerzego Urbana, gdy był rzecznikiem rządu w okresie pustek w sklepach, że „rząd i tak się wyżywi”. Reżim padł, ale na tym polu nic się nie zmieniło.

Służba zdrowia to zadawnione zaniedbanie władzy. Do nowych należy spapranie działań popowodziowych. Ten sprawny w gębie postkomunistyczny rząd spartaczył sprawę na całej linii. Zmarnował pieniądze sypnięte niebawale hojnie zewsząd i zmarnował szansę restrukturyzacji budowlanej. Teraz, gdy nastały mrozy, myśli się o pospiesznym zakupie za granicą kontenerowców, czyli prowizorycznych mieszkań-pudełek na kilka sezonów. Wstyd.

Przed wyborami do parlamentu rzeszowscy kandydaci AWS-u złożyli publicznie imienne oświadczenie, że w przyszłym sejmie domagać się będą obniżenia uposażeń poselskich podniesionych za rządów SLD-PSL, zgodnie, jak krytykowany, z ich filozofią: najpierw prywatna, potem partia, a na końcu dobro publiczne.

Wybory AWS wygrała, a sygnatariusze oświadczenia karnie jak inni ustawili się w kolejce do sejmowej kasy, co naród mógł sobie obejrzeć w telewizorze. O deklaracji przedwyborczej ani mru-mru.

Dochód miesięczny posła, wraz z dietą, dodatkami funkcyjnymi i odpłatą za biuro w terenie, dochodzi do dziesięciu tysięcy nowych złotych miesięcznie. Anestezjolog zarabia niewiele ponad tysiąc.

I jak tu nie być populistą?

Timothy Garton Ash, jeden z dwu angielskich historyków (drugim jest Norman Davies), którzy ukochali Polskę

poprzez żony Polki i mówią biegłą polszczyzną, otóż Ash wydał ostatnio książkę z zakresu literatury faktu pod tytułem „Teczka”. Chodzi o jego teczkę personalną w archiwach Stasi. Bo Ash, nim przyjechał do Polski, pisał doktorat w NRD z zakresu służb specjalnych w hitlerowskich Niemczech. Dużo jeździł po kraju, dużo rozmawiał z ludźmi. Trudno, żeby w tych warunkach nie założono mu teczki; był wręcz uważany za agenta brytyjskiego. Gdy komuna upadła, Ash poprosił o swoją teczkę, którą mu udostępniono. Więcej, udostępniono mu teczkę osób, które na niego donosiły. Powstała z tego książka, która nie jest, na szczęście, żadną policyjną demaskacją, ale wnikliwą analizą bezprzykładnie perfekcyjnego uwikłania obywateli NRD w pajęczynę Stasi.

Na promocji polskiego wydania „Teczki” autor wyraził zdanie, że choć ujawnienie w Niemczech teczek przyczyniło się do wielu tragedii osobistych (np. żona dowiaduje się, że mąż donosił na nią, i *vice versa*), to jednak owo otwarcie ma moc terapeutyczną, prowadząc w końcu do zamknięcia sprawy.

Książka jest arcyciekawa, wielowymiarowa, i może dlatego nasuwa mi dwa dylematy: dlaczego autor dostał pozwolenie zajrzenia do teczek innych (czy dyplom historyka stanowi wystarczający powód?), oraz strach, że podobne otwarcie w Polsce nie prowadziłoby bynajmniej do zbawczego zamknięcia, ale przeciwnie, do otwarcia na długo polskiego piekła. Tym bardziej, że polskie teczki nie mają w sobie nic z pedantycznej rzetelności niemieckiej. Przeciwnie, jak twierdzi Krzysztof Kozłowski, minister spraw wewnętrznych w rządzie Mazowieckiego, który do teczek zaglądał z obowiązku, w większości jest w nich fucha i chłam. Nic nie znaczący materiał robiony przez oficera kadrowego dla wykazania się wydajnością, dla awansu, na żądanie szefa. Sądziłby nas nie sprawiedliwy sędzia, ale zły przypadek. Inną sprawą jest przeświecenie wszystkich pretendujących do władzy; jest to konieczność praktykowana wszędzie. W Stanach nazywa się *security clearing*, co po polsku oddać można „czyszczeniem dla zachowania bezpieczeństwa”. Na to, oczywiście, pełna zgoda.

15 listopada 1997 r.

Ewa BERBERYUSZ

Wizyta w Warszawie

Redaktor pytał o wrażenia z kolejnego pobytu w kraju.

Oto najbardziej ponure.

Przed kolejną wyprawą zatelefonowała na szczęście kuzynka, mieszkająca na Mokotowie, a więc w dzielnicy z telekomunikacyjnego punktu widzenia dość podłej. Naszym rozmowom na linii Warszawa-Sztokholm towarzyszą zawsze trzaski, a często tajemnicze dudnienia i charkot kojarzący się z pracą niezapomnianych zagłuszarek BBC i RWE. W czasie jednego z częstych pobytów w Warszawie usiłowałem nawet odkryć przyczynę różnorodności dźwiękowej owych zakłóceń, ale uzyskałem jedynie odpowiedź, że „tak musi być, bo centrala stara”. Teraz jednak – o dziwo! – głos kuzynki nie był wzbogacony całą gamą dodatkowych efektów akustycznych, jakie za nader wygórowaną opłatą zapewnia swoim klientom państwowy, telekomunikacyjny monopolista. Uszczęśliwiona rozmówczyni poinformowała mnie od razu, iż możemy rozmawiać bez zakłóceń, gdyż stała się posiadaczką telefonu mobilnego, w Polsce zwanego oczywiście „komórkowym” (*cellphone*). Ponieważ mieszka Pan na Zachodzie, muszę chyba wyjaśnić, iż w krajach typu Polski czy Rosji telefon mobilny jest – głównie z powodu bardzo wysokiej w stosunku do zarobków ceny – wyróżnikiem statusu, a nie pospolitym środkiem komunikacji; osoba trzymająca w garści ten *gadget* daje przy okazji do zrozumienia, że należy do lepszego towarzystwa. Jednakże moja warszawska kuzynka jest właśnie typowym nieudacznikiem, bo naiwną, *ergo* – ubogą lekarką. Gdy jednak wyraziłem zrozumiałe zdziwienie jej konsumpcyjnym wyuzdaniem, wytłumaczyła, iż przez Telekomunikację SA została wręcz zmuszona do nabycia aparatu mobilnego: po prostu telefon stacjonarny w jej mokotowskim mieszkaniu nie będzie działać przynajmniej przez najbliższy miesiąc! Dotyczy to zresztą telefonów w całym bloku. Ponieważ zauważyłem, iż przecież w stolicy cywilizującego się kraju nie można pozbawić abonenta możliwości telefo-

nowania „przynajmniej przez najbliższy miesiąc”, dowiedziałem się – zresztą nie po raz pierwszy – jak zastraszący jest stopień mojej degeneracji po wieloletnim pobycie w państwach zachodnich. – U nas nadal wszystko jest możliwe – dodała nawet z pewną dumą moja, już bezprzewodowa, interlokutorka. Niestety miała rację.

Po przylocie do Warszawy zatrzymałem się, jak zawsze, w rejonie Placu Zbawiciela. Drugiego dnia mojego pobytu zatelefonowała do mnie koleżanka z Żoliborza: – Jakie to szczęście, że cię zastałam. Podobno akurat z waszego rejonu można się dodzwonić na Mokotów. Czy mógłbyś zatelefonować do mojej mamy na Łowicką i poprosić, aby do mnie zadzwoniła? Wiesz, my nie możemy się połączyć, ale oni z Mokotowa mogą się czasami dodzwonić na Żoliborz.

Spełniłem prośbę koleżanki, starsza pani zatelefonowała z Mokotowa i skomplikowana operacja o kryptonimie „Telefon w Warszawie” została uwieńczona powodzeniem.

Uznałem jednak za symptom szczególnie groźny, iż owa żoliborska koleżanka – z wykształcenia politolog, z zawodu dziennikarka, często bywająca na Zachodzie – nie widziała niczego potwornego w swoich problemach z warszawską telekomunikacją. Ot, dolegliwość tak zwyczajna, iż nie zwraca się już na nią uwagi. Gdy w roku 1990, po wieloletniej nieobecności, odwiedziłem Polskę po raz pierwszy, panował jeszcze nastrój euforii, swoje odbicie znajdujący w powszechnym przekonaniu, iż „teraz wreszcie będzie jak na Zachodzie” (nawet chyba nie warto nadmieniać, że obraz tego Zachodu był całkowicie mityczny, także u osób, które często w wolnym świecie bywały). Jednak w czasie swoich ostatnich wypadów odniosłem wrażenie, iż wielu Polaków zaczyna godzić się z faktem, że kraj ich odbiegać jednak musi od zachodniego wzorca, że jednak musi być „trochę gorzej”. Ta zgoda na gorszą jakość życia społeczeństwa wynika chyba także z powszechnego przekonania, iż liczą się tylko elity. Członkowie różnorodnych polskich elit: polityków, publicystów, bandytów, pań swawolnych etc. nie są zainteresowani w stworzeniu nowoczesnej sieci komunikacji miejskiej – oni wszak jeżdżą samochodami. Obojętny jest im poziom szkolnictwa powszechnego, gdyż ich progenitura uczęszcza do szkół prywatnych. Nie jest dla nich ważny stan telefonii

stacjonarnej, gdyż dawno już nabyli aparaty mobilne. Różne są przyczyny mocnego zakorzenienia w Polsce ideologii elitaryzmu: kultura szlachecka, katolicyzm, historia nawet – wszak po zniknięciu Polski z mapy Europy okazywanie obcym pańskiej wyższości też było formą narodowej samoobrony. Ten fatalny elitaryzm pociąga za sobą zjawiska tragikomiczne, chociażby to, co z wielką przenikliwością zauważyła Ewa Berberysz w październikowej *Kulturze* tego roku – że dla Polaka nie jest ważny stan dróg, ale fakt, iż porusza się po nich mercedesem. Prowadzi to jednak do kapitalizmu w stylu latynoskim, a nie zachodnioeuropejskim.

Ponadto jakość oferty usługowo-handlowej jest w Polsce ciągle niska. *Pédicure*, który musiałem dać sobie zrobić w zakładzie na Koszykowej, różni się jednak znacznie od zachodniej pielęgnacji stóp. Ponieważ w warszawskich mieszkaniach jest po prostu zimno, usiłowałem nabyć zwykły *cardigan*. Zaznaczam, że jako skromny osobnik w wieku kanonicznym, nie miałem żadnych wymagań odnośnie koloru, fasonu etc. – chciałem jedynie kupić sweter ciepły i z czystej wełny. Niestety, w pięciu różnych sklepach w centrum Warszawy oferowano mi wyłącznie *cardigan*'y z 30%-50% zawartością akrylu, w dodatku zdumiewająco drogie. Ponadto udzielano pouczeń, iż prawdziwy *gentleman* swetrów z czystej wełny nie nosi i na nic zdały się moje zapewnienia, że *gentleman*'em nie jestem i odzieży z włókien sztucznych nie używam. Próba zdobycia dezodorantu, który nie zawiera spirytusu zakończyła się wprawdzie powodzeniem, ale dopiero w czwartej drogerii. Ponieważ wierzę lekarzom, iż codziennie należy wypijać szklaneczkę *bordeaux*, zaopatrzyć się chciałem w dostępne mojej kieszeni wino tego typu średniej klasy, chociażby w świetne Château Talbot 1993 (które tu bezinteresownie polecam czytelnikom troszczącym się o swoje naczynia wieńcowe); oferowano mi wyłącznie „ciecze nieokreślone” lub gatunki superluksusowe. Powyższy przykład bardzo dobrze charakteryzuje polską ofertę konsumpcyjną, która nigdy nie jest skierowana do klasy średniej – zawiera albo tan detę, albo produkty dla *nouveau riche*'ów, którzy przynajmniej udają, że swoje kochanki kąpią w szampanie, rzecz jasna Moët&Chandon. Dyrektor polskiej filii budowlanej firmy Peab, Bo Adolsson powiedział reporterowi *Dagens*

Nyheter: – Budujemy mieszkania, ale nie są to mieszkania o szwedzkim standardzie, gdyż nikt w Polsce nie zapłaciłby ich ceny (*DN* 29 VI 1997). Pogląd ten podzielam: bogaci Polacy budują sobie wille z tymi osławionymi wieżyczkami, a pączkująca klasa średnia kupuje mieszkania o niskim standardzie, gdyż po nabyciu drogiego, zachodniego samochodu już jej na nic innego nie stać (nie jest wszak dla niej ważne, jak mieszka, ale w czym siedzi, tkwiąc w jednym z niezliczonych ulicznych korków). Wicedyrektor polskiej filii koncernu Ericssona, Jan Sjöberg zauważył melancholijnie, iż dla Polaków nie jest ważne, czy ich telefon mobilny dobrze działa; ważne jest, że aparat ten trzymają w garści (*DN* 24 VI 1997); ostatecznie w Polsce jest to bardziej symbol sukcesu niż środek komunikacji.

Nawet uwzględniając kryteria Europy Wschodniej, polska telekomunikacja jest w stanie rozpaczliwym, bo na poziomie krajów, które absolutnie nie kwalifikują się do członkostwa w Unii Europejskiej: Albanii czy Rumunii. Nowy polski premier sprawia wrażenie rzetelnego, rozsądnego pracownika nauki i miejmy nadzieję, że nie da sobie zamącić w głowie głosami elity, która twierdziła, że wszystko rozwiąże GSM: „sfery wyższe” będą miały telefony mobilne, a „hołota” przecież telefonować nie musi. Według danych z lata tego roku polski rynek telefonii mobilnej liczy *ca* 500 tysięcy abonentów. To jest kropla w morzu potrzeb. Według obliczeń bardzo optymistycznych polska telefonia mobilna systemu GSM i NMT będzie miała w roku 2001 jakieś 10%-12% rynku, co zresztą jest przyzwoitym poziomem europejskim. Nawet w Szwecji, gdzie telefon mobilny jest *gadget*'em uczniów szkół podstawowych (ku zrozumiałemu utrapieniu nauczycieli) oraz rutynowym wyposażeniem hydraulików i innych reperatorów, jeżdżących po domach od zlecenia do zlecenia, nikomu nie przyszłoby do głowy, iż telefonia mobilna może zastąpić stacjonarną. Możliwe są już wprawdzie rozmowy foniczne przez internet, ale bazuje on ciągle na sieci telefonii stacjonarnej; wykorzystanie do komunikacji komputerowej typu e-mail sieci elektrycznej jest dopiero w stadium prób. Dla wielu Polaków komputer jest ciągle skrzyżowaniem notesu i maszyny do pisanie (plus ewentualnie czytniki CD-Rom), gdyż dostęp do sieci unie-

możliwia fatalny stan telekomunikacji. Pozostaje wierzyć, że już wkrótce przeciętny polski inteligent informacji o książkach też będzie mógł szukać w *Publishers Weekly Interactive*, a telefoniczne połączenie w obrębie Warszawy przestanie być skomplikowaną logistycznie operacją. Ostatecznie rozwiązanie problemu polskiej telekomunikacji wymaga nie tyle pieniędzy, co odwagi.

Stefan ABNER

Jeszcze o Białowieży

W lipcu 1996 powiększona została powierzchnia Białowieckiego Parku Narodowego. Wieloletnia akcja społeczna zakończyła się częściowym sukcesem. Dla znacznej części polskiej i międzynarodowej opinii publicznej wydawało się oczywistym, że jest to jedynie pierwszy krok na drodze wiodącej do nadania statutu parku narodowego całości polskiej części puszczy. Przecież zaledwie jedna piąta jej powierzchni znajduje się na terenie Białowieckiego Parku Narodowego. Nie ustały zresztą apele publikowane w europejskich i amerykańskich czasopismach o wysyłanie listów do premiera polskiego rządu w sprawie zapewnienia ochrony białowieckiej przyrody. Autorzy tych listów, często przyrodnicy o międzynarodowej renomie lub organizacje o bardzo chlubnych tradycjach ochrony przyrody, podkreślają, że nieodpowiedzialna eksploatacja prowadząca do zagłady tego unikalnego obiektu nie tylko nie ustała, ale wręcz uległa nasileniu. O ochronę całości puszczy zabiegały także m.in. senacka i sejmowa komisja ochrony środowiska jak i Rada Naukowa Białowieckiego Parku Narodowego.

We wrześniu *Gazeta Wyborcza* (n° 220 z 20.09.) opublikowała informacje na temat wypowiedzi ministra Żeli-

chowskiego o niemożliwości objęcia statutem ochronnym całości puszczy. Ujawniona została także korespondencja pomiędzy Dyrekcją Generalną Lasów Państwowych, a Ministerstwem, w której podległa ministrowi Dyrekcja Lasów stawia warunki dotyczące zgody na powiększenie powierzchni Parku Narodowego, m.in. dziesięcioletni okres niepowiększania obszaru chronionego, jak i nietworzenie strefy ochronnej zwierzyny w otulinie BPN. Dziennikarze *Gazety* podkreślają ową dziwną praktykę, w której wbrew obowiązującej hierarchii administracyjnej, podległy resort (Dyrekcja Lasów) dyktuje warunki swojemu przełożonemu (ministrowi). Należy zauważyć, że w okresie owej dyskusji na temat losów Puszczy Białowieckiej, kilka innych zdarzeń doprowadziło do kompromitacji resortu odpowiedzialnego za politykę zasobami naturalnymi i ochroną przyrody. Katastrofalna powódź, której główną przyczyną była kilkudziesięcioletnia wadliwa polityka ekologiczna w tragiczny sposób przypominała do czego prowadzi lekceważenie podstawowych zasad ochrony przyrody. Prasa informowała, że w najbardziej dramatycznym okresie powodzi, minister odpowiedzialny za gospodarkę zasobami naturalnymi, a jednocześnie z urzędu przewodniczący Głównego Komitetu Przeciwpowodziowego nie zdecydował się nawet na zwołanie posiedzenia owego komitetu ani na jakąkolwiek publiczną wypowiedź. Rzadki to przykład urzędniczej arogancji wobec społeczeństwa, mający zapewne na celu ukrycie niekompetencji i błędów. W tym samym okresie ujawnione zostały skandale dotyczące nielegalnego, lecz praktykowanego za zgodą Ministerstwa Budownictwa na terenach chronionych.

Wydarzenia te powinny skłonić do refleksji nad kilkoma propozycjami publikowanymi już kilkakrotnie na łamach *Kultury* (a także kilku innych czasopism). Banałem jest powtarzanie o konieczności ochrony całości Puszczy Białowieckiej ze względu na jej unikalne w skali światowej walory przyrodnicze, związki z historią Rzeczypospolitej i znaczenie na obszarach permanentnej katastrofy ekologicznej. Sprawa Białowieży (nawet jeżeli dzięki presji społecznej zakończy się objęciem całości puszczy statutem parku narodowego) potwierdza tezę o konieczności zmiany polskiej polityki ekologicznej. Niezbędna wydaje się reforma administracyjna

rozdzielająca resort ochrony przyrody od resortu leśnictwa i gospodarki zasobami naturalnymi. W przeciwnym razie sytuacji nacisku „instytucji podległych” ministrowi (jak w przypadku Białowieży Lasów Państwowych) będą uniemożliwiały prowadzenie prawidłowej polityki ochrony przyrody. Zwłaszcza, że pozycja owych instytucji, często finansowych potentatów, będzie zawsze silniejsza niż argumenty dotyczące ochrony przyrody. Polityka natychmiastowego zysku bez względu na długoterminowe koszty będzie w takim układzie triumfować. Koniecznym wydaje się także ustanowienie pewnego rodzaju *consensus*’u pomiędzy głównymi ugrupowaniami politycznymi, dotyczącymi wyłączenia polityki ekologicznej z logiki „podziału wyborczych łupów” i zgoda na zabezpieczenie państwowej instytucjonalnej kontroli ochrony przyrody. Niezbędne wydaje się także zapewnienie niezależności urzędników zajmujących się realizacją polityki ekologicznej poprzez zabezpieczenie odpowiednim statutem prawnym i przyzwoite wynagrodzenie. Z wielu względów pożądanym byłoby także pełne realizowanie założeń polityki Wspólnoty Europejskiej, a zwłaszcza programu Natura 2000.

Piotr DASZKIEWICZ

WAWEL

PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA W NIEMCZECH ZACHODNICH

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne
oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.

Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30

Wywiady „Kultury”

O sytuacji nauki w Polsce

ROZMOWA Z PROF. HENRYKIEM
SAMSONOWICZEM

Henryk RATAJCZAK: – Jestem Panu Profesorowi bardzo wdzięczny, że zgodził się Pan udzielić mi wywiadu na temat sytuacji nauki w Polsce, tym bardziej, że należy Pan do grona osób bardzo kompetentnych. Z jednej strony, od wielu lat brał Pan udział w pracach demokratycznej opozycji, mającej na celu przeprowadzenie głębokich reform zarządzania nauką w Polsce, a po roku 1989 był Pan pierwszym ministrem edukacji narodowej. W latach 1991-1997 był Pan członkiem Komitetu Badań Naukowych, pełniąc w nim wiele odpowiedzialnych funkcji, m.in. był Pan wiceprzewodniczącym KBN, przewodniczącym Komisji Badań Podstawowych i przewodniczącym Zespołu Nauk Humanistycznych. Można więc powiedzieć, że ma Pan niemal „absolutną” wiedzę na temat nauki w Polsce. Proszę mi powiedzieć, czy system zarządzania nauką w Polsce, opracowany przez opozycję demokratyczną a stworzony dla funkcjonowania nauki w systemie rządów totalitarnych, sprawdza się w ustroju demokratycznym? Nie znam bowiem żadnego innego kraju, z wyjątkiem Polski, w którym rząd i parlament przekazałyby środki finansowe i prawo podejmowania ważnych decyzji wybranym przedstawicielom środowiska naukowego. Ciągłe słyszy się opinię, zwłaszcza ze strony Polskiej Akademii Nauk, że nie ma w Polsce polityki naukowej państwa. Czy rzeczywiście jest jej brak? A jeśli jej nie ma, to kto powinien ją prowadzić?

Henryk SAMSONOWICZ: – Co oznacza określenie „polityka naukowa państwa”? Sądzę, że dotyczy trzech zagadnień: działalności ustawodawczej określającej struktury organizacyjne nauki finansowane przez budżet, ustalania wysokości środków przeznaczanych na szeroko pojęte (a więc także związane z przygotowaniem kadr) badania naukowe, wreszcie – systemu zapewniającego skuteczny podział funduszy przeznaczonych na badania. To trzecie zagadnienie wiąże się ze stworzeniem mechanizmów pozwalających na określenie tych kierunków badań, których uprawianie powinno być przedmiotem szczególnej opieki, sprawowanej przez władze państwowe. Jeśli przyjmujemy powyższe założenia, to musimy stwierdzić, że istnieje „polityka naukowa państwa”. Można mieć jedynie wątpliwości, czy jest realizowana w sposób prawidłowy, tzn. korzystny z punktu widzenia i badań naukowych i potrzeb społecznych.

Odpowiedź na nie musi być zróżnicowana. W Polsce istnieją, jak wiadomo, trzy piony organizacyjne: szkoły wyższe, Polska Akademia Nauk i tzw. Jednostki Badawczo-Rozwojowe, czyli placówki działające na potrzeby państwowych resortów. Nie sądzą, by istnienie ich było błędnym rozwiązaniem. O potrzebie finansowania badań w szkołach wyższych nie trzeba chyba przekonywać. Doświadczenia wielu państw (także Polski) potwierdzają potrzebę istnienia placówek prowadzących badania kompleksowe. Specjalistyczne, usługowe jednostki badawcze istnieją na całym świecie; nie do pomyślenia są nowoczesne wielkie zakłady przemysłowe bez własnych laboratoriów. Zatem nie odrębności tych trzech pionów budzą wątpliwości, lecz inne względy. Należą do nich źródła ich finansowania, brak jednolitej ustawy, która jednoznacznie określałaby podstawy działania jednostek badawczych, ujednoliciła stopnie naukowe i, co szczególnie ważne, wprowadzała możliwość przepływu kadr między poszczególnymi pionami nauki. Obecne ustawodawstwo jest wynikiem działań pochodzących z różnych okresów ustrojowych i tym samym zawiera przepisy wzajemnie do siebie nie przystosowane. Przykład pierwszy z brzegu: na jakim stanowisku w szkole wyższej może być zatrudniony docent Polskiej Akademii Nauk?

Ważniejsze jeszcze wydają się sprawy dotyczące polityki finansowania nauki. Czy budżet państwa może zaspokoić

wszystkie potrzeby badawcze? Nigdzie na świecie nie jest to możliwe. Ale w krajach rozwiniętych, zgodnie z zasadą *id fecit cui prodest* czyli „działa ten, który z działań korzysta”, większa część środków uzyskiwanych na prace naukowe pochodzi spoza środków państwowych. Płacą zainteresowane wynikami badań wielkie firmy, płacą ci, którzy chcą zdobyć wiedzę w wyższych uczelniach, ci, którzy chcą mieć wykwalifikowaną kadrę, np. władze samorządowe. W naszym kraju, wbrew codziennej rzeczywistości, istnieje np. fikcja bezpłatnej nauki w szkołach wyższych, podczas gdy są uczelnie, w których ok. 80% słuchaczy płaci za zdobywaną wiedzę. Paradoxem jest, że przemysł państwowy korzysta ze skromnego budżetu nauki, mimo że powinno być odwrotnie! Co więcej – można odnieść wrażenie, że działają placówki naukowe, nazwałbym je „życzeniowymi”, bez właściwego zaplecza warsztatowego, niezbędnych środków i bez odpowiednio przygotowanej kadry. W zakresie finansowania nauki zatem brak jest, jak sądzą, jasno sprecyzowanych zasad, które, dodajmy, nie byłyby uzależnione od doraźnych fluktuacji politycznych, propagandowych czy właśnie „życzeniowych”. Oczywiście – muszą być też zapewniane odpowiednio wysokie środki budżetowe, jeśli państwo chce prowadzić skuteczną politykę w tym zakresie. Na razie tych środków brak.

Lepiej, jak sądzą, można ocenić politykę naukową od strony zabezpieczenia potrzeb wszystkich tzw. nauk podstawowych. We współczesnej cywilizacji potrzebne są badania bardzo szerokie, nad światem, człowiekiem, jego różnorodną działalnością. W zakresie finansowania badań różnice – niekiedy bardzo znaczne – powinny dotyczyć tylko wysokości niezbędnych dotacji. Natomiast ze względu na odmienne warsztaty badań i konieczność zaspokojenia wielorakich potrzeb materialnych i duchowych człowieka, nie można zrezygnować z pielęgnowania jakiejkolwiek dyscypliny naukowej. O ich potrzebach wie najlepiej samo środowisko uczonych i sądzą, że słusznie podział pieniędzy dokonywany jest przez Komitet Badań Naukowych, (w którym licznie przeważają osoby wybierane ze środowiska uczelni). Jest jednak sprawą oczywistą, że niektóre dziedziny wiedzy powinny być możliwie szybko i skutecznie rozwijane. Nie ma tu wątpliwości, że postulaty w tej sprawie powinny być także, może nawet przede wszystkim, formułowane przez rząd. Ale

co za tym idzie, rząd też powinien zabezpieczać odpowiednie środki, zdając sobie sprawę z dwóch rzeczy: nie możemy zamykać możliwości prowadzenia innych badań, nie może też liczyć na szybkie i skuteczne wyniki. Niekiedy trzeba wielu lat, by wykształcić kadrę uczonych i przeprowadzić niezbędne badania. W zakresie jednak kształcenia kadr nie widzę właściwej polityki naukowej. Stan zapaści finansowej w nauce już doprowadził do powstania luki pokoleniowej.

H.R.: – *Jakie są więc zalety i wady obecnego systemu finansowania badań naukowych?*

H.S.: – Zaletą obecnego systemu finansowania badań naukowych jest udział środowiska naukowego w dystrybucji środków państwowych. Tylko ono może ocenić wartość zgłaszanych projektów badawczych (grantów), podobnie jak i ocenić jakość wykonywanej pracy. Ta druga jednak działalność nie jest chyba najlepiej realizowana. W przypadku grantów indywidualnych utarł się zwyczaj, że ich wyniki rzutują (czy powinny rzutować) na szanse uzyskania środków na kolejny projekt tego samego autora. W przypadku grantów zamawianych, a także celowych, kontrola wykonania jest – moim zdaniem – nie zawsze wystarczająca. Do wad systemu finansowania należy także sposób kwalifikowania zgłaszanej przez projektodawcę kwoty. Jestem przekonany, że niejednokrotnie jest ona bezzasadnie zawyżona lub równie bezzasadnie obniżona.

Wreszcie poważnym brakiem jest sposób finansowania poszczególnych dyscyplin. Wszyscy są zgodni co do tego, że powinny być brane pod uwagę równe płace na poszczególnych stanowiskach kadr naukowych, wskaźnik jakości (obecnie zalicza się jednostki do jednej z trzech „grup jakości”) i wskaźnik kosztochłonności. Ten ostatni jest przedmiotem stałych sporów. Wiadomo, że badania eksperymentalne muszą kosztować znacznie więcej niż np. badania humanistyczne. Ale ile razy więcej należy na nie przeznaczyć, stanowi problem dotychczas nie rozwiązany w sposób przekonujący.

H.R.: – *Czy środki finansowe przeznaczone na badania naukowe są wystarczające? Jakże są źródła finansowania nauki w Polsce?*

H.S.: – Nie mam żadnych wątpliwości, że środki finansowe przeznaczone na badania naukowe są wysoce nie wystarczające. Wbrew wielu obietnicom wynoszą one obecnie ok. 0,5% Produktu Narodowego Brutto. Nie chcę demagogicznie przypominać, że „tygrysy Azji” – Tajwan, Korea Południowa, przeznaczają na badania do 15% PNB. Niemniej wkład w naukę stanowi jedyną na pewno opłacalną inwestycję, bez dokonania której nie ma mowy o skutecznych reformach w jakiegokolwiek dziedzinie życia. W krajach rozwiniętych istnieją różne źródła finansowania nauki, przede wszystkim zasilane przez wielki przemysł. W Polsce ta sprawa jeszcze – miejmy nadzieję, że jeszcze – nie została rozwiązana podobnie. Jak wspomniałem, przemysł u nas stara się korzystać z budżetu nauki. Wiąże się to z pytaniem, czy należy utrzymywać podział na tzw. badania podstawowe i badania stosowane tak samo finansowane przez państwo. W swoim czasie, podczas obrad „okrągłego stołu”, opozycja demokratyczna wysuwała taki właśnie postulat, który, jak sądzę, okazał się nietrafny. Wydaje mi się, że powstał on na bazie fałszywego założenia, że nauka może być finansowana tylko z budżetu państwa. W rzeczywistości to właśnie przemysł winienłożyć na badania wdrożeniowe.

H.R.: – *W krajach rozwiniętych prowadzona jest elastyczna polityka państwa, oparta z jednej strony na przekazaniu uczonym (głównie szkołom wyższym) stosunkowo dużej swobody w podejmowaniu tematów badawczych, z drugiej zaś strony wprowadzone są priorytety badawcze, czy nawet centralne programy, które podporządkowane są rozwojowi pewnych działów gospodarki narodowej lub polityce badań wyprzedzających. O ile wiem, to w Polsce nie prowadzi się podobnej polityki naukowej. Dlaczego?*

H.S.: – W Polsce szkoły wyższe mają dużą swobodę w podejmowaniu tematów badawczych. Jeśli nie w pełni z tej swobody korzystają, to dlatego że wysokość płacy pracow-

ników nauki zmusza ich do podejmowania różnych innych obowiązków ze szkodą dla podstawowych zajęć. Priorytety na wniosek KBN ustalane są na szczeblu rządowym. Mają jednak one w znacznym stopniu charakter deklaracji, formułowanych intencji, za którymi nie idą potrzebne środki finansowe. Teoretycznie priorytety powinny być realizowane poprzez projekty celowe lub zamawiane. Myślę, że mimo wielu usterek lub wypaczeń w tych projektach, są one stopniowo ulepszane i w przyszłości będą stanowić skuteczny instrument w realizacji ważnych potrzeb naukowych.

H.R.: – *Jakie kierunki badań zostały uznane za priorytetowe?*

H.S.: – Do badań priorytetowych zaliczane są te prowadzone przez nauki medyczne, rolnicze, niektóre gałęzie fizyki i chemii. Może dodać trzeba, że brakuje tu rządowego programu badań, który umożliwiłby szybszą i lepszą integrację cywilizacyjną z krajami rozwiniętymi, szczególnie z Unią Europejską, programu prowadzonego w ramach prawa, ekonomii, socjologii, pedagogiki.

H.R.: – *Jaki jest stan humanistyki w Polsce? Myślę oczywiście o jej poziomie naukowym i roli edukacyjnej.*

H.S.: – Trudno jest ocenić miejsce nauk humanistycznych w skali międzynarodowej. Nie jestem jednak tu pesymistą biorąc pod uwagę i współpracę z kolegami z innych krajów i udział polskich uczonych we władzach różnych międzynarodowych instytucji. Do szerokiej współpracy zapraszani są archeolodzy, socjologowie, historycy, językoznawcy, ci wszyscy, którzy zajmują się problemami interesującymi społeczność międzynarodową. Na pewno wysoki poziom reprezentują również uczeni z innych dyscyplin. Prestiżowe nagrody Fundacji na Rzecz Nauki Polskiej otrzymywali dotychczas: historycy, dwóch historyków sztuki, historyk literatury. Ze szkodą społeczną obniżyła się edukacyjna ranga humanistyki w systemie komunistycznym. Wiązało się to z jej instrumentalnym traktowaniem, z implikacjami politycznymi. Mam

nadzieję, że obecnie ten niekorzystny stan rzeczy zmieni się, acz nie wierzę, by mogło to nastąpić szybko i bez różnych kłopotów.

H.R.: – *Jaka jest rola nauk humanistycznych i społecznych w kształtowaniu świadomości Polaków zdolnych do budowy nowoczesnego społeczeństwa w oparciu o pracę i silną konkurencję?*

H.S.: – Kształtowanie nowoczesnego społeczeństwa musi – jak sądzę – uwzględniać różne warunki, do których należy uznawanie wartości prawa, zaspakajanie naturalnej potrzeby poznawczej prawdy, piękna, dobra. Musi być też brana pod uwagę potrzeba kształtowania poczucia tożsamości grupowej – i tej węższej, narodowej, państwowej, i tej szerszej ideologicznej, ogólnoludzkiej. Sądzić też można, że nauki humanistyczne pozwalają na poznawanie sposobu myślenia odmiennego nieco od stosowanego w naukach ścisłych czy eksperymentalnych; myślenia w kategoriach zmienności historycznej, tolerancyjnego i opartego na wszechstronnej wiedzy o człowieku. Stanowią zatem ważną część wykształcenia nowoczesnego społeczeństwa.

H.R.: – *Czy uzasadniona jest potrzeba istnienia naukowych instytutów w Polskiej Akademii Nauk do prowadzenia badań humanistycznych, społecznych, prawniczych, etc.? Wydaje mi się, że byłyby one bardziej przydatne na uniwersytetach.*

H.S.: – Sądzę, że istnieją obecnie dwie przyczyny powodujące potrzebę istnienia humanistycznych instytutów naukowych w Polskiej Akademii Nauk. Pierwsza wiąże się z działaniami, które wymagają szczególnie dużej koncentracji kadry i środków. Tak np. Katalog Zabytków Sztuki, Polski Słownik Biograficzny, Słownik Języka Polskiego, Atlas Historyczny – by poprzestać tylko na przykładach – stanowią fundamentalne wydawnictwa, których realizacja jest łatwiejsza i skuteczniejsza w wyspecjalizowanych instytutach naukowych. Niektóre szeroko zakrojone badania archeologiczne też praktycz-

niej prowadzić w oparciu o kadrę pracowników Akademii, chociażby ze względu na dłuższe prace wykopaliskowe. Być może w dalszej przyszłości bogate uczelnie wyższe nie będą musiały liczyć się z różnymi przepisami tyczącymi np. pensum dydaktycznego i stworzą zespoły naukowe podejmujące najszerszą tematykę badań; obecnie byłoby to bardzo trudne do zrealizowania. Z tą przyczyną wiąże się też problem dokumentacji zbiorów archiwalnych, bibliotecznych, fotograficznych, gromadzonych, opracowywanych i udostępnianych przez odpowiednie kadry instytutów, podobnie jak problem centralnej informacji naukowej, którą najłatwiej zorganizować w wyspecjalizowanych placówkach badawczych. Druga przyczyna wiąże się z korzyścią płynącą z zatrudniania pracowników nauki, niekiedy bardzo wybitnych, których predyspozycje psychiczne nie ułatwiają zajęć dydaktycznych.

Na szczęście nie istnieje już przyczyna trzecia – instytuty PAN nie muszą już być przechowalnią dla ludzi niewygodnych dla władzy. Dodać jednak warto, że wymiana kadr, współpraca z jednostkami szkół wyższych już dziś – przynajmniej w niektórych środowiskach – burzy niepotrzebną granicę między „uczonymi” i „nauczycielami”.

H.R.: – *Jakie miejsce na mapie naukowej Polski zajmują Polska Akademia Nauk i Polska Akademia Umiejętności?*

H.S.: – Instytucje te różnią się formą działania, strukturą i – co też jest istotne – tradycją. Polska Akademia Nauk działa w oparciu o ustawę sejmową. Stanowi samorządną korporację posiadającą osobowość prawną i rozległą sieć instytutów i placówek badawczych. Są one, obok uczelni i jednostek resortowych, jednym z trzech pionów nauki finansowanych głównie przez państwo. Ponadto członkowie PAN mają z budżetu także dodatkowe uposażenie.

PAN powstał w niedobrym dla Polski czasie początków lat 50-tych i przez wielu uczonych był kontestowany jako przykład sowietyzacji nauki. Niezależnie od wielu grzechów popełnianych w ciągu blisko półwiecza działalności, stworzył potężną sieć placówek prowadzących badania podstawowe. Po ostatnich zmianach ustawowych stał się samorządną korporacją uczonych, w gestii której znajdują się różne instytuty

na obszarze całego kraju. Można oczywiście mieć wobec PAN-u rozmaite uwagi krytyczne, ale trzeba stwierdzić, że według rankingu przeprowadzonego przez Komitet Badań Naukowych większość wchodzących w jego skład instytutów, pod względem poziomu naukowego została zaliczona do najwyższej kategorii.

Polska Akademia Umiejętności powstała w epoce, w której życie naukowe było animowane działaniami społecznymi. W czasach komunizmu działalność PAU została przerywana, nauka uległa „upaństwowieniu”. Odtworzenie Akademii po 1989 roku było efektem starań zaledwie sześciu żyjących jej członków, którzy w środowisku krakowskim stworzyli obecnie największe towarzystwo naukowe, działające w oparciu o aktywność społeczną. Szerokie badania wymagają środków finansowych, zaplecza warsztatowego, lokali laboratoryjnych i bibliotecznych. Oparte są w znacznej mierze o współpracę międzynarodową wyspecjalizowanych instytutów. Społeczny ruch naukowy w obecnej Polsce nie jest w stanie prowadzić takich działań. Widać to wyraźnie na przykładzie wielu specjalistycznych towarzystw naukowych, bardzo zasłużonych w przeszłości, które obecnie szukają swego miejsca na mapie nauki w Polsce. Co prawda wielokierunkowe towarzystwa mogą stanowić pole wzajemnych kontaktów przedstawicieli różnych dyscyplin, tworzyć warsztaty pracy uczonych (biblioteki, wydawnictwa). Mogą też firmować zespoły ubiegające się o finanse potrzebne do realizacji projektu badawczego (granty); wszystkie te działania łatwiej przeprowadzić w ramach instytutów badawczych. Towarzystwa społeczne działają głównie w zakresie miejscowego środowiska naukowego. PAU – niezależnie od licznych członków powołanych z różnych stron świata – jest oparty o silny ośrodek krakowski. Trzeba stwierdzić, że aktywność odczytowa, wydawnicza, biblioteczna jest znacząca, co oznacza, że Akademia jest potrzebna dla środowiska. Zajmuje też ona w gronie społecznych Towarzystw miejsce szczególne, mimo że inne środowiska – warszawskie (Towarzystwo Naukowe Warszawskie), poznańskie (Poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk), toruńskie (Towarzystwo Naukowe w Toruniu), gdańskie (Gdańskie Towarzystwo Naukowe), wrocławskie (Wrocławskie Towarzystwo Naukowe) też mają zasięg ogólnopolski. Przyszłość ich – uzależniona od aktywności poszcze-

gólnych środowisk – zapewne stanie się bardziej określona wraz z rozwojem gospodarczym Polski. Tego typu towarzystwa działają przecież efektywnie w wielu rozwiniętych krajach całego świata.

Niemniej, jak się wydaje, istnieje pytanie, czy poza popularyzacją wiedzy, edukacją społeczną i zaspokajaniem potrzeb środowisk regionalnych, tego typu towarzystwa w dalszej przyszłości znajdują się na naukowej mapie Polski.

H.R.: – *Czy zgadza się Pan z potoczną opinią, że mapa naukowa Polski podzielona jest na dwa obszary: Warszawa i prowincja. I oczywiście o wiele łatwiej jest uzyskać środki finansowe (granty, inwestycje) pracując w Warszawie?*

H.S.: – Nie wydaje mi się, by opinia o dwóch obszarach nauki w Polsce była słuszna. Nie mogę wypowiadać się na temat wszystkich dyscyplin, choć trudno przyjąć tezę, że astronomia w Polsce liczy się bez ośrodka toruńskiego, fizyka bez krakowskiego, czy nauki rolnicze bez środowiska lubelskiego; w humanistyce na pewno tak nie jest. Nie czuję się kompetentny w licznych dziedzinach, ale sądzę, że krakowskie językoznawstwo, wrocławskie literaturoznawstwo, poznańska psychologia – nie mówiąc już o mapie naukowej nauk prawnych, ekonomicznych czy archeologii, na taki stan rzeczy nie wskazuje. Na pewno wiem, że mediewistyka w Polsce zajmuje dobre miejsce w Europie dzięki badaczom nie tylko z Warszawy lecz także z Torunia, Poznania, czy Krakowa. Środowisko warszawskie jest najliczniejsze; czy jednak odsetek wybitnych uczonych jest w nim większy niż w innych miastach? Tego nie byłbym pewien.

H. R.: – *Bardzo Panu Profesorowi dziękuję za interesującą rozmowę.*

Rozmowę przeprowadził Henryk RATAJCZAK

Henryk Samsonowicz jest profesorem na Uniwersytecie Warszawskim, członkiem korespondentem PAN.

Henryk Ratajczak jest profesorem na Uniwersytecie Wrocławskim, członkiem rzeczywistym PAN, obecnie pełni funkcję dyrektora Stacji Naukowej PAN w Paryżu.

Sprawy i troski

Kraszewski ciągle aktualny

Doktor Wołodimir Wasylenko od lat prowadzi poszukiwania w archiwach ukraińskich nieznanych dotąd materiałów dotyczących życia i twórczości polskich literatów związanych z Ukrainą. Znalezione przez niego *inedita* dotyczą J.B. Zaleskiego, T.A. Olizarowskiego, M. Czajkowskiego „Sadyka Paszy”, W. Pola, J.I. Kraszewskiego, B. Leśmiana i L. Staffa. Rezultaty swych badań przedstawił w książce pt. „Ukraińskim tropem polskich pisarzy XIX i XX w.” bardzo starannie wydanej przez poznańskie Wydawnictwo Fundacji Literackiej.

Niezmiernie interesująca jest korespondencja (ogromna) J.I. Kraszewskiego, który na ziemiach ukraińskich spędził ponad 20 lat, aż do przymusowego wyjazdu do Drezna. Niektóre z tych listów są zdumiewająco aktualne tak np. list do W. Pola z 17 czerwca 1867 r. na temat stanu oświaty w Galicji. Podajemy jego fragment:

„W czym leży przyczyna tej bezsilności? Powiedziałbym za Wami i z Wami, w braku oświaty lub w złym jej, jeśli się tak wyrazić godzi – gatunku (...). Oświaty a oświaty silnej, zdrowej, posilnej – takiej, jaką mają nawet protestanckie Prusy, potrzeba Galicji; (potrzeba szkół narodowych, do wymagań kraju zastosowanych, szkółek dla ludu, uniwersytetów żywych nie zabalsamowanych, iskry, co by umysły zapaliła do pracy, tego, o co na łożu śmierci wołał Goethe – Światła! Więcej światła!

Z danym Wam od Boga jasnowidzeniem napisaliście: potrzeba Kuratora, Opiekuna, a nie Komitetu, nie Rady, nie

Kancelarii i Biura, w których by wszystko utknęło. Pozwólcie, bym tej trafności sądu Waszego oddając cześć należną – powiedział słówko o tych komitetach, radach, biurach itp. Gdzie tylko idzie o to, aby pozornie się coś robiło a w rzeczy nie było skutku, ustanawia się Komitet, Komitet z Łona swego wysyła delegację, delegacja dzieli się na sekcje i... poczyną się owo niepróżnujące próżnowanie, sesje, rozprawy, warzenie wody, niezmierne straty czasu, śmieszne popisy z wymowy, potem drażniące spory... Ostatecznie jest to hamulec, który wozowi toczyć się nie daje.

...Alma Mater w smutnym stanie, młodzież ponura, bez ochoty do nauki, bez młodzieńczego zapału, zużyta nim życie zaczęła, zobojętniała na wszystko...

Słyszałem Was utyskujących na ten nieszczęsny stan umysłów i serc młodzieży... ale być-że może inaczej, gdy uniwersytety i szkoły, (które były duchowymi rodzinami, w której nauczyciele mieli rodzicielską miłość i powagę, dziś, jak same rodziny) stały się zimnymi stowarzyszeniami jakimiś... Bez miłości nic się nie dzieje, nic się nie klei, nic nie tworzy – społeczność też, u której ogniska zgasła miłość rodziny, w której szkołach suche są formy przez suchych ludzi podawane, musi wydawać zasuszonych mędrków i fachowe machinki (...) (arch. Lwowa).

Problem z generacją

W numerach 9 i 10 (1997) *Kultury* ukazało się omówienie ankiety, jaką przeprowadzono wśród polskiej młodzieży szkół ponadpodstawowych. Wyniki tej ankiety – niezwykle ciekawe, choć bardzo nieprzyjemne dla polskich polityków i związanych z nimi publicystów – przedstawiły w *Kulturze* dwie osoby, należące do dwóch różnych pokoleń. Zdziwiło mnie jednak, że jedna z tych osób: pani Samanta Stecko

została przedstawiona jako „studentka, generacja X”. Wytłumaczyłem to sobie, iż najwidoczniej chodzi o drugie studia pani Stecko lub o jej studium doktoranckie. Jednakże w weekendowym dodatku *Rzeczpospolitej* – „Plus-Minus” z 18/19 października 1997 przeczytałem omówienie jubileuszowego numeru *Kultury* i kilka zdań tego tekstu wprawiło mnie w zdumienie. Otóż jego autor, Krzysztof Masłoń zauważył, że w sześćsetnym numerze *Kultury* Tomasz Jastrun „odkrywa ‘Generację X’”, wcześniej zapowiadając ją wielokrotnie” i że „ta Generacja X kształci się ponoć w stołecznych liceach (...)”.

Aczkolwiek cenię wysoko nie tylko publicystykę, ale i wynalazczość Tomasza Jastruna, to nie sądzę, aby mógł on odkryć coś, co już znacznie wcześniej kto inny opisał – mianowicie kanadyjski pisarz, Douglas Coupland w swojej debiutanckiej powieści. To od jej tytułu pochodzi sam termin „generacja X”, nad której istnieniem i cechami toczono później na Zachodzie długie debaty. O ile zresztą wiem, Tomasz Jastrun do „odkrycia” generacji X nigdy nie pretendował. Ponieważ przyjmuje się, że generację X stanowią ludzie urodzeni w latach 1961-1970, więc z oczywistych względów mogą oni w polskich szkołach dziennych najwyżej nauczać, a nie nauki pobierać. W dodatku obraz świetnej polskiej młodzieży, wyłaniający się z ankiety *Kultury*, dość odbiega od cech, jakie generacji X przypisano.

Mówiąc w skrócie, generacja X – zwana też pokoleniem ironistów – to ludzie ujmujący rzeczywistość w cudzysłów. Ich ulubione repliki to cytaty z zapomnianych filmów i *TV-shows*. Ich sceptycyzm wobec wszelkich autorytetów ma charakter wręcz organiczny, a z przymrużeniem oka traktują nawet własne porażki. Nie jest to jeszcze – w przeciwieństwie do dzisiejszej młodzieży – pokolenie komputerowe, ale telewizyjne, które przed małym ekranem spędzało bardzo wiele czasu, w „Beavis and Butthead” widząc swoje odbicie. Z pełną przekorą lubią *camp* i *kitsch*, a ze zwodniczą powagą potrafią powiedzieć, że serial „Dynasty” był najważniejszym wydarzeniem lat 80-tych. Nazwano ich także pokoleniem cichego buntu, gdyż trudno było ich zobaczyć na jakiegokolwiek demonstracji i pod jakimkolwiek sztandarem. Nie wierzę, aby mogli mieć wpływ na cokolwiek i trudno im się dziwić.

Temu wszak pokoleniu obiecywano przysłówiowe złote góry i bezproblemowy raj „końca historii”, a zrealizowano brutalny demontaż tego, co Anglosasi nazywają *welfare state*, a Niemcy – *Sozialstaat*. Generacja X sądziła, że ich problemem będzie nadmiar wolnego czasu, a stał się nim ciągły lęk przed deklasacją. To im rysuje się obraz społeczeństwa 1:5, gdzie owych pięciu to *surplus people* czy w najlepszym razie nieszczęśnicy, jakich amerykańska socjologia nazywa *the working poor*, a więc ci, dla których nawet otrzymanie pełnoetatowej pracy oznacza tylko mniejszą biedę.

Pokolenie X wie, że większość z nich nigdy nie osiągnie standardu życia swoich rodziców. Gdy na ich oczach przysła bańka spekulacji nieruchomości, banki – które jeszcze niedawno wręcz narzucały się ich rodzicom z wysokimi pożyczkami – nagle zamknęły kasy, a niektóre musiały prosić o pomoc państwowych gwarancji. Oni – wchodząc w wiek dojrzały widzieli, jak padał brytyjski funt, szwedzka korona, francuski frank etc., gdy okazało się, że międzynarodowi spekulanci silniejsi są od banków centralnych. Oni patrzyli ze zdumieniem, gdy największe mocarstwo świata też zaczęło konkurować taną siłą roboczą. Oni są pierwszym powojennym pokoleniem Zachodu, któremu wykształcenie nie zapewnia automatycznie dobrej i stałej pracy, gdyż powoli zaczyna dominować typ *just-in-time*-zatrudnienia. Oni słuchali utytułowanych ekonomistów, tłumaczących konieczność dorywczego wynajmowania personelu, oszczędności i redukcji zatrudnienia przy pomocy pojęć zaczerpniętych z parazytologii: w nowoczesnej gospodarce państwo ma wobec *business'u* pełnić rolę żywiciela – jak człowiek wobec tasiemca. Niedawno 30-letniej, wykształconej Szwedce wyrwało się w rozmowie z dziennikarzem to, co niewątpliwie nurtuje większość pokolenia X: – Dawniej bezrobotnymi byli cudzoziemcy, alkoholicy czy inne przypadki socjalne, dziś są to ludzie z naszych kręgów, często szkolni koledzy.

Dla mnie najlepszym przykładem postawy generacji X jest młody inżynier szwedzki, który kosztem ograniczania konsumpcji wpłaca co miesiąc sporą sumę na prywatny fundusz emerytalny, bo przecież państwu nie można wierzyć: składki, które pracodawca odciąga mu z poborów mogą być łatwo zdefraudowane. W pokoleniu jego rodziców ktoś tak

postępujący i rozumujący uznany byłby za przypadek psychiatryczny.

Istnieją pewne, niewielkie zresztą, podobieństwa między generacją X a młodszym pokoleniem, którego próbę prezentacji podjęła para Stecko-Jastrun. Najważniejszym z nich jest odraza czy wręcz pogarda okazywana politykom. Warto tu zresztą pamiętać o zupełnie różnej roli zachodniej i polskiej prasy. Skoro zachodni klient-czytelnik życzy sobie, aby politykom dokładnie patrzeć na ręce, a w razie najmniejszego wykroczenia spuszczać dotkliwie baty, to prasa będzie się starać o dostarczenie takiego właśnie „towaru”. Im więcej zaś polityków karierę swoją po napiętnowaniu przez prasę zakończy, tym mocniej utrwali się pogląd czytelników, że polityczne elity to w gruncie rzeczy zgraja obwiesiów i malwersantów, z których jednak część źle kończy. Natomiast w Polsce opis brzydkich czynów polityka nie owocuje dla niego żadnymi bezpośrednimi dolegliwościami, co w świadomości społecznej daje efekt znacznie gorszy niż na Zachodzie: przekonanie, że politycy to nie tylko zbiór łotrów, ale jeszcze w dodatku bezkarnych.

Jednak między pokoleniem zachodnich 30-latków a młodzieżą opisaną w *Kulturze* zachodzą tak wielkie różnice, iż określanie tej ostatniej mianem generacji X jest chyba nieporozumieniem. Z cytowanych wypowiedzi wynika, że młodzież polska wcale nie ujmuje rzeczywistości w ironiczny cudzysłów, że chce w coś wierzyć, szuka ideałów, oburza ją nietolerancja, chce inwestować w siebie, nawet wymaga czegoś od Kościoła, co u generacji X wywołać by tylko mogło uśmiech szczególnie drwiący. Młodzież z ankiety *Kultury*, co słusznie podkreśla Samanta Stecko, jest w pewnym sensie poza historią; generacja X, której obiecywano „koniec historii”, dostała od niej solidne cięgi. Ponadto opisywana młodzież polska wierzy, iż będzie jej się lepiej żyło niż rodzicom; generacja X po prostu widzi, że jej standard życia jest niższy niż rodziców.

Polska młodzież różni się też od swoich zachodnich rówieśników – których umownie nazwano już generacją Y – ale przede wszystkim różni się od starszego pokolenia X; różni tak dalece, że gdyby nawet publicyści używali terminu „polska generacja X” (ostatecznie zawsze można się powołać na

provincialne zapóźnienie), to i tak poprawność tego określenia stałaby pod znakiem zapytania. Nawiasem mówiąc, nie jestem zwolennikiem ani uprzymiotnikowania konkretnych terminów (większość czytelników pamięta chociażby „demokrację socjalistyczną”), ani ich przenoszenia w kulturowej czasoprzestrzeni. Dość zabawne jest nazywanie w Polsce młodych *businessmen*’ów słowem *yuppies*, gdyż dziś to już tylko trup galwanizowany. Aczkolwiek niektórzy żywi *yuppies* przetrwali, znajdując azyl zwłaszcza w pewnych *hedge funds*, to *young urban professional* jako specyficzny fenomen szalonych lat 80-tych – zmarł mniej więcej na rok przed ukazaniem się głośnej książki B. E. Ellisa „American Psycho”, opisującej szczególnie patologiczną formę degeneracji tego indywiduum. Szkoda tylko, że przed swoją śmiercią *yuppie* zdążył stracić wiele naszych pieniędzy.

Podzielając opinię Tomasza Jastruna, że polska młodzież jest po prostu fajna, radzę określać ją innym terminem niż generacja X. W alfabecie łacińskim czy greckim liter przecież nie brakuje.

Stefan ABNER

POLNISCHE BUCHHANDLUNG

KSIĘGARNIA POLSKA

Burggasse 22, A-1070 Wien, Austria

Dojazd: 13A, 48A, 49, metro U2 i U3 stacja Volkstheater

Tel. i fax: (1) 52 63 114

Konta pocztowe

Frankfurt/M. 300340 605, Wien 7227.556

Książki w języku polskim, polonica w językach obcych.

Bezpłatne katalogi na żądanie.

Sąsiedzi

Walka wyborcza na Ukrainie

Jednak prezydent Kuczma ostatecznie nie poszedł na udry z parlamentem i zwlekając niechętnie podpisał nową ordynację wyborczą. Dla podkreślenia niezbyt ostatnio stabilnego autorytetu władzy prezydenckiej, zażądał od posłów uwzględnienia kilkunastu, w większości błahych poprawek, co też deputowani Werchownej Rady, nieomalże odwrotną pocztą – za wyjątkiem jedynej podstępnej uwagi w sprawie konieczności pięćdziesięcioprocentowej frekwencji wyborczej – zaakceptowali postulaty Kuczmy, by mu nie dać szansy do odwołania wyborów. Zgoda prezydenta na wybory stała się dla wielu niespodzianką, zwłaszcza dla tych, którzy od dawna z Kuczmą mają na pieńku. Pewnie oczekiwali z niecierpliwością na prezydenckie *veto*, aby nienawistnego im polityka móc skarżyć o ciągotki dyktatorskie, szarganie konstytucji, lekceważenie parlamentu. Kuczma im spłatał figla i pokrzyżował szyki.

Ale Kuczma nie byłby Kuczmą gdyby swoim adwersarzem nie wygarnął. W specjalnym orędiu do narodu, drugim od czasu zeszłorocznej uchwały konstytucji, zaatakował w gwałtowny sposób nieróbstwo i obskurantyzm Werchownej Rady, permanentny sabotaż nieodzownych reform, kręactwa i matactwa. Nie ukrywając swej odrazy wobec parlamentu, uwypuklił te zarzuty jeszcze raz wkrótce po orędiu, w przemówieniu na zjeździe związków zawodowych. Dawniej ich nie dostrzegał i teraz na skutek ogromnych trudności gospodarczych, bezrobocia, fatalnej polityki płac, stara się je przygarnąć do prezydenckiej piersi. Otóż przed związkowcami gromił on parlament za opieszałość, nieudolność i wręcz poli-

tyczną niedojrzałość w traktowaniu spraw publicznych. Wbrew poprzednim obawom, że nowa ordynacja wyborcza może doprowadzić do opłakanych skutków, tym razem wyraził nadzieję, że zmienione przepisy spowodują wyłonienie lepszego parlamentu.

Ustalenie metryki państwa

Niejednokrotnie w korespondencjach na temat współczesnej Ukrainy była mowa o trudnościach w ustalaniu genealogii państwa. Z dużym opóźnieniem obóz rządowy zdobył się na potwierdzenie swego powinowactwa politycznego. Nie zrobił tego prezydent Kuczma, który jako pragmatyk i technokrata unika wszelkiego teoretyzowania, lecz jego główny współpracownik w sprawach politycznych, wiceprzewodniczący zarządu administracji prezydenckiej, Wasyl Kremeń. Na tle dotychczasowych uników w zasadniczych kwestiach tożsamości państwowotwórczej, wypowiedź Krementia posiada walor podstawowy. Jądrzem całego wyводу dotyczącego skomplikowanych źródeł ideologicznych współczesnego państwa ukraińskiego jest jasne opowiadanie się po stronie Ukraińskiej Republiki Ludowej Szymona Petlury. Rzecznik prezydenta nie pozostawił żadnych wątpliwości w tej materii. Jest to na tle naporu sił neokomunistycznych i neonacjonalistycznych wypowiedź bardzo ważna. Świadczy o pozytywnej ewolucji wewnątrz obozu rządowego.

Niepokojącym zjawiskiem jest jednak nieomalże zupełne przemilczenie tej enuncjacji przez środowiska opozycyjne. Długoletnia „wojna na górze” przypominająca niedawny dualizm w postkomunistycznej Polsce wykopała tak głęboki rów pomiędzy prezydentem i rządem z jednej a parlamentem i ugrupowaniami politycznymi z drugiej strony, że nawet rozsądne i długofalowe poczynania obozu prezydenckiego stają się obiektami bojkotu. Mimo wszystkich różnic przypomina to przedwojenne stosunki pomiędzy Belwederem i Sejmem i niedawne konflikty z Wałęsą w Polsce i do pewnej miary nawet awantury Dumy moskiewskiej z Jelcynem. W porównaniach tych jest wiele odmienności wynikających z innych uwarunkowań historycznych, rozmaitej tradycji w kulturze

politycznej trzech narodów i oczywiście z bardzo odbiegających od siebie indywidualności Wałęsy, Jelcyna i Kuczmy. Mimo to, wspólnym mianownikiem są bardzo podobne do siebie elementy dążeń do samowładztwa na górze, nie zawsze wolnych od wschodniego chamstwa i wciąż jeszcze nieokiełznanego warcholstwa na dole.

Kuczma ma w gruncie rzeczy więcej kłopotów na głowie niż miał Wałęsa czy jego następca Kwaśniewski, a nawet Borys Jelcyn w Rosji. Wynika to z bardziej skomplikowanej historii Ukrainy, głównie z długiego okresu dawnych i późniejszych rozbiorów, które doprowadziły mimo niezaprzeczalnej dominującej ogólnopaństwowej spójni do wielu odchyłeń. Bardzo istotne są konflikty między Wschodem i Zachodem Ukrainy jeśli chodzi o okres drugiej wojny światowej, szczególnie pomiędzy weteranami Armii Czerwonej i powstańców oddziałów UPA. Podobnie ma się rzecz pomiędzy ukraińskimi komunistami i integralnymi nacjonalistami. Wzajemne przenikanie jest możliwe, o czym świadczy skład obecnego kierownictwa banderowskiego OUN na Ukrainie, składającego się w większości z byłych komsomolców. Milionowe straty żołnierzy ukraińskich w armii sowieckiej są oczywiście niewspółmierne z bardzo wysokimi ale ograniczonymi do zachodnich regionów Ukrainy stratami nacjonalistycznych powstańców. Sprawa jest tym bardziej kłopotliwa, ponieważ dotychczas nie doszło do możliwie obiektywnego rozjaśnienia ciemnych miejsc w historii ukraińskich komunistów i nacjonalistów.

Nowa ordynacja

Tak się złożyło, że dotychczas Ukraina była zaściankiem parlamentaryzmu. Skład Werchownej Rady przedstawiał nie jak w większości cywilizowanych krajów przekrój istniejących partii politycznych lecz zbiorowisko nieokreślonych programowo deputowanych, wyłonionych nie z łona stronnictw, lecz z kolektywów fabrycznych lub regionalnych, bez jasnego oblicza i ukierunkowania światopoglądowego. Taka sytuacja powstała na skutek osobliwej ordynacji wyborczej. Była ona mieszańką pomiędzy przepisami starych „wyborów” sowiec-

kich i pseudomodernizacji, umacniającej dowolne struktury i koncesje bez obowiązku i możliwości tworzenia normalnych większości i mniejszości parlamentarnych. Innymi słowy, ukraiński parlament stał się bezkształtną miazgą a wraz z tym terenem penetracji trudnych do programowej definicji prądów i tendencji. Wyjątek stanowiły skupiska Ruchu, partii komunistycznej, socjalistycznej, agrarnej i nacjonalistów spod znaku dawnych banderowców i nowych neofaszystów, spod znaku UNA Narodowej Samoobrony. Wszystko inne było i jest płynne i nieuchwytnie.

Ale głośny szkopał tego modelu-dziwolała polegał na tym, że w tego rodzaju skomponowanym parlamencie, nie można było utworzyć normalnej koalicji rządowej i oczywiście normalnej opozycji. Skutkiem tego był kompletny chaos, coś w rodzaju wschodniego bazaru, gdzie wszyscy krzyczą i nikt nie ponosi odpowiedzialności za jakość i za cenę ofiarowanych obiektów.

Pod pręgierzem opinii publicznej, a nawet własnej frustracji, na skutek krytyki wyborców, którzy z czasem pojęli, że głosowanie na określone osoby nie dało żadnej satysfakcji i faktu, że większość wyborców przestała się interesować polityką, powstała nowa ordynacja wyborcza, która nareszcie daje szanse partiom politycznym ustanowienia normalnego parlamentu. A ponieważ istnieje już ponad trzydzieści stronnictw, prawo wyborcze przeciwdziała zbyt niemu rozdrobnieniu w przyszłej Verchownej Radzie ustalając, że dla zgłoszenia uczestnictwa w wyborach każde stronnictwo musi zebrać uprzednio dwieście tysięcy podpisów. A do wejścia do parlamentu każda partia będzie musiała przeskoczyć czteroprocentową poprzeczkę. Zaczyna się walka wyborcza, która potrwa do wiosny. Wybory mają być przy końcu marca przyszłego roku.

Bohdan OSADCZUK

Polsko-ukraińskie spotkania

W dniach 4-5 listopada br. na Uniwersytecie Warszawskim odbyła się kolejna konferencja zorganizowana przez katedrę ukrainistyki Uniwersytetu Warszawskiego, Polskie Towarzystwo Ukrainoznawcze, Międzynarodową Asocjację Ukraińców i Naukowe Towarzystwo im. Tarasa Szewczenki. Tym razem tematem spotkania było „Polsko-ukraińskie kulturowe pogranicze”. W konferencji wzięło udział ponad dwudziestu naukowców z Polski i Ukrainy.

Tematem wystąpień były polsko-ukraińskie kontakty literackie, teatralne, naukowe, konfesyjne w XIX i XX wieku oraz stan dziedzictwa kulturowego na pograniczu polsko-ukraińskim.

Badacze zebrani na warszawskiej konferencji postanowili się skupić na tych aspektach życia społecznego Polaków i Ukraińców, które wbrew ciśnieniu polityki i historii stanowiły polsko-ukraińską przestrzeń wspólną lub przynajmniej przestrzeń gdzie dochodziło do twórczej wymiany między elitami obu narodów.

Literaturze była poświęcona prawie połowa konferencyjnych wystąpień. Na szczególną uwagę zasługują: wystąpienie prof. Stanisława Makowskiego, z jego bardzo interesującą analizą „Snu srebrnego Salomei” Juliusza Słowackiego i „Hajdamaków” Tarasa Szewczenki; dr hab. Mirosławy Oładkowskiej-Kuflowej, która w referacie „Huculska demonologia Stanisława Vincenza” pokazała jej antyczne, pogańskie i biblijne źródła. Dr Ludomiła Siryk omówiła ukraińskie motywy twórczości Józefa Łobodowskiego. Przy czym nie skoncentrowała się, jak to bywało dotychczas, tylko na poezji własnej autora „Złotej Hramoty” ale przywołała również jego dorobek krytycznoliteracki, publicystyczny i naprawdę imponujący translatorski. Iwona Szewczyk po raz pierwszy przybliżyła polskiemu odbiorcy twórczość, do niedawna ze względów politycznych również mało znaną i na samej Ukrainie, Oleny Telihi i Oleha Ołżycza.

Stosunkowo wszechstronnie przedstawiono polsko-ukraińską współpracę naukową pod koniec XIX i w pierwszej połowie XX wieku. Obok informacji dr Ihora Hyrycza o polskich korespondentach Mychajła Hruszewskiego (pomimo bardzo skomplikowanego, czasami wysoce niechętnego, stosunku Hruszewskiego do

Polski było ich prawie czterdziestu), znalazło się wystąpienie prof. Jarosława Serkiza o Ukraińcach – profesorach Uniwersytetu Warszawskiego w okresie międzywojennym. Robert Potocki przybliżył dorobek Ukraińskiego Instytutu Naukowego w Warszawie, placówki niezwykle zasłużonej dla rozwoju badań ukrajinoznawczych w II Rzeczypospolitej, której współtwórcami byli uczeni Ołeksander Łotoćkyj, Roman Smal-Stoćkyj czy Bohdan Łepkyj. Prof. Ołeh Romaniw przedstawił sylwetki dwunastu Polaków – członków rzeczywistych Towarzystwa Naukowego im. Tarasa Szewczenki. Byli wśród nich m.in. tacy koryfeusze polskiej nauki jak Aleksander Brückner, Jan Baudoin de Courtenay, Jan Łoś, Kazimierz Nitsch, Stanisław Szober czy Ludwik Kubala. O tym, że kontakty naukowe odbywały się ponad podziałami narodowymi i politycznymi świadczy fakt, że polscy uczeni stawali się członkami Towarzystwa Naukowego im. T. Szewczenki praktycznie przez okres całego dwudziestolecia międzywojennego, nawet wtedy kiedy polityczne stosunki polsko-ukraińskie wewnątrz państwa polskiego były bardzo napięte. Pomostem pomiędzy dawnymi a nowymi laty była prezentacja dorobku naukowego Południowo-Wschodniego Instytutu Naukowego z Przemysła autorstwa jego twórcy dr Stanisława Stępnia. Placówka ta powstała w 1990 roku. Instytut wydaje roczniki *Polska-Ukraina. 1000 lat sąsiedztwa*.

Na wzmiankę zasługuje wystąpienie Bohdana Martyniuka o architekturze cerkiewnej na pograniczu polsko-ukraińskim. Martyniuk jest jednym z najbardziej kompetentnych znawców tej problematyki.

Jednym z najciekawszych wystąpień na konferencji „Polsko-ukraińskie kulturowe pogranicze” był referat prof. Mirosławy Piepierzynskiej-Turek „Polski trop w ideologii Wjacesława Łypyńskiego”, w którym autorka zwróciła uwagę, że dla ukształtowania się ideologii Wjacesława Łypyńskiego obok ukraińskiego doświadczenia historycznego oraz zachodnioeuropejskiej myśli filozoficznej, socjologicznej i politycznej (G. Sorel, V. Pareto, R. Michels) kardynalne znaczenie miało „polskie państwowe doświadczenie historyczne, a przede wszystkim ukraińskie doświadczenie Dawnej Rzeczypospolitej, związane z faktem zamieszkiwania jej obszaru przez różne grupy etniczno-wyznaniowe. Z tego właśnie doświadczenia wyrosła wiążąca idea systemu jego poglądów – terytorializm”.

Bardzo też szkoda, że wbrew zapowiedzi nie było w pro-

gramie konferencji wystąpienia poświęconego *Biuletynowi Polsko-Ukraińskiemu*, bo była to inicjatywa niezwykle a jej znaczenie jeszcze dziś trudne jest do przecenienia. Miejmy nadzieję, że na następnej konferencji ukrajinistycznej na Uniwersytecie Warszawskim temat ten zostanie podjęty.

Bogumiła BERDYCHOWSKA

Kronika niemiecka

GOSPODARKA I SPRAWY SOCJALNE: Zdaniem Instytutu Gospodarki Niemieckiej 15% produktu narodowego brutto jest udziałem osób pracujących w Niemczech na czarno. ■ Obciążenie budżetu z powodu bezrobocia osiągnie w tym roku w Niemczech rekordową sumę 177 miliardów marek. ■ Ekspert ds. gospodarczych Heinrich Machowski z Niemieckiego Instytutu Badań Gospodarczych DIW stwierdził, że w Niemczech wschodnich powstaje najnowocześniejsza infrastruktura gospodarcza w całej Europie, natomiast może tam nie być przemysłu. Za przyczynę tego „niebezpiecznego fenomenu”, Machowski uznał polityczne, a nie ekonomiczne priorytety przy zjednoczeniu Niemiec, w tym przede wszystkim niemiecką unię walutową oraz szybki wzrost płac w nowych landach. ■ Poziom zarobków w nowych landach osiągnął obecnie 88% zarobków w starych landach. ■ Zdaniem ekspertów niemiecka nadwyżka eksportowa wyniesie w tym roku 130 miliardów marek. ■ Bezrobocie w całych Niemczech osiągnęło w sierpniu br. rekordowy wskaźnik 11,4%. ■ W Niemczech żyje ponad 700 000 bezrobotnych obcokrajowców z nieograniczonym prawem pobytu. ■ Od 01.11.97 r. w niektórych centrach handlowych i sklepach we Frankfurcie nad Odrą można za towary płacić złotówkami. **POLITYKA:** Ekspert ds. wschodnich z ramienia SPD Egon Bahr negatywnie wyraził się o planach przyjęcia do NATO Litwy, Łotwy i Estonii. Stwierdził, że po przyjęciu Polski, Czech i Węgier, NATO musi się starać o ograniczenie szkód w stosunkach z Rosją wywołanych tym faktem. ■ W Kazachstanie żyje

jeszcze 250 000 tzw. Niemców rosyjskich. Do Republiki Federalnej przesiedliła się dotychczas większość z 800 000 Niemców rosyjskich, a tylko nieliczni do Rosji. ■ Od roku 1990 z terenu byłego Związku Sowieckiego przybyło do Niemiec 30 000 Żydów oraz 30 000 nieżydowskich członków ich rodzin. ■ Problem kradzieży samochodów obywateli niemieckich przez obywateli polskich w Niemczech i jak też w samej Polsce uniemożliwia zachęcenie turystów niemieckich do odwiedzania Polski i powoduje trwałe szkody w opinii Niemców na temat Polski – twierdzi na podstawie licznych własnych doświadczeń właściciel biura turystycznego Zbigniew Panek w liście skierowanym wraz z opisami przykładów na ręce redaktora Jerzego Giedroycia. Przekazując listy i materiały otrzymane od Zbigniewa Panka do „Kroniki niemieckiej” Jerzy Giedroyc stwierdza, iż „kradzież samochodów staje się polską specjalnością, a my nic nie robimy aby tę plagę zwalczać. Myślę, że trzeba zaalarmować opinię publiczną”. ■ Radio *Deutsche Welle* i Polskie Radio S.A. zorganizowały po raz pierwszy wspólnie godzinną audycję na żywo na temat odszkodowań dla 300 000 żyjących jeszcze polskich robotników przymusowych w III-ej Rzeszy. Podsumowując dyskusję kierownik sekcji polskiej *Deutsche Welle* Hubert Wohlan stwierdził w wywiadzie dla *Kultury*, „że odszkodowania należy wymusić na przemyśle niemieckim”, który od strony formalnej i prawnej z powodu dotychczasowych uzgodnień i oświadczeń polsko-niemieckich może być obecnie jedynym adresatem tych roszczeń. Hubert Wohlan zapowiedział, iż planuje się kolejne wspólne audycje, m.in. na temat polskich pracowników kontraktowych w Republice Federalnej oraz na temat niemiecko-polskiej wymiany młodzieży”. ■ Według „ostrożnych szacunków” Bonn, na terenie państw byłego bloku komunistycznego żyje 12 500 ofiar holocaustu, którym przysługuje prawo do pomocy finansowej ze strony Niemiec. ■ Były przywódca Związku Sowieckiego Michaił Gorbaczow skrytykował Helmuta Kohla, który dotychczas nie zaprosił go do wzięcia udziału w obchodach rocznicy zjednoczenia Niemiec. ■ Pierwszą jednostką w szeregach NATO, w której używa się samolotów bojowych produkcji amerykańskiej F-4 „Phantom” i rosyjskiej MIG 29 jest stacjonujący w Rostocku 73. Pułk Myśliwski. ■ Minister obrony Volker Rühle zapowiedział ostrzejsze kontrole i środki prewencyjne w celu zapobieżenia ekscesom neonazistowskim i antysemickim w jednostkach *Bundeswehry*. Powodem były ujawnione ostatnio w kilku jednostkach przypadki gloryfikowania nazizmu i nagrywa-

nia na taśmę video fingowanych scen przemocy wobec pojmanyh. ■ Według najnowszych prognoz z powodu imigracji i narodzin liczba cudzoziemców w Niemczech w roku 2030 wzrośnie z 8,8% obecnie do 16,9%. ■ W roku 1996 Niemcy przyjęły 800.000 cudzoziemców, Szwajcaria 88.000, Holandia 67.000, Francja 56.000, Belgia 53.000, Wielka Brytania 55.000, Szwecja 36.000. ■ Podczas tegorocznego „Dnia ojczyzny” Związek Wypędzonych BdV wezwał rząd Niemiec do „twardszej postawy wobec Polski i Czech”. Przewodniczący BdV Wittmann stwierdził, że uzasadnione roszczenia wypędzonych nie zostały dotychczas pozytywnie rozpatrzone. Na zjeździe DdV nie było w tym roku żadnych czołowych polityków niemieckich. ■ Władysław Bartoszewski otrzymał z rąk kanclerza Kohla Wielki Krzyż zasługi z Gwiazdą Orderu Zasługi Republiki Federalnej Niemiec. KULTURA: Według informacji pisma *Capital* artyści niemieccy w liczbie 28 stanowią nieco ponad 25% najważniejszych współczesnych artystów na świecie, których dzieła są przedmiotem lokowania pieniędzy. Na pierwszym miejscu znajduje się USA z 40 artystami, przed Niemcami i Wielką Brytanią z 8 artystami. Na światowej liście 100 artystów 2 miejsce zajmuje malarz niemiecki Gerhard Richter, malarz i fotografik Sigmar Polke (3 miejsce) oraz malarz Georg Baselitz (5 miejsce). ■ W tym roku na Targi Książki do Frankfurtu nad Menem przybyła rekordowa liczba gości 9.544 ze 106 krajów. ■ Na pierwszym miejscu pod względem liczby czytelników wśród ilustrowanych tygodników niemieckich znajduje się *Stern* (7,57 milionów), przed pismem *Der Spiegel* (5,85 milionów) i jego konkurentem pismem *Focus* (5,82 milionów). Wśród gazet codziennych na pierwszym miejscu jest *Süddeutsche Zeitung* (730.000) przed *Frankfurter Allgemeine Zeitung* (590.000). ■ Krzyżem Komandorskim Orderu Zasługi RP odznaczony został redaktor naczelny magazynu niemiecko-polskiego *Dialog* Günter Filter. ■ Nakładem wydawnictwa Spranger Verlag ukazał się tomik opowiadań żyjącego w Australii polskiego pisarza Alka Silbera pt. „Blätter aus einem fernen Land” w tłumaczeniu Anne-liese Danki Spranger. W ramach promocji książki 26.09.97 r. w Bonn odbyło się spotkanie z autorem. ■ Pisarz Günter Grass założył fundację na rzecz wspierania narodu Romów. Ma się ona zajmować sytuacją tej grupy Cyganów w Europie. ■ Mottem tegorocznego Kongresu Sławistów zorganizowanego w Bambergu była „Rola języków i literatur słowiańskich po przełomie w Europie Wschodniej”. ■ 15 rocznicę założenia obchodziła Polska Rada Społeczna w Berlinie. Organizacja ta zajmuje się

poradnictwem i organizowaniem pomocy dla znajdujących się w trudnym położeniu emigrantów z Polski jak też organizowaniem imprez kulturalnych. Jej najnowszy projekt ZAPO ma służyć poradą i pośredniczyć w niesieniu pomocy osobom w trudnej sytuacji z Polski i innych krajów byłego bloku wschodniego przebywającym czasowo w Berlinie. ■ W Północnej Nadrenii-Westfalii we współpracy z Ambasadą RP w Bonn zorganizowano szeroko zakrojony program artystyczny TRANSFER z udziałem 10 młodych artystów polskich. ■ Najnowszą publikacją na temat Polonii w Niemczech jest broszura „Polonia in Deutschland” Dietera Bingena i Burkarda Steppachera ze słowem wstępnym autorstwa prezydenta Bundestagu pani Rity Süßmuth. Cena broszury wynosi 10 marek. ■ Tegoroczną Nagrodę Niemiecko-Polską za szczególne zasługi dla rozwoju stosunków polsko-niemieckich otrzymał Niemiecko-Polski Klub Dziennikarzy „Pod stereotypami”. Nagrodę wręczyli ministrowie spraw zagranicznych Polski i Niemiec Dariusz Rosati i Klaus Kinkel. ■ 85% uczniów szkół niemieckich w roku szkolnym 1995/96 uczyło się języków obcych, w tym 66% angielskiego i 20 francuskiego. ■ Nowym przewodniczącym Gminy Żydowskiej w Berlinie został Andreas Nachama, który zastąpił Jerzego Kanala. ■ W porównaniu do roku 1990, kiedy na wyższych uczelniach niemieckich habilitowało się około 100 kobiet, w minionym roku ich liczba wyniosła 438.

Andrzej STACH

Wiadomości z Białorusi

Dotyczące posiedzeń międzynarodowego naukowo-praktycznego „okrągłego stołu” poświęconego przygotowaniom obchodów 200 rocznicy urodzin Adama Mickiewicza

8-9 października w Narodowym Centrum Naukowo-Oświatowym im. F. Skaryny przy Ministerstwie Edukacji Repub-

liki Białoruś odbyły się posiedzenia „okrągłego stołu”, inicjatorami którego byli niektórzy naukowcy i organizacje społeczne (w pierwszej kolejności Międzynarodowa Asocjacja Białorutenistów oraz Instytut Polski w Mińsku). Na posiedzeniach, w których wzięli udział przedstawiciele ministerstw i instytucji Białorusi, Polski i Rosji, prowadzone były rozmowy o tym, jak należałoby uczcić pamięć Adama Mickiewicza w związku z 200 rocznicą urodzin poety 24.12.1998, w jaki sposób należałoby pomóc państwowym komitetom jubileuszowym oraz, w jaki sposób koordynować przygotowania w różnych krajach.

Obecnych powitała p. Ewa Spychalska, Ambasador Rzeczypospolitej Polskiej w Republice Białoruś. O planach przygotowań jubileuszowych na Białorusi poinformowali: zastępca ministra kultury Witalij Giedroń, przewodniczący Białoruskiej Fundacji Kultury p. W. Gilep, dyrektor Muzeum Literatury im. A. Mickiewicza w Nowogródku p. Halina Kuczman, przedstawiciele Związku Polaków na Białorusi p.p. Tadeusz Malewicz i Konstanty Tarasiewicz. O tym, co zaplanowano w Polsce uczestnicy dowiedzieli się z wystąpienia (a właściwie referatu) Grzegorza Wiśniewskiego – pełnomocnika ministra kultury RP d/s obchodów 200-lecia urodzin Adama Mickiewicza i listu prof. Janusza Odrowąża-Pieniążka – przewodniczącego Ogólnopolskiego Komitetu Jubileuszowego (który przysłał na posiedzenie tekst swego referatu). Prof. Moskiewskiego Uniwersytetu Pedagogicznego i przewodniczący Międzynarodowego Seminarium Naukowo-Twórczego (Szkola Senatu) p. Oleg Fiedotow zapoznał zebranych z zamierzeniami strony rosyjskiej. Obecni wyrazili ubolewanie, że na posiedzenie „okrągłego stołu” nie przyjechali zaproszeni goście z Litwy.

Następnie odbyła się dyskusja nt. poszczególnych programów i sprzecznych kwestii. Co powinno być wydane w związku z jubileuszem? Jak powinny być wytyczone szlaki turystyczne? W jakim Zaosiu urodził się Adam Mickiewicz? W jakim miejscu powinien znajdować się pomnik poety w Mińsku. W ciekawej dyskusji uczestniczyli prof. KUL Krzysztof Dybciak (który wystąpił z referatem o zrozumieniu Adama Mickiewicza przez współczesnych polskich literatów; filolodzy białoruscy Wiačasław Werenicz, Mikołaj Grynczuk, Aleh Łojka, Adam Maldzis, Leu Miraczycki, pracownik Muzeum Literatury w Nowogródku Lilja Usienka, główny redaktor Białoruskiego Księgozbioru Kastuś Cwirka, kierownicy programów i firm turystycznych Leanid Walajau, Jauhien Parfianowicz i in. Odnośnie wszystkich poruszanych zagadnień zostały przyjęte

konkretne rekomendacje. We wrześniu przyszłego roku zaplanowano przeprowadzenie w Mińsku i Nowogródku międzynarodowej konferencji naukowej „Adam Mickiewicz i Kultura Narodowa”, która odbyłaby się jednocześnie z otwarciem Muzeum w Zaosiu; a także plener i wystawa obrazów.

REKOMENDACJE „OKRĄGŁEGO STOŁU”

Program dotyczący wydawnictw

1. Wyrazić wdzięczność Instytutowi Polskiemu w Mińsku za pomoc w przygotowaniu do wydania książki „Adam Mickiewicz i Białoruś”.
2. Rekomendować Komitetowi Państwowemu d/s druku RB jubileuszowe wydanie dzieł Mickiewicza w dwóch tomach w przekładzie Piatra Bitela.
3. Rekomendować Białoruskiej Fundacji Kultury pamiątkowe wydanie pierwszej książki „Pana Tadeusza” Adama Mickiewicza w przekładzie W. Dunina-Marcinkiewicza, wydanie z 1859 roku. Prosić Polski Instytut w Mińsku o okazanie pomocy w wypożyczeniu w/w wydania Bibliotece Uniwersytetu Jagiellońskiego dla skanowania tekstów.
4. Zwrócić się z prośbą do Ministerstwa Kultury i Sztuki RP (p. Grzegorz Wiśniewski) o udzielenie pomocy Międzynarodowej Fundacji „Białoruski Księgozbiór” w znalezieniu w Polsce sponsora, który częściowo sfinansowałby jednotomowe jubileuszowe wydanie przekładów Adama Mickiewicza.
5. Zwrócić się z prośbą do w/w Ministerstwa aby przypomniało Fundacji Kresowej (Gorzów Wielkopolski), że wspomniana Fundacja obiecała wydanie zbioru „Białoruscy przyjaciele Adama Mickiewicza – Jan Czeczot, Ignacy Domejko, Tomasz Zan” – na podstawie materiałów III-IV „Karellickich Czytanniau”.

Program dotyczący turystyki

1. W związku z tym, że różne organizacje i firmy dowolnie wytyczają trasy turystyczne (Szlakiem Adama Mickiewicza), włączając obiekty drugorzędne, proponujemy uważać za obiekty główne Nowogródek, Świteż, Kołdyczewskie Zaosie, Tucha-

nowicze, Karczewo (kamień filaretów), Mir. Wymienione miejscowości w pierwszej kolejności uporządkować, stworzyć infrastrukturę turystyczną. Do obiektów drugorzędnych odnieść: Czombrów, Cyryn, Worończa, Kołdyczewo, Szczorsy, Zaosie Nowogródzkie, jezioro Litewka, a także Balcienice i Bieniakonie (wspólna trasa z Litwą).

2. Uważamy, że najbardziej optymalnymi będą 2-3 dniowe wycieczki. Rekomendujemy opracowanie, poprzez stworzenie tymczasowych zespołów twórczych, różnych wariantów (tekstów) wycieczek, tras – w zależności od wieku, zainteresowań turystów. Należałoby również przewidzieć 4 rodzaje tras wiodących przez Mińsk, Brześć, Grodno, Wilno. Optymalna trasa „Szlakiem Adama Mickiewicza” powinna mieć kształt koła – z wjazdem (wyjazdem) przez Brześć i Grodno. W tym przypadku może on nosić nazwę „Szlakiem Kościuszki, Mickiewicza i Orzeszkowej” – ze zwiedzaniem miejsc rodzinnych T. Kościuszki – Merecowszczyzny (Kosowo) i E. Orzeszkowej – Miłkowszczyzny i stworzeniem obiektów memorialnych oraz uporządkowaniem tych miejscowości. Taki wariant przyciągnie turystów z Polski, Francji, Stanów Zjednoczonych, Szwajcarii i in. państw, co pozwoli na szybki zwrot włożonych nakładów.

3. Wskazaniem jest włączenie do trasy: przy wyjeździe ze strony Mińska – skansenu w rodzinnej miejscowości Jakuba Kołasa (Konstantego Mickiewicza) i Nieświeża, od strony Brześcia-Mamieńca, Kobrynia, Bierazy, od strony Grodna – Murowanki, Biarozauki i Lidy, a także innych pomników kultury białoruskiej.

4. Ministerstwo Sportu i Turystyki RB powinno zwrócić się do odpowiednich władz z propozycją uproszczenia formalności związanych z przekroczeniem granicy przez turystów, jadących „Szlakiem Mickiewicza”, stworzenie możliwości wjazdu w jednym miejscu, a wyjazdu w drugim (Brześć, Grodno).

5. Zaproponować firmie turystycznej „BIEŁINTURYST”, autorom projektu „Złoty Pierścień Białorusi” i firmie turystycznej „AWERS-TUR”, opracowanie tras turystycznych związanych z pobytem Mickiewicza na Litwie, w Polsce, Turcji, dla obywateli Białorusi szczególnie studentów i uczniów.

6. Wskazaniem byłoby stworzenie biura turystycznego w Nowogródku, które koordynowałoby obsługę grup turystycznych.

7. Uważamy za celowe naukowe rozpatrzenie Projektu Mickiewiczowskiego, opracowanego w Grodnie („GrodnoGRAZdanprojekt”) przed rozpoczęciem finansowania poszczególnych

obiektów.

8. Szczególną uwagę zwrócić należy na wydanie map turystycznych, bukletów, pocztówek i innych pamiątek.

W sprawie Nowogródka

1. Uważamy za sytuację nienormalną, że Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza w Nowogródku posiada czwartą, najniższą kategorię klasyfikacyjną, i jest podporządkowane władzom miejscowym, co nie pozwala Muzeum rozszerzyć swojej działalności, a także zwrócić się do MK RB z propozycją o nadanie Muzeum kategorii republikańskiej.

2. Poprzeć prośbę Związku Polaków na Białorusi skierowaną do Ministerstwa Edukacji i Nauki RB o wyrażenie zgody na budowę w Nowogródku szkoły polskiej, która byłaby finansowana przez stronę polską. Otwarcie takiej szkoły pozwoliłoby na zlikwidowanie przeładowania w klasach w innych szkołach.

3. Za pośrednictwem Polskiego Instytutu w Mińsku i MKiS RP zwrócić się do polskiego episkopatu z prośbą o wykonanie dla Muzeum w Nowogródku kopii księgi parafialnej (metrykalnej) kościoła w Nowogródku z zapisem o urodzeniu Adama Mickiewicza, wywiezionej do Polski w 1946 r.

W sprawie Mińska

1. Po zapoznaniu się z różnymi propozycjami lokalizacji pomnika Adama Mickiewicza w Mińsku uczestnicy „okrągłego stołu” doszli do wniosku, że najbardziej odpowiednim miejscem jest skwer przy ulicy Gorodski Wał. Ponieważ w/w skwer w chwili obecnej nie posiada nazwy, to nadanie mu imienia poety nie pociągnie za sobą dużych nakładów.

2. Należy podjąć kroki o sfinansowanie produkcji filmu poświęconego obchodom jubileuszu A. Mickiewicza na Białorusi i jego projekcję w telewizji (wielojęzyczny kanał „Alfa”, który transmituje swoje audycje do 25 krajów świata).

3. Związek Literatów Białorusi powinien zorganizować konkurs młodych tłumaczy, a Ministerstwo Edukacji RB konkurs studenckich prac naukowych i wypracowań szkolnych związanych z jubileuszem.

4. Zaproponować Międzynarodowej Asocjacji Białorutenistów, Centrum im. F. Skaryny, Polskiemu Instytutowi w Mińsku i innym zainteresowanym organizacjom i instytucjom przeprowadzenie we wrześniu 1998 r. konferencji naukowej „Adam Mickiewicz a kultura narodów”.

Notatki Redaktora

Niepokojące są pierwsze posunięcia nowego ministra kultury, p. Joanny Wnuk-Nazarowej. Zaraz po nominacji oświadczyła, że Instytuty Polskie są niepotrzebne, i zrobiła to właśnie w tym momencie, kiedy trwają zabiegi o utworzenie tych placówek np. w Kijowie, czy rozbudowa działalności Instytutu w Mińsku. Ostatnio, gdy była mowa o konieczności stworzenia przy kancelarii premiera komórki, która scentralizowałaby wszystkie rozproszone inicjatywy dotyczące spraw mniejszościowych, p. minister stwierdziła, że może być pełnomocnikiem premiera w tych sprawach, bo wyjeżdżała z koncertami na Ukrainę i Litwę!!

Na odcinku kultury dzieje się bardzo niedobrze, gdyż rząd nie ma wyraźnego programu w tej dziedzinie. Może byłoby warto aby pani minister zwołała konferencję wszystkich zainteresowanych czynników ze świata kultury i sztuki celem przedyskutowania tej sprawy?

Przed 16-tu laty miała miejsce masakra górników w kopalni „Wujek”. Od szeregu lat toczyła się sprawa sądowa, która ostatnio skończyła się uniewinnieniem oskarżonych policjantów. Jest to skandal nie tylko sądowy. Wymiar sprawiedliwości napotkał się w tej sprawie z trudnościami nie do przeczyżenia: odpowiednie akta i dokumenty były systematycznie niszczone czy usuwane przez zainteresowane władze bezpieczeństwa. Wyrok sądu w Katowicach jest najlepszym dowodem na to, że lustracja – o której od lat się dyskutuje – jest zupełną fikcją i sprawą nie do zrealizowania. Wszystkie kompromitujące „teczki” zostały zniszczone lub sfałszowane. W związku z tym jest potrzebna nie tylko reforma sądownictwa celem przyspieszenia wymiaru sprawied-

liwości (jest cały szereg wieloletnich procesów, które nie mogą być zakończone), ale przede wszystkim radykalne uporządkowanie służb specjalnych, czego od dawna się domagam. Niestety, ostatnie posunięcia rządu w tej dziedzinie nie są zachęcające. Dużo mówi się o niezależności sądów, ale jest coraz więcej przykładów świadczących o skutecznych naciskach – jak chociażby wyrok w sprawie Wałęsy juniora: sędzia, p. Olszewska, motywując jego uniewinnienie stwierdziła, że „w postępku Sławomira Wałęsy brak jest winy umyślnej”. Immunitet poselski jest również osłoną chroniącą skutecznie parlamentarzystów przed odpowiedzialnością. Niestawianie się na rozprawę sądową różnych ustosunkowanych osób też nie pociąga za sobą żadnych konsekwencji, co stwierdziła ostatnio p. Suchocka, minister sprawiedliwości i prokurator generalny. Są to niewątpliwie sprawy, którymi powinien zająć się Sejm.

Tak samo jest bardzo niedobrze jeśli idzie o sprawy bezpieczeństwa. Policja jest nie tylko niewydolna, ale ciągle dopuszcza się łamania prawa, co też jest bezkarne. Do tego dochodzą sprawy towarzystw ochroniarskich, które niepokojąco się rozmnożyły, a które w wielu wypadkach dopuszczają się karygodnych przestępstw, jak np. wymuszania spłaty należności metodami wręcz gangsterskimi. Jest paradoksem, że w wielu wypadkach władze korzystają z ich pomocy, często to robi np. wojsko.

Jeśli idzie o wojsko, to niepokojącym zjawiskiem jest rosnąca liczba samobójstw (ostatnio również w policji). Domagałem się już wielokrotnie by dochodzenia w tych sprawach nie prowadziło sądownictwo wojskowe, ale tylko cywilne. Uniemożliwi to utajnianie tych spraw pod pretekstem, że to są sprawy ściśle poufne, których ujawnianie zagraża bezpieczeństwu państwa.

Przy karencji władzy, spowodowanej przedłużającą się instalacją koalicji i rządu, nikt nie zajmował się ani efektywnym usunięciem skutków powodzi, ani zabezpieczeniem przed nowymi zagrożeniami. Nie wystąpiono dotąd z inicjatywą wspólnej akcji Polski, Niemiec i Czech uregulowania Odry. Mało tego, nie zajęto się skontrolowaniem i umocnieniem wałów przeciwpowodziowych. Dopiero ostatnio, kiedy powstało ponowne zagrożenie wylewów, premier dokonał inspekcji z natury rzeczy powierzchownej i wyrывkowej. Niewątpliwie, środki budżetowe są bardzo skromne, ale nie ma ani sprawozdań z tego, czego dokonano, ani konkretnego planu. Przede wszystkim nie wiadomo, jak wyglądają środki pozabudżetowe. Ofiarność społeczeństwa zarówno w kraju jak i Polonii zagranicznej była imponująca. Tak samo była ogromną pomocą zagranicy – zarówno społeczna jak i poszczególnych rządów. Do tej pory nie ma zestawienia, ile ta pomoc wyniosła.

Zbiórką na pomoc dla powodziarzy zajmowała się ogromna ilość organizacji i ludzi. Nie ma żadnej kontroli jeśli idzie o poszczególne zbiórki ani sprawozdania, czy i jak ta pomoc została wykorzystana. Może to spowodować, że poszczególne instytucje na terenach powodziowych otrzymają niewspółmiernie dużą pomoc, a inne mogą być kompletnie pominięte. Tak samo jeśli idzie o działalność rządu, na tym odcinku wskazana byłaby kontrola Najwyższej Izby Kontroli, czy były np. zorganizowane przetargi na budowanie domów dla powodziarzy, czy zostały ustalone normy budowlane, by domy były budowane nie prowizorycznie, ale solidnie i odpowiednio wyposażone, a przede wszystkim by były dostępne dla ludzi biednych i tych, którzy stracili wszystko, uruchomienie szkół i szpitalnictwa, sprawiedliwy rozdział otrzymanego sprzętu i wyposażenia, co właśnie w ich wypadku ma duże znaczenie. Szczegółowe zaś sprawozdanie z dotychczasowej działalności i konkretnych zamierzeń na najbliższą przyszłość należy ogłosić jak najszybciej. Brak jawności może bardzo poderwać zaufanie społeczeństwa, które tak dobrze zdało egzamin z solidarności.

Jawność jest potrzebna i w innych dziedzinach. Co np. dzieje się ze Stoczną Gdańską? Jak wygląda jej przyszłość? Czy będzie utrzymana, czy zlikwidowana? Jak wyglądają plany pomocy dla niej, np. o. Rydzyka czy p. Solarza?



W swoim czasie pisałem o usunięciu pomnika wdzięczności dla armii sowieckiej w Toruniu. Teraz dowiaduję się, że nie ma już w Toruniu Apteki Radzieckiej, która pod tą nazwą istniała od roku 1649. Jeszcze w ubiegłym roku na tej aptece widniał napis i wyjaśnienie: „Nazwa i godło nadane przez Jana Kazimierza w roku 1649 od rajców miejskich”. Obecnie napis skrócono do połowy i jest tylko „Apteka”. Nb. na tej samej ulicy Szerokiej, głównej arterii Starego Miasta, nie ma ani jednego szyldu w języku polskim, wszystkie są po angielsku. Ta nieszczęsna Apteka jest więc jedynym polskim napisem na tej ulicy.

REDAKTOR

Kronika kulturalna

Faceci z antenkami

Potrzebny i ważny artykuł Jerzego W. Borejszy (*Kultura* nr 7/598-8/599) wart jest rozpatrzenia na szerszym tle polskiej polityki kulturalnej. Rzecz bowiem w tym, iż promocja i propaganda kultury narodowej za granicą jest funkcją całego stosunku do kultury w III Rzeczypospolitej, którą jak się zdaje, zarządzają w większości bohaterowie dawnych rysunków satyrycznych Krauzego – faceci w berecikach z antenkami, wyposażeni w teczkę i odznaczający się podejmowaniem decyzji głupawych.

Zważywszy, iż za największe swe osiągnięcie minister kultury uznał u schyłku swej kadencji odrodzenie ruchu orkiestr dętych, których ilość chwalebnie podwoił i zapowiedział, iż niebawem zagra nam – zapewne marsza żałobnego – orkiestra dwutysięczna, sytuacja wygląda dość niewesoło. Oczywiście – nie wszystko zależy od ministra czy wręcz od państwa. Jedno wszakże zależy na pewno: ochrona i promocja najwartościowszych zjawisk kultury wysokiej. W szczególności jest to istotne w warunkach przemiany systemowej, która pociągnęła za sobą szereg zjawisk jeśli nie zagrażających jej dalszej egzystencji, to w każdym razie jej byt utrudniających. I choć nie ulega wątpliwości, że po roku 1989 państwo musi uporać się z szeregiem pilnych problemów – czy to prawnych, dotyczących przemian gospodarczych, czy wreszcie związanych z koniecznością modernizacji armii – nie powinno się do tego zabierać w ten sposób, by usiłować załatwić wszystko na raz, gdyż wówczas z pewnością nie załatwi niczego.

Konieczne jest w tej sytuacji ustalenie priorytetów nie z punktu widzenia nacierających ze wszystkich stron grup na-

cisku, lecz z punktu widzenia długofalowych interesów państwa i społeczeństwa. Przyznam, iż czytając poszczególne programy partyjne – przegadane zresztą i w większości mało klarowne – w żadnym z nich nie znalazłem śladów hierarchizacji celów i zadań. Wszędzie jest o wojsku i emerytach, służbie zdrowia i oświacie, prywatyzacji i polityce zagranicznej, budownictwie mieszkaniowym i (czasem, tak już na marginesie) kulturze – w większości o sprawach, na których się nie znam i których w dodatku nikt nie ma ochoty w przystępny sposób mi wytłumaczyć. Jest też rzeczą oczywistą, iż owe programy tak właśnie muszą być skonstruowane – przed wyborami bowiem walczy się o wpływy wszędzie i nie można pozwolić sobie na zrażenie jakichś środowisk. Po wyborach jest już wszystko jedno – politycy, gdy już się biorą do myślenia zamiast obrzucać się wzajem inwektywami, czynią to w rytmie czteroletnim: horyzont ich spojrzenia wyznacza następna kampania wyborcza.

Nie ulega wątpliwości, że w obecnej sytuacji kraju ustalenie priorytetów nie jest łatwe: dziury i zaniedbania są wszędzie, nic więc dziwnego, że każdy drze ów „postaw sukna” w swoją stronę i trudno komukolwiek odmówić racji zważywszy, iż ludzie mają do dyspozycji jedno tylko życie i chcą je przeżyć w miarę godnie oraz bezpiecznie. Przeobrażenia świadomości społecznej nie są tak szybkie, jak zmiana realiów, zaś wielu wciąż jeszcze uważa, że odzyskana wolność winna być przeciwieństwem dawnego zniewolenia i nie rozumieją – mimo wskazówek papieża mówiącego, iż wolność jest nam zadana – że więcej wolności oznacza zarazem więcej ryzyka czyli zmniejszenie poczucia bezpieczeństwa.

Niezależnie jednak od tych problemów i od trudności finansowych, pewne działania – tak jak to było w wypadku reformy Balcerowicza – muszą zostać podjęte natychmiast, jeśli nie mamy w najbliższych dziesięcioleciach ocknąć się, w stanie zapaści cywilizacyjnej. I ktoś musi – biorąc na siebie ryzyko z tym związane – owe decyzje podjąć. Różnie dotychczas przechodzono w Polsce do historii: dawniej za sprawą sławojek, dziś za sprawą kuroniówki. Może by ktoś się tam znalazł za sprawą ustalenia owych priorytetów, które stworzą krajowi perspektywy rozwojowe?

Rzecz w dużej mierze dotyczy sytuacji kultury wysokiej.

Przy czym właśnie tu widać doskonale, że nie wystarczy uwolnienie jej z dotychczasowych ograniczeń, lecz że trzeba zarazem sprostać nowym, przedtem niewidocznym zagrożeniom. Niejasny i nieprzejrzysty stał się system dotacji państwowych na zagrożone instytucje. W ciągu ostatnich lat rozsypała się cała infrastruktura kultury – wystarczy wskazać rozpad sieci kin czy bibliotek publicznych. Chaotyczne i doraźne są decyzje dotyczące takich spraw jak opodatkowanie – przykładem choćby zamieszanie wokół kwestii VAT-u za książki. Niejasna jest polityka programowa dotycząca promowania kultury wysokiej w publicznych środkach masowego przekazu – tu już skandalem pachnie sytuacja, w jakiej znalazły się II program Polskiego Rada i Radio Bis, oba zagrożone w swoim istnieniu w efekcie nie przewidującej skutków gospodarki przyznawanymi dotąd zakresami fal (słyszalność – nie: słuchalność! – „Dwójki” woła o pomstę do nieba, a tu wszak nadawane są m.in. transmitowane za ciężkie pieniądze koncerty muzyki poważnej). Ministerstwo dotuje bojkotowane przez większość środowiska *Wiadomości Kulturalne* dopuszczając jednocześnie do likwidacji poczytnego *Ex librisu*. To, rzecz jasna, tylko pierwsze z brzegu przykłady. To samo dotyczy dotowania rozwoju nauki i nakładów na oświatę – poczynając od pensji pracowników szkolnictwa różnych szczebli, zaś na zubożeniu bibliotek uczelnianych kończąc: dość powiedzieć, że w wielu uczelniach studenci nie mają dostępu do najnowszych wydawnictw fachowych.

Jedno nie ulega wątpliwości: w tych dziedzinach – decydujących dla przyszłości kraju, określających stan cywilizacyjnego zaawansowania społeczeństwa – panuje, delikatnie rzecz określając, totalny chaos i polityka podejmowania decyzji doraźnych. Kształcenie elit – w szerokim rozumieniu tego pojęcia – wydaje się zapewne politykom zbytkiem w obecnej sytuacji ekonomicznej. Rzecz w tym, że właśnie szeroko pojmowana kultura stanowi wciąż jeszcze jedyne realne bogactwo kraju, zaś zaniedbania w tej dziedzinie rysują raczej niewesołą wizję przyszłości. Rzecz, jak się zdaje, w tym, iż większość decydentów uważa dotowanie kultury i nauki za rodzaj wsparcia a nie jako inwestycje. To prawda: włożone tu pieniądze nie przynoszą zysków natychmiastowych, w dodatku zyski te nie dadzą się w sposób nie podlegający dyskusji

wymierzyć. Niemniej są to właśnie inwestycje, co okazuje się często dopiero po latach, może nawet dziesięcioleciach. Tak daleko jednak „przestrzeń przewidywać” polityków sięga dość rzadko.

Sprawa jest też o tyle doniosła, iż wraz z przemianami systemowymi Polska została poddana bardzo silnej presji zachodnich wzorców kultury masowej. Samo to zjawisko, nieuniknione, zresztą, nie jest niczym niebezpiecznym. Staje się jednak niebezpieczne wówczas, gdy nie stwarza się dla niego alternatywy. Kultura masowa finansuje się sama – więcej: w szybkim czasie potrafi przynosić spore dochody. W wypadku kultury wysokiej o dochodach raczej mowy nie ma, o samofinansowaniu się – poza może wyjątkowymi zjawiskami – również. Jej degradacja, pozornie tylko niedostrzegalna, stanie się widoczną dopiero po dłuższym okresie – wtedy, by ją ratować, trzeba będzie wyłożyć ogromne fundusze, zaś pewnych procesów – jak na przykład ucieczka talentów – zatrzymać się nie da, będą bowiem narastały lawinowo, staną się czymś nieodwracalnym.

Przy tym owa degradacja kultury wysokiej – widoczna już dość wyraźnie – wpływa na ogólną atmosferę życia intelektualnego kraju, ma swe odbicie w zaniżaniu poziomu publikacji w gazetach, w sposobie prezentacji kultury nawet w publicznej telewizji, która poddaje się wzorcom masowym w imię „nie odstraszenia widza”, nie męczenia go tym, co uznaje się za „zbyt trudne” i „niezrozumiałe”. Następuje równanie w dół. Zarówno publiczne – a więc utrzymywane z podatków – jak i komercyjne środki masowego przekazu zamiast kształtować wzorce kulturowe „dostrajają się” do wzorca scharakteryzowanego w piosence Osieckiej: „Ludzie to lubią, ludzie to kupią, byle na chama, byle tanio, byle głupio”. Liczy się masowość odbioru – staje się ona jedynym wyznacznikiem skuteczności oddziaływania. Jest to zjawisko o tyle przerażające, iż prowadzi do decyzji o zamykaniu programu radiowego, który wedle różnych danych ma od 4 do 6% „słuchalności” (chodzi o „Dwójkę” radiową): w skali europejskiej jest to odbiór wyjątkowo liczny jak na rozgłośnię „poważną”; w liczbach bezwzględnych chodzi o ponad milion słuchaczy. Można przypuszczać, iż gdyby nie ostre protesty i burze powstałe w wyniku pierwotnych decyzji prezesa radia

publicznego, „Dwójkę” by całkowicie zlikwidowano – na razie jeszcze ma egzystować.

W stanie zagrożenia jest większość ambitnych pism literacko-artystycznych zależnych od dotacji państwowych i samorządowych. Dobrym przykładem jest odmowa dalszego finansowania przez władze lokalne świetnego kwartalnika *Pracownia* w Ostrołęce, który w chwili obecnej jest niemal zawieszony w związku z trudnościami znalezienia nowego dobroczyńcy. Niedawno prasa lokalna przyniosła ataki na redakcję wydawanego z funduszy publicznych w Bydgoszczy *Kwartalnika Artystycznego* – zarzucono pismu, iż jest zbyt elitarne, przeznaczone dla „Miłosza i Różewicza” co oczywiście ma świadczyć o marnowaniu pieniędzy podatnika, za które można by wydawać przynoszący dochód kolorowy magazyn. W tym wszystkim widać ledwo skrywaną przez część publicystów i polityków pogardę dla istniejących gdzieś na marginesie życia społecznego ambitnych przedsięwzięć kulturalnych. O tyle to niebezpieczne, iż może w zarodku zdławić ledwo rozpoczęty ruch odbudowywania nadwątlonej przez „politykę kulturalną socjalistycznego państwa” prowincjonalnej tożsamości, budowania właśnie poza centrum ważnych także dla całego kraju ośrodków kulturotwórczych, zahamować proces decentralizacji życia kulturalnego.

Gdy przed laty Stefan Kisielewski określił sytuację w kulturze jako dyktaturę ciemniaków, miało to bardzo mocne podstawy. Dziś można powiedzieć, że zaczyna się, jeśli nie dyktatura, to w każdym razie dominacja parweniuszy, posługujących się zresztą dla uzasadnienia swej radosnej twórczości mętniactwem „ponowoczesności”, z których to „teorii” wynika, iż nie liczą się już żadne hierarchie, zaś wszelkie centra zostały rozmyte. Zapewne jest to w odniesieniu do kultury masowej prawdą, trudno jednak to odnieść do kultury wysokiej, choć i tutaj nie brak mądrali negujących tradycyjny stan rzeczy. W tej sytuacji upominający się o owe hierarchie na łamach *Tygodnika Powszechnego* Marian Stala pisze w tonacji obronnej, łagodnej perswazji, że może jednak nie tak całkiem i nie do końca należy z jakiegoś ładu w kulturze rezygnować... W istocie cała kultura wysoka zamiast kreować wzory zachowań, zaczyna się koncentrować na uzasadnianiu racji swego istnienia, niemal przeproszać, że śmie jeszcze egzystować.

Populizm w kulturze ogarnia obszary coraz większe. I choć na łamach *Gazety Wyborczej* Teresa Bogucka stara się uprzytomnić, iż demokracja to także obrona mniejszości, w tym także mniejszości ludzi po prostu kulturalnych, to przecież ta sama *Gazeta Wyborcza* coraz wyraźniej spycha na plan dalszy „trudne” zjawiska kulturalne, zaś na drugiej stronie, pomyślanej jako ekspozycja najważniejszych zagadnień życia społecznego pomieszcza całą szpaltę poświęconą narkotycznym perypetiom południowoamerykańskiego futbolisty. Rynek medialny zdominowany jest coraz bardziej przez „informację”, a raczej plotki ze świata sportu i piosenki rockowej. Trwa walka o nakłady, „słuchalność” i „oglądalność” – to jedyne realne mierniki w coraz bardziej skomercjalizowanej przestrzeni życia kulturalnego.

Oczywiście – można wskazać, nieliczne zresztą, zjawiska opierające się tym tendencjom, jak choćby właśnie Program II Polskiego Radia czy cotygodniowy dodatek kulturalny *Rzeczypospolitej*, gdzie zresztą trafia coraz większa ilość autorów wypychanych z innych mediów (przykładem przeniesienie tu felietonu Krzysztofa Rutkowskiego z *Gazety Wyborczej*). Od kilku lat trudno odnaleźć na łamach prasy jakąś poważną dyskusję na temat sytuacji w poszczególnych dziedzinach kultury, wszystko w tej sferze istnieje osobno, w rozproszeniu, na marginesie, z dala od szerszego społecznego odbioru.

W tej sytuacji konieczne jest pilne wypracowanie – tam przynajmniej, gdzie to jest jeszcze możliwe – programu popularyzacji i promocji kultury wysokiej. A możliwe jest to jedynie w szkolnictwie i mediach publicznych za publiczne pieniądze. Nie twierdzę, że nie należy się z troską pochylać nad sytuacją orkiestr dętych, niemniej ich problemy muszą znaleźć właściwe miejsce w hierarchii priorytetów państwa. Rozumiem, że przerwa w nadawaniu „Matysiaków” czy „Lata z radiem” byłaby dotkliwym ciosem dla większości słuchaczy Polskiego Radia, niemniej próby likwidowania dla ich ocaczenia programów promujących ambitną literaturę i transmitujących najważniejsze koncerty muzyki poważnej jest przejawem coraz wyraźniej widocznego zachwiania hierarchii wartości. Gdy dodać do tego nieustanne próby upolityczniania mediów publicznych, a często też i szkolnictwa (dość przy-

pomnieć nawoływania po roku 1989 do zamknięcia „komunistycznych” uniwersytetów w Katowicach i Szczecinie), okaże się, że sytuacja nie jest najwesejsza.

I wydaje się, że czas już najwyższy na jakąś organizację polskiej inteligencji dla wymuszenia na politykach zmiany tego stanu rzeczy. Na razie można tylko przypominać dramatyczne konstatacje Żeromskiego poczynione jeszcze w roku 1919: „Gdy stan włościański i robotniczy, gdy nawet parobcy na folwarkach wzięci zostali pod opiekę prawa wskutek zorganizowania się w stronnictwa, partie i wytworzenia z siebie potęg społecznych, czyli funkcji życia zbiorowego, inteligencja, zepchnięta do roli proletariatu, mizernie wynagradzanego w stosunku do drożyzny, poziomemu potrzeb i normy życia, pozostała niezorganizowaną, rozbitą na grupki, powciskaną w rozmaite stronnictwa, występującą się rozmaitym programom grup społecznych, tworzącą te programy i, kiedy niekiedy, robiącą tu i ówdzie jednostkową karierę. Jako zbiorowość została sobą, ową guwernantką, osobą jedynie inteligentną, znającą się na logarytmach i poezji, a płaczącą się bezradnie między ‘dworem’, ‘chatą’, i ‘służbą’”.

Leszek SZARUGA

Czy inteligent jeszcze istnieje?

Pośmiertnie wydany zbiór szkiców Marty Fik*, przede wszystkim znakomitej znawczyni teatru, ale też autorki świetnej kroniki „Kultura polska po Jałcie”, w stanie wojennym współredaktorki *Nowego Zapisu*, to plon poszukiwań podjętych po roku 1989, w okresie dopiero kształtowania się nowej przestrzeni naszego życia intelektualnego. Okres przejś-

* Marta Fik: „Autorytecie wróć? Szkice o postawach polskich intelektualistów po Październiku 1956”. Przedmowa Jerzy Turowicz, Oficyna Wydawnicza Errata s.c., Warszawa 1997, s. 244.

ciowy, wciąż jeszcze nie zamknięty, nie ustabilizowany, pełen napięć, dążeń do rozliczeń przeszłości i poszukiwań nowych rozwiązań, stwarza bez wątpienia szanse przewartościowań, zmian lub wręcz burzenia ustalonych w poprzednich dziesięcioleciach hierarchii, stawia przed kulturą nowe wyzwania i zadania, stawia też kwestię funkcjonalności zadań dotychczasowych. Jednym z nich było właśnie – w chaosie komunistycznego bezładu – kreowanie autorytetów. Działo się tak przede wszystkim w literaturze, co bez wątpienia kultura polska przejęła w spadku po poprzednich stuleciach. Nie przypadkiem tak często w okresie PRL jednym z najczęściej przywoływanych wzorów literackich była „żeromszczyzna”. Żeromski zarówno swym pisarstwem, jak stylem twórczej egzystencji stworzył wzór pisarza nie tylko zaangażowanego piórem w sprawy społeczne i niepodległościowe, lecz także twórcy, którego głos wielce ważył w ogólnospołecznej, także politycznej dyspucie dotyczącej postaw i zachowań obywatelskich. Opisując ów wzór w tytułowym szkicu omawianego tomu podkreśla Fik: „Niezależnie od tego czy intelektualści (inteligenci) polscy różnych historycznych epok przemawiali tak naprawdę w imieniu swoim czy też nieokreślonej większości „narodu”, dla ich własnej kondycji ważne było przede wszystkim przeświadczenie, że nie są wyobcowaną, ale – wręcz przeciwnie – wiodącą częścią społeczeństwa. To w jego imieniu wyrzekali się nieraz swych naukowych czy artystycznych karier, by stanąć na czele powstań, spisków, „opozycji”. Co więcej – to właśnie poczucie poparcia większości oraz wpływu na jej zachowania, różniło setki rzeczywistych inteligentkich bohaterów od „klerków” Bendy, którzy winni odznaczać się przede wszystkim odwagą (ba, heroizmem!) przeciwstawiania się, w miarę potrzeby, i społeczeństwu, i stadnemu myśleniu w imię własnej intelektualnej oraz etycznej niezależności”.

Zważmy: Marta Fik nie kwestionuje „rzeczywistego bohaterstwa” ujawniającego się w owych postawach. Nawet zważywszy, iż cena za przyjęcie na siebie tej roli była w okresie – zwłaszcza w ostatnich dziesięcioleciach – PRL relatywnie niewysoka (choć przecież, gdy mierzyć to miarą życia normalnego, bywała dojmująca: cena poniżenia, szykan, pomówień, zakazu wykonywania zawodu, wreszcie nie na końcu – w konkretnych wypadkach – iluś tam lat więzienia), przecież nie ulega wątpliwości, iż w każdej chwili istnienia systemu sytuacja mogła ulec drastycznemu zaostreniu – w

końcu nie istniały żadne gwarancje ewolucyjnego łagodnienia systemu, ryzyko zatem opowiedzenia się przeciw niemu było niewymierne. Opowiedzenie się po stronie opozycji było więc, zwłaszcza w świetle doświadczeń przeszłości, czynnikiem wyznaczającym spory dość autorytet intelektualistów. Po roku 1989 jednak sytuacja uległa gwałtownemu, radykalnemu nawet przeobrażeniu, zaś zmiana ta przez olbrzymią większość warstwy inteligentkiej nie została dostrzeżona. Doprowadziło to do sytuacji, której diagnoza w książce Fik jest dla inteligencji polskiej druzgocąca: „Trzeba to powiedzieć otwarcie. Żadne z pogardliwych słów, jakie wypowiedział Wałęsa między rokiem 1989 a 1995 pod adresem ‘jajogłowych’ (...) nie uczyniło intelektualistom (a szerzej inteligencji) tyle szkody, ile to, czego dokonali i dokonują w tym zakresie sami. I to mocą gorzkiego paradoksu – właśnie w chwili, gdy nic już niby nie stało na przeszkodzie, by zabrać się za odbudowę swego nadwątlonego – przez różne wcześniejsze konieczności – autorytetu”. Podobnych sądów w omawianym tomie odnajdziemy więcej. Autorka, analizując postawy i zachowania polskich intelektualistów – a czyni to niesłychanie precyzyjnie, unikając felietonowych uogólnień i przywołując konkretne przykłady, ukazuje środowisko wewnętrznie rozbite, zdeorientowane, wysługujące się partiom i grupom politycznym, kierujące się raczej emocjami niż racjami, nie ważące słów, które wypowiada.

Autorka jednak nie tylko rozpoznaje owe patologiczne zmiany. Stara się znaleźć środki mogące ów stan rzeczy odmienić. Odzyskanie społecznie znaczącej pozycji przez intelektualistów jest wedle niej możliwe: „Tyle, że ten ‘autorytet’ odzyskać mógłby dziś zapewne raczej dawny klerk, nawet mówiący rzeczy niepopularne, niż dawny ‘opozycjonista’, którego szlachetne apele przyjmuje się jak ‘mowę trawę’. Zresztą między klerkiem a opozycjonistą nie musi być różnicy. W ogromnie wielu opozycjonistach – tkwi klerk, tyle że zepchnięty jakby na plan dalszy przez różne polityczne burze. Należy go po prostu rozbudzić. Jest na to ostatnia pora”. Lecz czy to jeszcze możliwe? Czy rzeczywiście można tego klerka w opozycjonistcie rozbudzić tak „po prostu”? Zapewne – diagnoza Fik, choć nieprzyjemna, jest nie tylko prawdziwa, lecz niesie także wymowę dramatyczną. Lecz nie należy zapominać o tym, iż już od dawna Polak „i przed szkodą i po szkodzie głupi”, przy czym w większej mierze słowa te odnoszą się do intelektualistów właśnie niż do

pozostałych warstw społecznych. Przykładem niech będzie stosunek do języka, któremu poświęca Fik szkic „Nowomowa na wolności”. Podkreśla w nim, iż godząc się w opozycji na „język walki” intelektualści nie potrafili ani wówczas, ani obecnie wyjaśnić istotnej, rzeczowej treści poszczególnych pojęć, w szczególności odzyskiwanych słów-tabu: „Nad tym, co słowa te znaczą naprawdę dla szarych ludzi (w tym sporej części inteligencji), specjalnie się nie zastanawiano”. W efekcie „język, jaki owładnął (...) życiem publicznym, nie jest już wprawdzie nowomową, niemniej w tak ogromnym stopniu składa się ze stereotypów pojęciowych i klisz językowych, a także ze słów zmieniających całkowicie – na użytek doraźny – swe pierwotne sensy, że przestaje być ‘normalnym’ językiem i domaga się swojej oddzielnej nazwy”.

Podobnych, niezwykle ważnych i cennych spostrzeżeń przynosi książka Fik więcej: dotyczą one zarówno redukcjonowania sfery kultury do preparowanych biografii twórców (jak w przypadku wypowiedzi Wiesława Pawła Szymańskiego czy Kazimierza Brauna), czy problemów odczytywania socrealizmu. Marta Fik przestrzega tu podstawowej zasady, jaką jest niezgoda na świat uproszczony, na redukcję widzenia do czarno-białego schematu. Zarazem jednak – podejmując polemiki dotyczące przewartościowywania przeszłości – trafnie wskazuje na niebezpieczeństwa tak uproszczonego widzenia zarówno na próbach rehabilitacji postawy Jana Emila Skiwskiego, który nagle ze zdrajcy kolaborującego z III Rzeszą przeistacza się w wiernego raz obranym zasadom klerka, jak w haniebnym zapominaniu zasług Jana Józefa Lipskiego, z którym dziś prawicy nagle „nie po drodze”. Gdy chodzi o pierwszego z nich, wskazuje Fik na oderwanie postawy Skiwskiego od materii życia – pozostając „wiernym sobie”, swej postawie jeszcze sprzed wojny, pozostawał też całkowicie poza sferą wartości: „tak pojęta zasada ‘wierności sobie’ (której realizacją sam Benda zapewne by się nie zachwycił) czyni z owej ‘wierności’ nazbyt już abstrakcyjną wartość. Kiedy bowiem przywołuje się ją nie dla przypomnienia o obowiązku ‘osobnego’, gdy trzeba, myślenia bez względu na osobiste koszty, ale dla usprawiedliwienia całkowitej obojętności na ludobójstwo, przemoc, niesprawiedliwość etc. – budzić musi nie podziw, lecz odrazę”.

Dotyka tu Fik istotnego problemu. Gdy bowiem w większości swych szkiców – wprost lub pośrednio – przywołuje jako swój podstawowy punkt odniesienia w ocenie postaw

polskich intelektualistów w ostatnich dziesięcioleciach właśnie postawę klerka, czyni to jednak podkreślając, iż postawa ta pozostaje funkcjonalna tak długo, jak długo nie traci kontaktu z rzeczywistością. Tymczasem autorytet intelektualistów w Polsce podważony został nie tylko przez pogmatwane losy powojenne (których upraszczać się nie godzi), nie tylko przez owo „myślenie stadne”, które zabiło (czy tylko uśpiło) postawę klerka, lecz także, a może nawet przede wszystkim, przez niezdolność rozpoznania rzeczywistości, niechęć czy nieumiejętność dokonania analizy sytuacji społecznej i własnej. Dopiero bowiem połączenie klerkowskiej wierności sobie z realizmem stanowi o społecznej randze postaw.

Przedwczesna śmierć autorki sprawiła, iż owe doraźnie pisane szkice i recenzje – zaś wśród nich tak interesujące, jak rozpoznania politycznej taktyki Gomułki czy sytuacja z marca 1968 roku – stanowią jedynie zarys książki, która z pewnością stanowić by mogła ich punkt dojścia. Marta Fik pozostawiła nam konspekt rozprawy o losach i postawach polskich intelektualistów w ciągu ostatnich sześciu dekad. Za nią nikt już tej książki nie napisze – powstaną zapewne inne, odmienne. Jedno nie ulega wątpliwości: takiej właśnie książki nam dzisiaj potrzeba – książki sprawiedliwej, ale też surowej, nie pozwalającej ani na uproszczenia, ani na relatywizację ocen, opartej na doskonałym rozpoznaniu materii, ale też rozumiejącej trudności wyborów, przed którymi stawały powojenne elity intelektualne. Książki poważnej, unikającej felietonowego efekciarstwa. Bez tego powrót autorytetu nie będzie możliwy. Warstwy oświecone Polski muszą – by w ogóle móc dalej działać – dokonać „rozpoznania się w swoim jestestwie”. Jedną z dróg ku owemu rozpoznaniu wskazuje ten właśnie zbiór esejów.

Leszek SZARUGA

Theatrum Gedanense

„Zgodziłem się zostać patronem tego przedsięwzięcia i jestem z tej decyzji niezwykle zadowolony, bowiem jest to zamierzenie wspaniałe, pełne wyobraźni i inspiracji. Dlatego powinno zostać zwieńczone sukcesem...”

Od tych słów rozpoczął swoje przemówienie JKW Książę Walii 18-go maja 1993 roku w Dworze Artusa w Gdańsku, jako Patron Fundacji Theatrum Gedanense.

W kronikach Fundacji, której celem jest odbudowa dawnej sceny szekspirowskiej w Gdańsku, znajdziemy wiele ważnych faktów. Pomysłodawcą odbudowy tej sceny, jak i prezesem Zarządu Fundacji jest profesor Jerzy Limon z Gdańska, który jest też tłumaczem dzieł Szekspira.

Choć oficjalny żywot zaczęła Fundacja już w roku 1990, uroczysta inauguracja odbyła się 5 stycznia 1991 roku w Sali Mieszczańskiej Ratusza Staromiejskiego, na której obecny był m.in. Ambasador Wielkiej Brytanii pan Stephen Jeremy Barret, który odczytał list od Karola, księcia Walii.

W czerwcu 1991 członkiem honorowym nr 1 Fundacji został Günter Grass, co odnotowano jako bardzo ważny moment w życiu członków i działalności Fundacji, albowiem wyróżniony wypowiedział takie znamienne słowa, mówiąc o przyszłym teatrze szekspirowskim – „Zbudujemy go po to, aby pojawił się może polski, niemiecki, albo polsko-niemiecki Szekspir naszych czasów. Wszak żyjemy w takim momencie, w którym nie brakuje prawdziwie królewskich dramatów”.

Kolejno, w tym samym roku w listopadzie, Fundacja zorganizowała sesję naukową poświęconą Szekspirovi, która zgromadziła wiele znakomitości teatrologii polskiej. Od roku 1993 organizuje Gdański Tydzień Szekspirowski, który odbywa się zwykle w okresie tradycyjnego Jarmarku św. Dominika. Tego samego roku w siedzibie księcia Karola w Londynie – St. James Palace – odbywała się inauguracja działalności Towarzystwa Brytyjskich Przyjaciół Fundacji. Gdańskie Tygodnie Szekspirowskie realizowano z powodzeniem w następnych latach, aby w roku 1997 zamienić je w Festiwal Szekspirowski, który został połączony z Ogólnopolskim Konkursem na Inscenizację Dzieł Dramatycznych Williama Szekspira.

Okazją do powołania Festiwalu były zarówno obchody

Tysiąclecia Gdańska, jak i 50-ta rocznica pierwszego Festiwalu Szekspirowskiego, który odbył się w lecie 1947 roku w Warszawie.

Podczas Festiwalu prezentowano zarówno zespoły nagrodzone w Konkursie na Inscenizację Dzieł W. Szekspira, jak i szereg innych teatrów z Polski i spoza jej granic.

Warto tu przede wszystkim wymienić zespół brytyjski Northern Broadsides, który przywiózł aż trzy spektakle: „Romeo i Julia”, „Antoniusz i Kleopatra” oraz „Pasja”. Podobną rolę odegrał także kontrowersyjny „Hamlet” w reż. K. Nazara z Teatru Wybrzeże w Gdańsku, czy przyjęty z ogromnym aplauzem spektakl „Ryszard...” w wykonaniu Teatru Wolna Scena z Mińska na Białorusi. Oczywiście były także propozycje Teatru Lalek z Olsztyna, czy próby otwarte, jak zwykle nowatorskie spektaklu „Romeo i Julia” reż. Adama Hanuszkiewicza.

Warto było się zatrzymać nad „Opowieściami zimowymi” w wykonaniu Teatru Nowego z Poznania, czy ciekawie zainscenizowanej na orłowskiej plaży przez zespół Teatru Miejskiego w Gdyni sztuce Szekspira „Sen nocy letniej”. Cały Festiwal zakończyły jak zwykle uroczystości związane z przyznaniem nagród.

Jury Konkursu w składzie: Teresa Budzisz-Krzyżanowska, Olgierd Błazewicz, Tadeusz Bradecki, Jerzy Sokołowski i Władysław Zawistowski postanowiło przyznać nagrodę „Złotego Yorica” Teatrowi Dramatycznemu m. st. Warszawy za realizację „Jak wam się podoba” w reżyserii Piotra Cieślaka, który to spektakl zakończył V Festiwal Szekspirowski.

Częścią towarzyszącą Festiwalowi, którego pokazy odbywały się także w gdańskich kościołach, były prezentacje filmów szekspirowskich, przegląd inscenizacji TV dramatów Szekspira, wystawa plakatu szekspirowskiego, czy koncerty muzyki inspirowanej twórczością Szekspira w wykonaniu Schola Cantorum Gedanensis. Ten bogaty program dobrze wyrokuje na przyszłość i daje nadzieję, że niebawem Szekspir znowu zawita do Gdańska na deski własnego teatru.

Mam nadzieję, że w przyszłości – można by ogłosić Konkurs Dramaturgiczny dla młodych pod patronatem tego wielkiego patrona wszystkich teatrów na całym świecie. Byłoby to naprawdę interesujące.

Eugeniusz KUPPER

KOMUNIKAT O STYPENDIACH

FUNDACJI BANKOWEJ im. LEOPOLDA

KRONENBERGA (Warszawa)

FUNDUSZU POMOCY NIEZALEŻNEJ LITERATURZE
I NAUCE POLSKIEJ (Paryż)

Stypendia przyznawane są pisarzom, artystom oraz badaczom w dziedzinie nauk humanistycznych i społecznych, ze szczególnym uwzględnieniem historii. Stypendia służą pokrywaniu kosztów pobytu w zagranicznych (w przypadku osób zamieszkałych w Polsce) oraz – w odniesieniu do osób zamieszkałych za granicą – w polskich ośrodkach naukowych i kulturalnych.

Osobą uprawnioną do otrzymania stypendium jest każda osoba, która nie przekroczyła wieku 35 lat.

Podanie powinno zawierać :

- życiorys,
- informacje o dorobku twórczym

oraz

– program pobytu za granicą wraz z informacją na temat przewidywanego czasu jego realizacji.

Wskazane jest załączenie opinii osoby kompetentnej w danej dziedzinie.

Stypendyści będą mieli prawo do wykorzystania stypendium w terminie nie przekraczającym 6-u miesięcy do daty wysłania zawiadomienia o jego przyznaniu.

Organizowanie podróży, ubezpieczenia i mieszkania nie leży w gestii fundatorów.

Stypendia przyznawane są dwa razy do roku. Najbliższe terminy nadsyłania podań upływają z dniem 31 stycznia i 30 czerwca 1998 r.

Podania prosimy przysyłać do sekretarza Funduszu:

Wojciech Sikora, FPNLiNP,
31, rue de Garlande,
77-220 Tournan-en-Brie
Francja

POLSKA I WSCHODNI SĄSIEDZI

28.10.97

W Ukraińskiej Akademii Nauk odbyła się promocja książki Mieczysława Pruszyńskiego „Dramat Piłsudskiego – wojna 1920”, która ukazała się w wydawnictwie „Libra”. W spotkaniu wzięli udział przedstawiciele świata naukowego i politycznego Ukrainy, a przewodniczyła mu p. Taisa Jeremienko z Instytutu Historii Ukraińskiej Akademii Nauk.

1.11.97

Zmarł w Warszawie w wieku 94 lat o. Józef Warszawski SJ, uczestnik powstania warszawskiego (o. Paweł), kierownik sekcji polskiej Radia Watykańskiego, autor wielu książek.

10.11.97

Laureatem tegorocznej Nagrody Kisiela tygodnika *Wprost* są: Marian Krzaklewski – przewodniczący AWS, Tomasz Wolek – redaktor dziennika *Życie*, Czesław Apiecionek – właściciel sieci księgarń „Odeon”.

11.11.97

Ukazało się rozporządzenie prezydenta Republiki Białoruskiej A. Łukaszenki dotyczące ogłoszenia roku 1998 Rokiem Mickiewicza. Rozporządzenie precyzuje imprezy, które mają być zorganizowane w latach 1997-98 w związku z 200-leciem urodzin poety. Rada Ministrów Republiki Białoruskiej jest zobowiązana powołać komitet organizacyjny i przygotować plan imprez w ciągu dwóch miesięcy. Ministerstwo Finansów w roku 1997/98 przeznaczy na te cele z funduszu prezydenta RB dla brzeskiego obwodowego komitetu wykonawczego 5 mld rubli, dla grodzieńskiego – 30 mld rubli. We wrześniu 1998 r. Ministerstwo Kultury wspólnie z brzeskim komitetem wykonawczym otworzy muzeum-dworek Mickiewicza w Zaosiu (rejon baranowicki), a w grodzieńskim komitet wykonawczy organizuje „Międzynarodowe święto poezji”. W rozporządzeniu jest zaznaczone, że wchodzi ono w życie z dniem jego podpisania.

24.11.97

Sąd w Mińsku zamknął pismo *Swaboda*, najstarszą niezależną gazetę na Białorusi. Sąd był w jednoosobowym składzie. Posiedzenie trwało 15 minut, sędzia zabronił dziennikarzom robienia zdjęć i nagrywania procesu. Wyrok zapadł na podstawie wniosku Państwowego Komitetu d/s Prasy, który oskarżał pismo o obrażę prezydenta Łukaszenki i informację, że b. szefowa Białoruskiego Banku Narodowego, Tamara Winnikowa, aresztowana w ub.r. ma kłopoty ze zdrowiem. Komitet uznał to za „ingerencję w przebieg śledztwa” i

uznał artykuły *Swobody* za „wzniesienie waśni społecznych”. Redaktor naczelny *Swobody*, Ihar Hermianczuk, zapowiedział, że będzie nadal wydawać pismo nawet w podziemiu. Zamknięcie *Swobody* spowodowało szereg protestów prasy europejskiej.

ZACHÓD

9.10.97

Prezydent Litwy Algirdas Brazauskas w towarzystwie prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego wręczył Jerzemu Giedroycowi dyplom honorowego obywatelstwa Litwy.

24.10.97

Kazimierz Zamorski, współredaktor (ze Stanisławem Starzewskim) „Sprawiedliwości sowieckiej”, pierwszej powojennej książki o GULagu, przekazał na ręce Krzysztofa Zamorskiego, dyrektora Biblioteki Jagiellońskiej, plik dokumentów sowieckich, w tym zaświadczenia władz łagiernych o zwolnieniu obywateli polskich na podstawie dekretu z 12 sierpnia 1941 o tzw. amnestii, które posłużyły do sporządzenia mapy sowieckich łagrów.

27.10.97

Polski minister spraw zagranicznych przyznał „Dyplom za Wybitne Zasługi dla Kultury Polskiej za Granicą” Instytutowi Polskiemu i Muzeum im. gen. Sikorskiego. Uroczystość wręczenia dyplomu odbyła się w ambasadzie RP w Londynie.

31.10.97

Redaktorem naczelnym *Życia Warszawy* został Andrzej Bober, znany z prowadzonej w swoim czasie w telewizji warszawskiej audycji „Listy o gospodarce”.

1.11.97

Założone w 1986 w Montricher (Szwajcaria) wydawnictwo NOIR SUR BLANC Very i Jana Michalskich obchodzi dziesięciolecie swej działalności wydawniczej. Od 1991 roku ma swoje biura w Paryżu (Księgarnia Polska przy bulwarze St. Germain) i w Warszawie. Dotychczasowy dorobek obejmuje prawie 100 książek w języku francuskim (63 tytuły) i polskim (36 tytułów). Francuskim czytelnikom udostępniło ono m.in. tłumaczenia pism Józefa Czapskiego, Andrzeja Bobkowskiego, Zygmunta Haupta, Teodora Parnickiego, Stanisława Mrożka czy Adama Mickiewicza („Pan Tadeusz”). Czytelnikom polskim tłumaczenia Paula Austera, Charlesa Bukowskiego, Henry Millera czy „Dzieła zebrane” Sławomira Mrożka. ■ Nagrody Fundacji im. Alfreda Jurzykowskiego za rok 1997 otrzymali: Maria Bogucka (historia), Czesław Hernas (historia literatury), Paweł Huelle (literatura), Maria Ptaszyńska (muzyka), Cezary Chlebowski (osiągnięcia w dziedzinie kultury), Jan Garewicz

i Joanna Guze (przekłady), Janusz Kapusta (plastyka), Włodzimierz Olszewski (medycyna), Henryk i Krystyna Wiśniewscy (neurobiologia), Stanisław Świerczewski (matematyka).

12.11.97

Maciej Płażyński, Marszałek Sejmu RP i Laurent Fabius, Przewodniczący francuskiego Zgromadzenia Narodowego, dokonali otwarcia wystawy poświęconej dwusetnej rocznicy powstania Legionów Polskich i Mazurka Dąbrowskiego. Wystawa przygotowana w oparciu o zbiory przede wszystkim Biblioteki Polskiej w Paryżu jest czynna do 29 listopada w Galerie des Tapisseries du Palais-Bourbon. ■ W Ambasadzie RP w Paryżu odbyła się uroczystość wręczenia odznaczeń przez Marszałka Sejmu Macieja Płażyńskiego i Ambasadora RP Stefana Mellera. Otrzymali je: Maria ORŁOWICZ-SADOWSKA – Złoty Krzyż Zasługi RP; Clodine KEIDA – Krzyż Kawalerski Orderu Zasługi RP; Zofia WINCESEWICZ-BOBOWICZ – Krzyż Kawalerski Orderu Zasługi RP; Wacław MNISZEK – Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia RP; Ksiądz Prałat Witold KIEDROWSKI – Krzyż Oświęcimski.

14.11.97

W Centre du Dialogue w Paryżu odbył się wieczór z okazji jubileuszu *Kultury*, na którym prof. Jerzy Kłoczowski przeprowadził rozmowę z Jerzym Giedroyciem.

17.11.97

W Stacji Naukowej PAN w Paryżu miał miejsce wernisaż polskiej książki naukowej zorganizowany przez Polskie Towarzystwo Wydawców Uniwersyteckich w Lublinie. ■ Rada Towarzystwa Historyczno-Literackiego w Paryżu, licząc na zrozumienie wszystkich zainteresowanych, uprzejmie zawiadamia, że w dniach od poniedziałku 17 listopada 1997 do poniedziałku 2 marca 1998 włącznie, Biblioteka Polska i czytelnia będą zamknięte z powodu pilnych prac remontowych. Natomiast Muzeum Adama Mickiewicza będzie zamknięte od poniedziałku 1 grudnia 1997 do soboty 31 stycznia 1998 włącznie.

23.11.97

Zmarł w Melbourne (Australia) Andrzej Gawroński, pisarz, satyryk, współtwórca m.in. kabaretu „Kookaburra”.

24.11.97

Zmarła w Paryżu przeżywszy ponad 100 lat Adela-Maria z Bohomolców Władysławowa Żeleńska, w czasie wojny urzędnik polskiego Ministerstwa Informacji w Paryżu, później w Londynie, po wojnie tłumaczka z angielskiego na francuski w O.C.D.E. a jednocześnie tłumaczka na francuski „Na nieludzkiej ziemi” Józefa Czapskiego, a także „Europy w rodzinie” i „Czasu odmienionego” Marii Czapskiej. Przez wiele lat czynna w Towarzystwie Opieki nad Polskimi Zabytkami i Grobami Historycznymi we Francji, w Komii

tecie Opieki nad inteligencją, w Towarzystwie Polsko-Ukraińskim i wielu innych, członek honorowy SPK i Towarzystwa Historyczno-Literackiego. W r. 1993 odznaczona Krzyżem Kawalerskim Orderu Polonia Restituta.

25.11.97

W Bibliotece Polskiej w Paryżu staraniem Towarzystwa Historyczno-Literackiego odbył się odczyt Janusza Odrowąż-Pieniążka na temat „Mickiewiczowski Adolf (Adolf Januszkiewicz)”, a 28.11 miało miejsce zebranie poświęcone 177-ej rocznicy powstania listopadowego. Tomasz Łubieński wygłosił na nim odczyt „Dwie rocznice – 29 listopada 1830 – 11 listopada 1918”. ■ W Stacji Naukowej PAN w Paryżu miało miejsce kolokwium zorganizowane do spółki z Niemieckim Instytutem Historycznym w Paryżu na temat „Antropologie de la ville médiévale – ses aspects matériels et culturels”.

2.12.97

W Stowarzyszeniu Polskim w Genewie prof. Krzysztof Skubiszewski wygłosił odczyt pt. „Polityka zagraniczna Polski po ostatnich wyborach”.

6.12.97

W Instytucie Polskim w Paryżu odbył się konkurs „Dyktanda języka polskiego” zorganizowany przez Polskie Radio Katowice i Instytut Polski na wzór analogicznych imprez, które odbywają się od 8-miu lat w Polsce i od roku w Szwecji. Zwycięzca konkursu otrzymał tytuł „Francuskiego mistrza polskiej ortografii 1997” oraz nagrodę w wysokości 1000 dolarów (wyplacaną we frankach francuskich).

9.12.97

W Stacji Naukowej PAN w Paryżu prof. Kazimierz Szabelski wygłosił odczyt na temat „Współczesne problemy i perspektywy rozwoju nauk technicznych w Polsce”. Poprzednio, 4-go grudnia, Mikhail Narinski, profesor Państwowego Uniwersytetu Stosunków Międzynarodowych w Moskwie, wygłosił odczyt pt. „Stalin et les origines de la guerre froide”.

Listy do Redakcji

Zalesie Górne, 14 października 1997

Szanowny Panie Redaktorze,

Obiecałem przesłać Panu książkę pt. „Pochodem idziemy – dzieje i legenda Szkoły im. Stefana Batorego w Warszawie”. Proszę o przyjęcie jej do biblioteki *Kultury*. Załączam do książki broszury o okolicznościowe.

W numerze 121 *Zeszytów Historycznych* czytałem wspomnienie p. Marka Rudzkiego pt. „Winiетки drugiej okupacji i emigracji”. Na str. 188, w rozdziale „Oporny Nałęczów nadal pacyfikowany” znalazłem informację, iż na jesieni 1945 r. w Lubelskim oddział partyzancki Orlika liczący 10 do 15 tys. ludzi pod bronią. Autor nie zdaje sobie chyba sprawy co to znaczy utrzymać oddział o takiej sile w kraju zniszczonym i nasyconym wojskiem. Jeśli Orlik miał 200-300 ludzi pod bronią, to mogło być wszystko.

Podobny rozmach w przesadzaniu znalazłem w numerze 9/600 *Kultury*. Na str. 173 w liście do redakcji p. Andrzej Albrecht w pierwszym zdaniu pisze, że blisko 1/3 Polski zatonała w tegorocznej powodzi. Dziarscy reporterzy TVP w czasie powodzi zatopili 1/10 części Polski. P. Albrecht ich przebił, że hej! A prawda jest taka, że co najwyżej jedna setna powierzchni kraju została dotknięta powodzią. Wystarczy popatrzeć na mapę. Oczywiście, był to wielki dramat dla kilkudziesięciu tysięcy ludzi, ale czy trzeba aż tak przesadzać przy opisywaniu jego rozmiarów? Nie świadczy to dobrze o rzetelności korespondenta.

Łączę wyrazy szacunku

Bogdan BARTNIKOWSKI

12 listopad, 1997

Szanowny Panie Redaktorze,

Z wielkim zainteresowaniem przeczytałem Pańską uwagę w sprawie usuwania pomników wdzięczności armii sowieckiej w Polsce (Notatki Redaktora *Kultura* nr 600). Niestety, jak do tej pory, nie zauważyłem aby ktoś zabrał głos w tej sprawie w prasie krajowej lub emigracyjnej. Ludziom, którzy podejmują decyzje o usuwaniu tych pomników należałoby poradzić aby poczytali sobie

niektóre wiersze Bułata Okudźawy lub obejrzeni takie filmy jak „Ballada o żołnierzu” lub „Lecą żurawie”. Może wtedy dowiedzieliby się prawdy o tych młodych Rosjanach, Ukraińcach, Gruzinach i innych żołnierzach sowieckich, którzy walczyli i ginęli w II wojnie światowej. Błędem byłoby stwierdzenie, że oddawali oni życie za Stalina i komunizm. Należałoby dodać, że żołnierze ci musieli uporać się z podwójnym wrogiem, mając wojska hitlerowskie przed sobą a z tyłu specjalne oddziały karne powołane przez Stalina w lipcu 1942 r. rozkazem nr 227. Każdy, kto zbyt opieszale siedzi na pozycje niemieckie mógł stanąć później przed plutonem egzekucyjnym. Pod Stalingradem jednostki karne stanowiły 10% wszystkich sił sowieckich. Prawdopodobnie intencją Stalina było aby żołnierze bali się mniej Niemców niż jego samego.

Sporo prawdy na ten temat odsłania rosyjski film dokumentalny zrealizowany kilka lat temu przez wybitnego reżysera Grigorija Czuchraja, który sam uczestniczył w walkach na froncie.

Być może wypadłoby przypomnieć tutaj wypowiedź Jana Pawła II podczas wizyty w Oświęcimiu w czerwcu 1979 r. Papież zaznaczył wtedy, że obok tablicy w języku rosyjskim nie można przejść obojętnie i dodał: „Wiemy jaki był udział tego n a r o d u w ostatniej straszliwej wojnie o wolność ludów”.

Łączę wyrazy szacunku

Kazimierz WIERZBICKI

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Czytelników nadsyłających nam swoje artykuły i utwory prosimy o pamiętanie, że Redakcja nie zwraca rękopisów nie zamówionych. Wobec nawału pracy odpowiadać będziemy tylko w niniejszej rubryce.

Grzegorz F.: – Pana wiersze są niezwykle manieryczne, by nie powiedzieć pogmatwane, a ponadto błahe.

Aleksandra P.B.: – Pani utwory, choć bez wątplenia świadczą o sporej wrażliwości, a nawet pomysłowości (bohaterka „Światłocienia” przedstawiająca się jako postać z obrazu anonima to chwyt interesujący) są (jeszcze?) niedopracowane.

Otrzymaliśmy dwa listy od: Andrzeja B. Kowalika z 11-go listopada oraz Andrzeja B. Wasiuka z 19-go października br. Obydwa z Chicago, a charakter pisma wskazuje, że napisała je ta sama osoba. Zawierają one bardzo ostrą krytykę polskiej rzeczywistości. Gdy odpisaliśmy na pierwszy list, poczta zwróciła go z zaznaczeniem, że adresat jest nieznany. Jeżeli ktoś nie ma odwagi podpisać listu własnym nazwiskiem, to albo powinien zaznaczyć, że nazwisko jest tylko do wyłączenia wiadomości redakcji, albo listu w ogóle nie pisać. Strzelanie zza płotu nie należy do dobrych obyczajów.

Indeks autorów i tematów rocznika „Kultury” za rok 1997

SPIS AUTORÓW

A.B., ABNER Stefan, ABRAMOW-NEWERLY Jarosław, ALBRECHT Andrzej. – BALASURIYA Tiss, BALCE-ROWICZ Leszek, BALCERZAN Edward, BARRET BROWNING Elizabeth, BARTNIKOWSKI Bogdan, BARTOSZ Adam, BĄKOWSKI Adam Tadeusz, BEAUVOIS Daniel, BERBERYUSZ Ewa, BERDYCHOWSKA Bogumiła, B.H., BIEDZIŃSKI Thomas, BŁAŻYŃSKI Zbigniew Jerzy, BONIECKI Jerzy, BOREJSZA Jerzy W., BORUTA, BRACKONIECKI Kazimierz, BRODA Marzena, BROŃSKI M., BYSTRYCKYJ Jewhen, BYSTRZYCKI Przemysław. – CHABROWSKI Tadeusz, CHRZANOWSKI Andrzej, CHRZANOWSKI Tadeusz, CHYLIŃSKA Kamila, CISZUK Hanna (tłumacz), CZAPSKI Józef, CZYŻEWSKI Krzysztof. – DANILEWICZ ZIELIŃSKA Maria, DASZKIEWICZ Piotr, DŁUSKI Stanisław, DMITROCA Zbigniew, DOBIECKI Grzegorz, DOMINIAK Zbigniew, DZIEWANOWSKI Kazimierz. – FLOREK Stefan, FRAJLICH-ZAJĄC Anna. – GARLICKI Andrzej M., GIEDROYC Jerzy, GROTKWAŚNIEWSKI Jerzy, GRUSZCZYŃSKI Lesław. – HALIKOWSKA-SMITH Teresa, HELLER Michał, HEMAR Marian, HIŻ Danuta. – IWAŃSKA Alicja. – JACKIEWICZ Mieczysław, JASTRUN Tomasz, JESTAL Jerzy, JOFE Wieniamin. – KACZMAREK Robert, KARNKOWSKI Kazimierz, KARPIŃSKI Wojciech, KAWIŃSKI Wojciech, KERSKI Basil, KISIELEWSKI Stefan, KŁOSSOWSKI Andrzej, KO-

ŁODKO Grzegorz W., KORASZEWSKI Andrzej, KOS-
 SOWSKA Stefania, KOWALCZYK Andrzej Stanisław, KO-
 ZAK Stefan, KOZŁOWSKI Grzegorz, KOŹMIŃSKI
 Andrzej, KRUCZEK Adam, KRZYŻANOWSKI Jerzy R.,
 KUBIK Mariusz, KUPPER Eugeniusz, KURCZAB-RED-
 LICH Krystyna, KUŚ Mira, KWAŚ Adam, KWAŚNIEWSKI
 Aleksander. – LATAWIEC Bogusława, LEM Stanisław,
 LEWANDOWSKI Józef, LIPSKI Leo, LISEK Agnieszka,
 LIZAKOWSKI Adam. – ŁABAUCZEUSKA Wolha, ŁARIN
 S. – MACIEJOWSKA Agnieszka, MANC Joanna, MAR-
 CINIĄK Włodzimierz, MENCNAROWSKI Adam, MIA-
 NOWICZ Tomasz, MICEWSKI Andrzej, MIEROSZEWSKI
 Juliusz, MIĘDZYRZECKI Artur, MILCZAREK Ryszard,
 MILEWSKI Jerzy, MIREWICZ Jerzy S.J., MITZNER Piotr
 (tłumacz), MONDRY Janusz, MORAWSKI Dominik,
 MOSTWIN Danuta. – NAGANOWSKI Egon, NAJWER
 Ewa, NASIELSKI Adam, NIEUWAŻNY Florian, NOWO-
 TARSKA Róża. – ODROWAŻ-PIENIAŻEK Janusz, OKIŃ-
 CZYC Czesław, ORŁOWSKA-WOJCZULANIS Krystyna,
 ORŁOWSKI Stanisław T., OSADCZUK Bohdan, OSIECKA
 Agnieszka. – PAJĄK Antoni, PALMIRSKI Andrzej, PIEN-
 CZEWSKA Aldona, PIETRKIEWICZ Jerzy (tłumacz),
 PLUTA Janusz J., POLAK Wanda, POMIAN Grażyna, PO-
 MIAN Krzysztof, POMIANOWSKI Jerzy, POSPIESZALSKI
 Antoni. – RACZKIEWICZ Władysław, RATAJCZAK Hen-
 ryk, REDAKCJA, REDAKTOR, REICH-RANICKI Marcel,
 RODKIEWICZ Witold, ROSTAFIŃSKI Wojciech, RUT-
 KOWSKI Tadeusz Paweł, RŻANY Rafał. – S.A., SAM-
 SONOWICZ Henryk, SEREDNICKI Antoni, SIEMASZKO
 Z.S., SIEMIĄTKOWSKI Z., SIKORA Wojciech, SKÓ-
 RZYŃSKI Piotr, SMECZ, STACH Andrzej, STECKO Sa-
 manta, STĘPIEŃ Marian, STROŃSKA Anna, STYRCZULA
 Antoni, STUDNICKI-GIZBERT Konrad W., SUPRUNIUK
 Mirosław Adam, SZARUGA Leszek, SZUBER Janusz,
 SZUSZKIEWICZ Stanisław, SZYŁEYKO J. Zdzisław. –
 ŚMIEJA Florian. – TABORSKI Bolesław, TAZBIR Janusz,
 TIMOSZEWICZ Jerzy, TOMSIA Teresa, TOPOROWSKI
 Wiesław F., TROJANOWICZOWA Zofia, TRYBUSIE-
 WICZ Janusz, TUDEREK Grzegorz, TYMA Piotr. –
 UNGER Leopold. – WANDYCZ Piotr, WIDACKI Jan,

WIERZBICKI Kazimierz, WIERZBICKI Zbigniew T., WIL-
 CZEK Piotr, WILK Mariusz, WINECKA Christine, WI-
 SŁOCKI Jerzy, WOLICKI Krzysztof, WRÓBLEWSKI An-
 drzej Krzysztof, WRÓBLEWSKI Grzegorz, WYRWA Ta-
 deusz. – ZAGORSKI Andriej, ZAJĄCZKOWSKI Wojciech,
 ZAMORSKI Kazimierz, ZHBANKOW Rostislav G., ZIOŁA
 Bronisław, ŻUREK Sławomir J.

Artykuły polityczne, społeczne i gospodarcze

Apel w rocznicę „Operacji Wisła” (3/594).
 B.H.: *Kronika kanadyjska* (7/598-8/599).
 BOREJSZA Jerzy W.: *Wielka niemoc albo promocja* (7/598-
 8/599).
 DZIEWANOWSKI Kazimierz: *Wizje czasu i historii* (11/602).
 GROT-KWAŚNIEWSKI Jerzy: *Kronika australijska* (11/602).
 JACKIEWICZ Mieczysław: *Wileńszczyzna po wyborach do
 samorządów* (5/596).
 JASTRUN Tomasz: *Jednak nowa generacja (I) – Ankieta
 „Kultury”* (9/600).
 KACZMAREK Robert: *Latem ósmego roku* (10/601).
 – *Wiedza i informacja* (4/595).
 – *Złotówka* (7/598-8/599).
 KORASZEWSKI Andrzej: *Ethos urzędnika* (6/597).
 – *Na drodze do Europy* (1/592-2/593).
 ŁARIN S.: *Sekret „Kultury”* (9/600).
 POMIANOWSKI Jerzy: *Dwie Rosje* (1/592-2/593).
 – *Historia spuszczonej z łańcucha* (12/603).
 SMECZ: *Z ukosa* (12/603).
 – *Z ukosa... z Rosji* (11/602).
 STECKO Samanta: *Jednak nowa generacja (II) – Ankieta
 „Kultury”* (10/601).
 STUDNICKI-GIZBERT Konrad W.: *Pamięć społeczeństw*
 (11/602).
 TRYBUSIEWICZ Janusz: *Kościuszkę, Lennon i fileta czyli jak
 być dzisiaj polskim patriotą* (1/592-2/593).
 UNGER Leopold: *Widziane z Brukseli: Życie zaczyna się po
 pięćdziesiątce* (9/600).

WANDYCZ Piotr: *Szkoda* (11/602).
Wydarzenia miesiąca (1/592-2/593, 3/594, 4/595, 5/596, 6/597, 7/598-8/599, 9/600, 10/601, 11/602, 12/603).

Archiwum polityczne

ABNER Stefan: *Kabel, Pierścień i polskie nadzieje* (9/600).
 – *Z nordyckiej perspektywy* (1/592-2/593, 5/596).
 CHYLIŃSKA Kamila: *Niespokojna jesień w Niemczech* (3/594).
 KERSKI Basil: *Niemiecki kapitał w Polsce* (6/597).
 – *Przedwyborczy letarg Niemców* (12/603).
 KORASZEWSKI Andrzej: *Uwagi o perspektywach integracji z Unią Europejską* (10/601).
 LEWANDOWSKI Józef: *Podróże kształcą* (7/598-8/599).
 MARCINIAK Włodzimierz: *Federacja Rosyjska, Spółka Akcyjna z o.o.* (9/600).
 MIANOWICZ Tomasz: *Bojówki Kociołka* (6/597).
 MONDRY Janusz: *Do jakiej Europy zmierzamy?* (12/603).
 – *Przyszłość sojuszu USA-Japonia-NATO, Rosja a Japonia* (6/597).
Notatki Redaktora: (1/592-2/593, 3/594, 4/595, 5/596, 7/598-8/599, 9/600, 10/601, 11/602, 12/603).
 S.A.: *Notatki nordyckie* (10/601).
 SZYŁEYKO Zdzisław: *W drodze do następnego Millenium* (4/595).
 UNGER Leopold: *Widziane z Brukseli: Brudne złoto* (4/595).
 – *Widziane z Brukseli i Taszkientu: Jedwabny szlak na bawełnianym zakręcie* (1/592-2/593).
 WIDACKI Jan: *Stosunki polsko-litewskie (od końca lat 80-tych po dzień dzisiejszy)* (11/602).
 WRÓBLEWSKI Andrzej Krzysztof: *Tygrys bez zębów* (1/592-2/593).

Powieści, nowele, fragmenty powieściowe, wspomnienia

WILK Mariusz: *Zapiski sołowieckie* (3/594).
 – *Zapiski sołowieckie (II)* (4/595).

– *Zapiski sołowieckie (III)* (5/596).
 – *Zapiski sołowieckie (IV)* (6/597).
 – *Zapiski sołowieckie (V)* (7/598-8/599).
 – *Zapiski sołowieckie (VI)* (10/601).
 – *Zapiski sołowieckie (VII)* (12/603).
 WINIECKA Christine: *Mój Stanisławów* (7/598-8/599).
 ZIOŁA Bronisław: *Po latach – w pierwszej małej ojczyźnie* (3/594).

Utwory poetyckie

BARRET-BROWNING Elizabeth: *Drogi miłości, przełożył Jerzy Pietrkiewicz* (10/601).
 BĄKOWSKI Adam Tadeusz: *Nienormalna* (4/595).
 BRODA Marzena: *Czterocalowy pejzaż* (7/598-8/599).
 – *Ogień kochania* (7/598-8/599).
 CHABROWSKI Tadeusz: *O dysputach* (1/592-2/593).
 – *Zanurzył rękę w słońcu* (1/592-2/593).
 DŁUSKI Stanisław: *Syzma* (7/598-8/599).
 DMITROCA Zbigniew: *Niewielka elegia dla Josifa Brodskiego* (1/592-2/593).
 DOBIECKI Grzegorz: *Okularnik* (7/598-8/599).
 DOMINIAK Zbigniew: *Nicpoń* (1/592-2/593).
 FLOREK Stefan: ****...nie czuję wdzięczności* (7/598-8/599).
 JASTRUN Tomasz: *Samotna* (4/595).
 – *Stół* (4/595).
 – *Westchnienie* (4/595).
 KAWIŃSKI Wojciech: *Prawie zmierzch, fragment obrazu* (6/597).
 KOZŁOWSKI Grzegorz: ****...noc wykradła nasz uśmiech* (1/592-2/593).
 – *Zimowa opowieść* (1/592-2/593).
 KUŚ Mira: *Wahanie* (6/597).
 LISAK Agnieszka: *Drzewo genealogiczne* (7/598-8/599).
 – *Ruiny klasztoru* (7/598-8/599).
 LIZAKOWSKI Adam: *Krótką historią Kalifornii* (7/598-8/599).
 MANC Joanna: *Klezmer* (1/592-2/593).

- MENCNAROWSKI Adam: *Nicość* (6/597).
- PAWLAK Antoni: *Powązki Travel* (list do Andrzeja Saramonowicza) (10/601).
- ***...to lekkie pukanie w okno (10/601).
 - ***...zmarłego trudno poklepać po plecach (10/601).
- PIENCZEWSKA Aldona: *Antrakt* (6/597).
- *Znaczenie odległości* (4/595).
- PIETRKIEWICZ Jerzy (tłumacz) ob. Barret-Browning Elizabeth (10/601).
- RŻANY Rafał: *Granat* (1/592-2/593).
- SZARUGA Leszek: *Już idzie* (11/602).
- *Przeznaczenie* (11/602).
 - *Wieniec czasu nowego...* (1/592-2/593).
- SZUBER Janusz: *Stepując po sosnowych deskach* (6/597).
- TABORSKI Bolesław: *Haust* (6/597).
- *Jak Ifigenia* (6/597).
 - *Metamorfozy* (6/597).
 - *W teatrze* (6/597).
- TOMSIA Teresa: *Z zapisków nie-pewnego wyborcy* (11/602).
- WRÓBLEWSKI Grzegorz: *Ostatnie kuszenie* (11/602).
- *Robespierre (1758-94)* (11/602).

Sprawy krajowe

- ABNER Stefan: *Wizyta w Warszawie* (12/603).
- BERBERYUSZ Ewa: *Kartki ze skażonej strefy* (1/592-2/593, 3/594, 6/597, 7/598-8/599, 12/603).
- DASZKIEWICZ Piotr: – *Jeszcze o Białowieży* (12/603).
- *Przyszłość polskiej polityki ekologicznej* (7/598-8/599).
- KOŁODKO Grzegorz W.: *Post scriptum* (11/602).
- LEM Stanisław: *Na marginesie powodzi* (9/600).
- SMECZ: *Z ukosa* (3/594, 4/595, 5/596, 6/597, 7/598-8/599, 10/601).
- STUDNICKI-GIZBERT Konrad W.: *Polska – kraj (prawie) normalny* (4/595).
- WISŁOCKI Jerzy: *Konkordat a polska racja stanu* (1/592-2/593).

- WOLICKI Krzysztof: *Galimatias wokół AWS* (5/596).
- *Nic nie jest przesądzone* (3/594).
 - *Ostatnie wybory tysiąclecia* (9/600).
 - *Przed meczem* (6/597).
 - *Referendum, pielgrzymka, lato i wybory* (7/598-8/599).
 - *W przerwie* (1/592-2/593).
 - *Z przedwyborczego notatnika* (4/595).
 - *Znikający etos* (12/603).

Sąsiedzi

- BERDYCHOWSKA Bogumiła: *Polsko-ukraińskie spotkania* (12/603).
- BYSTRYCKYJ Jewhen: *Ukraińsko-polskie sympozjum. Intelktualiści, kultura i polityka* (7/598-8/599).
- CHRZANOWSKI Andrzej: *Rozmowa z Czesławem Okiń-
czycem* (3/594).
- *Działalność kulturalna na Rosję* (6/597).
- JACKIEWICZ Mieczysław: *Przez Grodno do Witebska* (6/597).
- KOZAK Stefan: *Czy Polacy i Ukraińcy sprostają wyzwaniu współczesności* (6/597).
- KRUCZEK Adam: *Notatki rosyjskie* (1/592-2/593).
- OSADCZUK Bohdan: *Bilans lata: od Lublina do Lwowa* (10/601).
- *Ukraina – między reformą a mafią* (5/596).
 - *Ukraina na rozdrożu* (11/602).
 - *Ukraiński maj w polityce zagranicznej* (7/598-8/599).
 - *Ukraińskie kontrasty i konflikty* (9/600).
 - *Walka wyborcza na Ukrainie* (12/603).
- RODKIEWICZ Witold: *Jubileusz paryskiej „Kultury” w Kijowie* (10/601).
- STACH Andrzej: *Kronika niemiecka* (3/594, 7/598-8/599, 12/603).
- VI Wschodnia Szkoła Letnia 1997 (6/597).
- Wiadomości z Białorusi* (12/603).
- WIDACKI Jan: *Litwa po wyborach* (3/594).

ZAJĄCZKOWSKI Wojciech: *Rosja regionów* (7/598-8/599).

O religii bez namaszczenia

BALASURIYA Tiss: *Tekst „Obłożony ekskomuniką” z angielskiego przełożył Antoni Pospieszalski* (5/596).

MORAWSKI Dominik: *Polskie błędne koło* (3/594).

POSPIESZALSKI Antoni: *Alarmująca ekskomunika* (5/596).

– (tłumacz) ob. Balasuriya Tiss (5/596).

Zbyt liberalny tygodnik katolicki (5/596).

Wywiady „Kultury”

KURCZAB-REDLICH Krystyna: *Rozmowa z politologiem prof. Andriejem Zagorskim* (9/600).

OSADCZUK Bohdan: *Rozmowa z prezydentem Aleksandrem Kwaśniewskim* (1/592-2/593).

RATAJCZAK Henryk: *O sytuacji nauki na Białorusi. Rozmowa z akademikiem Rostislavem G. Zhabankovem* (11/602).

– *O sytuacji nauki w Polsce. Rozmowa z prof. Henrykiem Samsonowiczem* (12/603).

STACH Andrzej: *Trzeba mówić jak najjaśniej* (wywiad z Marcelem Reich-Ranickim) (5/596).

Polemiki – Wolna trybuna

BONIECKI Jerzy: *Inność Rosji* (11/602).

KARNKOWSKI Kazimierz: *Uwagi o artykułach „Kultury”* (6/597).

KOŹMIŃSKI Andrzej: *Kto wygra następne wybory?* (6/597).

PLUTA Janusz J.: *Jak umierała formacja. Rozważania o przegranej* (11/602).

WILK Mariusz: *Na marginesie artykułu Jerzego Bonieckiego* (11/602).

Sprawy i troski

ABNER Stefan: *Problem z generacją* (12/603).

– *Wejście do Unii Europejskiej* (10/601).

BERBERYUSZ Ewa: *Kartki ze skażonej strefy* (4/595, 5/596, 10/601).

BORUTA: *Polska polityka narodowościowa na kilku przykładach* (3/594).

DASZKIEWICZ Piotr: *„Końska” polityka Wspólnoty Europejskiej* (6/597).

KACZMAREK Robert: *Bicz* (1/592-2/593).

KOWALCZYK Andrzej Stanisław: *Los archiwum Jerzego Stempowskiego* (3/594).

Kraszewski ciągle aktualny (12/603).

KUBIK Mariusz: *Prof. Leszek Balcerowicz o Związku Ludności Narodowości Śląskiej* (11/602).

MOSTWIN Danuta: *Historia amerykańskiej Nagrody Literackiej im. Janusza Korczaka* (1/592-2/593).

S.A.: *Dzień polski w Sztokholmie* (7/598-8/599).

SKÓRZYŃSKI Piotr: *Fala* (6/597).

STACH Andrzej: *„Polenwitze” czyli niemieckie „polish jokes”* (7/598-8/599).

STRONSKA Anna: *Czy rzecz cierpi?* (6/597).

– *Polonez na pogorzeliisku* (5/596).

WRÓBLEWSKI Andrzej Krzysztof: *Mieszkanie, buty, telewizor* (4/595).

ZAMORSKI Kazimierz: *Śmierć komunistki* (7/598-8/599).

Ci, co odeszli

ABRAMOW-NEWERLY Jarosław: *Agnieszka* (4/595).

GEDROYC Jerzy: *Michał Heller* (3/594).

HEMAR Marian: *Prezydent Władysław Raczkiewicz* (9/600).

MACIEJOWSKA Agnieszka: *Wspomnienie o Leo Lipskim* (9/600).

POMIAN Krzysztof: *Jerzy Milewski* (3/594).

– *O Arturze Międzyrzeckim wspomnienie* (5/596).

POSPIESZALSKI Antoni: *Zbigniew Jerzy Błażyński* (1/592-2/593).

SIEMASZKO Z.S.: *Ojciec Jerzy Mirewicz, S.J.* (7/598-8/599).

SUPRUNIUK Mirosław A.: *Andrzej Kłossowski* (3/594).

Kronika kulturalna

ABNER Stefan: *Z nordyckiej perspektywy – Literacki Nobel 1997 – uwagi czytelnika* (11/602).

BARTOSZ Adam: *Rom czyli Cygan* (7/598-8/599).

BERDYCHOWSKA Bogumiła: *Laudatio dla Adama Kwasa* (1/592-2/593).

CISZUK Hanna (tłumacz) ob. Łabaczeuska Wolha (9/600). *II Konkurs na polską powieść* (10/601).

HALIKOWSKA-SMITH Teresa: *Czytelnictwo polskie na emigracji* (5/596).

Hawthornden Castle (5/596).

HIŻ Danuta: *Wspomnienie o Alicji Iwańskiej* (4/595).

Instytut Europy Wschodniej i Wschodnio-Środkowej we Fryburgu (10/601).

IWAŃSKA Alicja: *Szpitala* (4/595).

– *Śmierć* (wiersz) (4/595).

JOFE Wieniamin: *Czapski – człowiek „Memoriału”* – przełożył z rosyjskiego Piotr Mitzner (3/594).

KARPIŃSKI Wojciech: *Prywatna historia wolności* (9/600).

Komunikat Komisji Fundacji Stypendialnej im. Jana i Suzanne Brzękowskich (9/600).

Konkurs Fundacji Roberta Boscha (10/601).

Konkurs na sztukę (9/600).

KOSSOWSKA Stefania: *Pani Maria* (5/596).

KUPPER Eugeniusz: *Theatrum Gedanense* (12/603).

LEM Stanisław: *Scjentologia* (10/601).

ŁABACZEUSKA Wolha: *„Polesie, jakiego nie znamy”* – przełożyła z białoruskiego Hanna Cizuk (9/600).

MIEROSZEWSKI Juliusz: *Z zapisków oficera czasu wojny* (9/600).

MITZNER Piotr: (tłumacz) ob. Jofe Wieniamin (3/594).

Nagrody „Kultury” za rok 1996: REDAKCJA – wyjaśnienie; nagrodzeni: Kazimierz BRAKONIECKI – redaktor

„Borussi”, Krzysztof CZYŻEWSKI – redaktor „Krasno-grudy”, Adam KWAS – redaktor „Ziemi Kłodzkiej” (1/592-2/593).

Niezwykła nagroda literacka (10/601).

Polcul Foundation Australia (4/595, 9/600).

REDAKTOR: *Nieznane wspomnienia Juliusza Mieroszewskiego* (9/600).

ROSTAFIŃSKI Wojciech: *Kosztowna współpraca z Rosją* (7/598-8/599).

STACH Andrzej: *W ojczyźnie dwóch języków* (3/594).

Stypendia Fundacji Bankowej im. Leopolda Kronenberga (12/603).

SZARUGA Leszek: *Czy inteligent jeszcze istnieje?* (12/603).

– *Faceci z antenkami* (12/603).

– *Laudatio dla Kazimierza Brakonieckiego i Krzysztofa Czyżewskiego* (1/592-2/593).

– *„Nurt”: poezja i historia* (4/595).

– *Trzyczęściowa panorama* (9/600).

TABORSKI Bolesław: *Edynburg – pół wieku megafestiwalu* (1/592-2/593).

– *Kontakt '97* (7/598-8/599).

Ukraińsko-polskie sympozjum (5/596).

ŻUREK Sławomir J.: *Szagalewa ostatni spodkobierca* (5/596).

Recenzje, sprawozdania, nowości wydawnicze

BROŃSKI M.: *Książka o Bronisławie Przyłuskim* (4/595).

– *„Wspomnienia” J.-F. Revela* (7/598-8/599).

– *„Wyszalnia” (O „Dziennikach” Stefana Kisielewskiego)* (9/600).

CHRZANOWSKI Tadeusz: *Kazimierza Traciewicza pod róz do kresu mroku* (6/597).

DANILEWICZ ZIELIŃSKA Maria: *Literatura „ratunkowa”* (6/597).

– *Rozdroże* (5/596).

DASZKIEWICZ Piotr: *Historia jednej restauracji* (1/592-2/593).

- DZIEWANOWSKI Kazimierz: *Wizje czasu i historii* (11/602).
- GRUSZCZYŃSKI Lesław: *Dwa jubileusze Uniwersytetu Wileńskiego* (11/602).
- HALIKOWSKA-SMITH Teresa: *Dzieciństwo ponownie odnalezione w obcym języku* (1/592-2/593).
– *Nowa książka Danuty Mostwin* (3/594).
- KOSSOWSKA Stefania: *Nie zamierzona autobiografia* (7/598-8/599).
- KRZYŻANOWSKI Jerzy R.: *Powieści pięciu pań* (6/597).
Nadestane nowości wydawnicze (1/592-2/593, 4/595, 5/596, 6/597, 7/598-8/599, 10/601).
- POLAK Wanda: *Stasi w oczach polskich historyków* (5/596).
- POMIAN Grażyna: *Chłopofobie i chłopomanie* (1/592-2/593).
- SZARUGA Leszek: *Badania kresoznawcze* (5/596).
– *Literaturoznawczy horror* (9/600).
– *Nie napisana książka* (10/601).
– *Oblicze ojczyzny* (7/598-8/599).
- SZUSZKIEWICZ Stanisław: *Władza i społeczeństwo* (7/598-8/599).
- ŚMIEJA Florian: *Dwa spotkania* (10/601).
– *Początki Kongresu Polonii Kanadyjskiej* (4/595).
- WANDYCZ Piotr: *Szkoda* (11/602).
- WILCZEK Piotr: *Z punktu widzenia małego chłopca* (7/598-8/599).
- WILK Mariusz: *Bestseller o Stalinie* (10/601).
- WYRWA Tadeusz: *Nowe katalogi rękopisów Biblioteki Polskiej w Paryżu* (3/594).
– *Wielka Brytania i Francja wobec granic Polski w latach 1920-1940* (1/592-2/593).
- ZAMORSKI Kazimierz: *W przyjacielskim klimacie* (10/601).

Tłumaczenia

Z języka angielskiego

- BARRET-BROWNING Elizabeth: *Drogi miłości* – przełożył Jerzy Pietrkiewicz (10/601).

- BALASURIYA Tiss: *Tekst „Obłożony ekskomuniką” opublikowany przez katolicki tygodnik The Tablet* – przełożył Antoni Pospieszalski (5/596).

Z języka białoruskiego

- ŁABACZEUSKA Wolha: *„Polesie, którego nie znamy”* – przełożyła Hanna Ciszuk (9/600).

Z języka rosyjskiego

- JOFE Wieniamin: *Czapski – człowiek „memoriału”* – przełożył Piotr Mitzner (3/594).

Biobibliografia

- BOREJSZA Jerzy W.: *Nota biograficzna* (7/598-8/599).
Indeks autorów i tematów rocznika „Kultury” za rok 1997 (12/603).
- PLUTA Janusz Julian: *Nota biograficzna* (11/602).
- TRYBUSIEWICZ Janusz: *Nota biograficzna* (1/592-2/593).
Wykaz książek Biblioteki „Kultury” (1/592-2/593).

Listy do Redakcji

- ABNER Stefan (3/594). ALBRECHT Andrzej (9/600).
- BALCERZAN Edward (3/594). BARTNIKOWSKI Bogdan (12/603). BEAUVOIS Daniel (1/592-2/593, 6/597). BERBERYUSZ Ewa (7/598-8/599). BYSTRZYCKI Przemysław (1/592-2/593). FRAJLICH-ZAJĄC Anna (7/598-8/599).
- GARLICKI Andrzej M. (3/594). JASTRUN Tomasz (11/602). JESTAL Jerzy (5/596). KACZMAREK Robert (11/602). LATAWIEC Bogusława (3/594). MIANOWICZ Tomasz (3/594). MILCZAREK Ryszard (9/600). NAGANOWSKI Egon (3/594). NAJWER Ewa (3/594). NASIELSKI Adam (3/594). NIEUWAŻNY Florian (9/600).
- NOWOTARSKA Róża (7/598-8/599). ODROWĄŻ-PIENIAŻEK Janusz (9/600). ORŁOWSKA WOJCZULANIS

Krystyna (10/601). ORŁOWSKI Stanisław (6/597). RUT-KOWSKI Tadeusz Paweł (10/601). SEREDNICKI Antoni (9/600). STECKO Samanta (11/602). STĘPIEŃ Marian (6/597). STROŃSKA Anna (1/592-2/593, 7/598-8/599). STYRCZULA Antoni (3/594). TABORSKI Bolesław (3/594). TAZBIR Janusz (10/601). TIMOSZEWICZ Jerzy (3/594). TOPOROWSKI Wiesław F. (9/600). TROJANOWICZOWA Zofia (6/597). TUDEREK Grzegorz (1/592-2/593). TYMA Piotr (1/592-2/593). WIERZBICKI Kazimierz (12/603). WIERZBICKI Zbigniew T. (9/600).

Odpowiedzi Redakcji (1/592-2/593, 3/594, 5/596, 6/597, 9/600, 10/601, 12/603)

Różne

Fundacja Pomocy Bibliotekom Polskim (1/592-2/593).

KOMUNIKATY: *Intermarium* (7/598-8/599).

Komisja Fundacji Stypendialnej im. Stanisława Lama (7/598-8/599).

Konkurs na tłumaczenia (1/592-2/593).

Rzymski Uniwersytet Letni 1997 (1/592-2/593).

SOS – Aide aux malades polonais (7/598-8/599).

III-cie Warsztaty Artystyczne im. Józefa Czapkiego (5/596).

Wydawnictwo „Znak” zaprasza do udziału w konkursie na powieść (7/598-8/599).

Lista członków wspierających Towarzystwo Opieki nad Archiwum Instytutu Literackiego w Paryżu (3/594, 11/602).

Nagrody (3/594, 4/594).

Nagrody Stowarzyszenia Tłumaczy Polskich (1/592-2/593).

REDAKCJA: Do prenumeratorów „Kultury” (1/592-2/593).

– Nota o 600-tnym numerze „Kultury” (9/600).

– Sprostowania (5/596).

– Sprostowanie (4/595).

Seminarium w sprawie podręczników do nauki historii (1/592-2/593).

Sprawozdanie Funduszu Pomocy Niezależnej Literaturze i Nauce Polskiej za rok 1996 (4/595).

Wpłaty na Fundusz „Kultury” (1/592-2/593, 3/594, 4/595, 5/596, 6/597, 7/598-8/599, 9/600, 10/601, 11/602, 12/603).

Wpłaty na Fundusz Polaków we Lwowie (3/594).

Wpłaty na pomoc dla Polaków w Kazachstanie (9/600).

Wpłaty na pomoc dla powodzian w Polsce (9/600).

Wpłaty na szkoły polskie na Wschodzie (4/595).

Z perspektywy pogranicza

CZYŻEWSKI Krzysztof: *Głos Innego* (4/595).

– *Jechać do Gdańska, Stanisławowa...* (5/596).

– *Pomiędzy Timisoarą a Tigru Mures* (6/597).

– *Powrót do Europy Środkowej* (10/601).

Z ostatniej chwili

MICEWSKI Andrzej: *III Rzeczpospolita po trzech wyborach* (10/601).

Wydawnictwa książkowe Biblioteki „Kultury” w roku 1997

Tom 497 – *Zeszyty Historyczne* (zeszyt 119). Str. 240.

Tom 498 – A. Supruniuk, M.A. Supruniuk – *Bibliografia Kultura* (1988-1996), *Zeszyty Historyczne* (1988-1996), *Działalność wydawnicza* (1988-1996). Str. 464.

Tom 499 – *Zeszyty Historyczne* (zeszyt 120). Str. 240.

Tom 500 – *Zeszyty Historyczne* (zeszyt 121). Str. 224.

Tom 501 – *Zeszyty Historyczne* (zeszyt 122). Str. 240.

Numery *Kultury*: marcowy (3/594) i wrześniowy (9/600) miały po stron 176.

Dla orientacji Czytelników podajemy spis zawartości *Zeszytów Historycznych* wydanych w 1997 roku:

Zeszyt 119: „Znicz” (Gen. T. Bór-Komorowski): *Wytyczne społeczno-polityczne na okres powstania*; M. Jackiewicz: *Impresje białoruskie*; T. Mianowicz: *Rok 1981: mity i rzeczywistość*; *Spotkanie z Adamem Mickiewiczem* – Aleksander Herzen i Władysław Mickiewicz; Mirosław Adam Supruniuk: *Bibliografie emigracyjne*; *Sprawa Żydów – obywateli polskich w świetle oficjalnych dokumentów oraz praktyki władz radzieckich*; Prof. St. Kot: *Stosunki Ambasady RP w ZSRR z wojskiem (do wiadomości gen. Andersa)*; M. Szeskin, M. Kahan: *Memoriał do gen. Andersa*; J. Osica, A. Sowa: *Rozmowa z Andrzejem Ajnenkilem*; W. Kempfi: *Moje lata uniwersyteckie*; M.M. Drozdowski: *Dziennik doktoranta z 1956 r.*; J.J. Milewski: *Białoruskie formacje wojskowe 1917-1923*; St. Jankowiak: *Sprawa ekstradycji dowódcy Brygady Świętokrzyskiej płk. A. Dąbrowskiego* – „Bohuna”; K. Zamorski: *Epilog dwóch tajnych biur 2 Korpusu oraz obszerny dział LISTÓW DO REDAKCJI*.

Zeszyt 120: T. Bujnicki: *Wilno: tradycje historyczne, kulturowe i literackie jako czynniki formujące świadomość narodową polskiej mniejszości na Litwie*; A. Pukszt: *Ostatnie chwile Rektora Stefana Ehrenkreutza i USB*; K. Bieniecki: *Raporty brytyjskich lotników o Polsce*; K. Styś: „Burza” i „Deszcz” na terenie obwodu AK Kozienice; W. Andruszkiewicz: *Holocaust w Ejszyszkach*; L. Tomaszewski: *Kedyw w okręgu wileńskim Armii Krajowej*; R. Czyżewski: *Obóz pracy „Dora”*; H. Czermińska-Żelaźniewiczowa: „Urszula”: *Ludzie z „Zagajnika” 1942-1944*; T. Mianowicz: *Instrukcje dla bratniej partii: Rozmowy Andrieja Gromyki w Warszawie przed IX Zjazdem PZPR*; T. Wyrwa: *Miscellanea tomu XXI londyńskich Tek Historycznych*; B. Berdychowska: *Sojusz Piłsudski – Petlura*; A. Pasternak: *3 Maja 1946 roku w Krakowie*; POLEMIKI: *Zarząd Koła Pułku 4. Pancernego „Skorpion”*, Z.J. Starostecki, E. Głowacki i A. Ziółkowska-Boehm: *Listy dotyczące wywiadu przeprowadzonego przez p. A. Ziółkowską-Boehm z Z.J. Starosteckim oraz LISTY DO REDAKCJI i SPROSTOWANIA*.

Zeszyt 121: A. Grzywacz: *Wojna obronna Polski 1939 roku w relacji polskiego sztabowca*; K. Bieniecki: *Współpraca SOE z NKWD i Polacy*; T. Wyrwa: *Studium Polski Podziemnej w Londynie*; A. Ziółkowska Boehm: „Złamana strzała”. (Rozmowa z Januszem Żurakowskim, legendarnym „Żurą”, pilotem Bitwy o Anglię i Arrow); R. Socha: *Wszystkie teczki „Bolka”*; *Marszałek Rydz-Śmigły a Ministerstwo Spraw Wewnętrznych*; *Proces Taterników*; *Deklaracja polsko-ukraińska z 1979 r. na tle historycznym*; *Relacja o śmierci Marszałka Piłsudskiego*; „Zaznałam w życiu tyle dobroci...” (Z Mychajłyną Kociubynską rozmawiają Bogumiła Berdychowska i Aleksandra Hnatiuk); Z. T. Wierzbicki: *Antoni Peretiatkowicz 1884-1956*; T. Wyrwa: *Od Napoleona do De Gaulle’a*; E. Halicz: *Problem Niemcy-Polska*; T. Mianowicz: *Oceny i zalecenia: Wizyta Michaiła Susłowa w Warszawie w kwietniu 1981 r.*; M. Rudzki: *Winietki drugiej okupacji i emigracji*; J. Słubicki: *Katedra historii Polski na Kanadyjskim Uniwersytecie oraz LISTY DO REDAKCJI*.

Zeszyt 122: A. Maldzis: *Białoruś i jej sąsiedzi*; T. Wyrwa: *Dzieje emigracji w londyńskim wydaniu*; K. Modzelewski: *Cyrylica w polskim zwierciadle*; K. Głuchowski: *W polskim Londynie 1947-1970* (z wprowadzeniem Marii Danilewicz Zielińskiej); J. Lewandowski: *NKWD o polskim podziemiu*; P. Wandycz: *Nowe książki*; A. Gajos: *Pamiętnik Konstantego Skirmunta*; K. Tarka: *Opolszczyzna po II wojnie*; *Nadesłane nowości wydawnicze*; T. Zabokrzecki: *Moje wspomnienia*; M. Jackiewicz: *Tragedia wileńskiego getta*; I. Torbakow: *IV Rozbiór Polski w końcu XIX wieku*; A.M. Kobos: *Powstanie warszawskie w oczach Goebbelsa*; *Komunikat o stypendiach*.

KSIAŻKI POLSKIE

ORAZ POLSKI DOTYCZĄCE

DAWNE I NOWE

W DOKONANYM PRZEZ SIEBIE WYBORZE

POLECA

ANDRZEJ DOBOSZ W SWOJEJ KSIĘGARNI

7, rue de la Bûcherie 75005 Paris

Telefon 01 40 51 76 40

Fax 01 40 51 78 32

Metro: Maubert-Mutualité

Autobusy: 24, 47, 63, 86, 87

od wtorku do soboty od godziny 10 do 19

SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA KATALOGI

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE

91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Commission Paritaire N° 60789.

Dépôt légal: 4^{ème} trimestre 1997.

Akredytowany korespondent Kultury w Rosji:

Mariusz Wilk, Primorskaja 15, Archangelskoj obl.,

164409 SOŁOWKI

Skład komputerowy: MacWire Diffusion.

Imprimé en France.

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte – Telefon 01-39-62-19-04

Fax: 01-39-62-57-52

PRZEDSTAWICIELSTWA

Egz. poj.	Prenumerata	
	1/2-roczna	roczna

Ceny na rok 1998

AFRYKA POŁUDNIOWA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
ARGENTYNA: «Librería Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRALIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: (1) 52-63-114	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
DANIA: O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
HOLANDIA: Barbara Malak-Minkiewicz, Reguliersgracht 46/II, 1017 LS Amsterdam. Tel.: (20) 62-61-623	Fl h 20,00	Fl h 110,00	Fl h 210,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., P.O.B. 29443, 61239 Tel-Aviv. Tel. i fax: (3) 5606311	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Bro-sard, P.Q. J4W 1S5. Tel.: (514) 465-2362; Baltazar Krasuski, 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; Księgarnia Polska w Ottawie, Andrzej Lifschies, 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 5Z6, tel.: (613) 789-8260, fax: (613) 789-1051; Z. Micherdziński, 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8, tel.: 545-2115	\$ can.13,00	\$ can.75,00	\$ can.140,00
NIEMCY: Kubon & Sagner, Buchexport-Import, Hessstr. 39/41, D 80328 München, tel.: (089) 54-21-80; Księgarnia Wawel, Stephanstr. 11, 5000 Köln, 1, tel.: 0221/24-61-60	DM 17,00	DM 100,00	DM 185,00
NORWEGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
SZWAJCARIA: Krystyna Wasung, 27, rue de la Fontenette, 1227 Carouge/GE. Tel.: 343-05-84	F.S. 15,00	F.S. 90,00	F.S. 160,00
SZWECJA: Wojciech Luterek, Regnstigen 14-6 Tr., 171-46 SOLNA. Tel. (08) 83-13-33. PG-KONTO 614 87 10-4.	Sk 85,00	Skr 450,00	Skr. 850,00
U.S.A.: Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; St. Kwiatkowski, 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109, tel.: (216) 351-8219; POLONIA Bookstore, 4738N Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60630, tel. (773) 481-6968; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302, tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia «Nowego Dziennika», 333, West 38th Street, New York, N.Y., 10018, tel.: (212) 594-2266	\$ US 11,00	\$ US 60,00	\$ US 116,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (171) 370-2210	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
WŁOCHY: Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: (06) 77-20-15-58	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00

W krajach nie wymienionych prenumerata roczna – F. 600; półroczna – F. 320.
Przesyłka pojedynczego numeru – F 6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.

**INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE – C.C.P. PARIS 18-228-56 W (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (z zagranicy)**

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

Tom 498

ANNA SUPRUNIUK – MIROSŁAW A. SUPRUNIUK

BIBLIOGRAFIA

„KULTURA” (1988-1996)

„ZESZYTY HISTORYCZNE” (1988-1996)

DZIAŁALNOŚĆ WYDAWNICZA (1988-1996)

Str. 464

Cena F. 200,00



Tom 500 – ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT

STO DWUDZIESTY PIERWSZY

zawiera opracowania: A. Grzywacz: *Wojna obronna Polski 1939 roku w relacji polskiego sztabowca*; K. Bieniecki: *Współpraca SOE z NKWD i Polacy*; T. Wyrwa: *Studium Polski Podziemnej w Londynie*; A. Ziółkowska Boehm: „Złamana strzała”. (Rozmowa z Januszem Żurakowskim, legendarnym „Żurą”, pilotem Bitwy o Anglię i Arrow); R. Socha: *Wszystkie teczki „Bolka”*; Marszałek Rydz-Śmigły a Ministerstwo Spraw Wewnętrznych Proces Taterników; *Deklaracja polsko-ukraińska z 1979 r. na tle historycznym Relacja o śmierci Marszałka Piłsudskiego*; *Zaznałam w życiu tyle dobroci. (Z Mychajłyną Kociubyńską rozmawiają Bogumiła Berdychowska i Aleksandra Hnatiuk)*; Z T. Wierzbicki: *Antoni Peretiatkowicz 1884-1956*; T. Wyrwa: *Od Napoleona do De Gaulle’a*; E. Halicz: *Problem Niemcy-Polska*; T. Mianowicz: *Oceny i zalecenia: Wizyta Michaila Susłowa w Warszawie w kwietniu 1981 r.*; M. Rudzki: *Winiетки drugiej okupacji i emigracji*; J. Słubicki: *Katedra historii Polski na Kanadyjskim Uniwersytecie oraz LISTY DO REDAKCJI*.

Str. 240

Cena F. 90,00